



Tysiąc
szklanek
herbaty

Spotkania na Jedwabnym Szlaku

ROBERT
ROBB
MACIĄG



Bezdroża

Robert Robb Maciąg

Tysiąc szklanek herbaty

Spotkania na Jedwabnym Szlaku

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo Bezdroża dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo Bezdroża nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Redaktor prowadzący: Michał Mrowiec
Projekt okładki i mapa: Natalia Oprowska
Skład: Adrian Partyka

Zdjęcia: Ania i Robert Maciąg

Wydawnictwo Bezdroża Sp. z o.o.
ul. Michała Bałuckiego 21/2, 30-318 Kraków
tel. 12 2692961, faks: 12 2677711
e-mail: redakcja@helion.pl

WWW: <http://bezdroza.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

ISBN: ePub: 978-83-246-5259-4, Mobi: 978-83-246-5260-0

Copyright © Robert Maciąg 2012

Konwersja do epub [Agencja A3M](#)

- [Poleć książkę](#)
- [Kup w wersji papierowej](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to!](#) » [nasza społeczność](#)

— *Jeśli nie dążysz do spełnienia swoich marzeń,
równie dobrze mógłbyś być warzywem.*

— *A jakim konkretnie?*

— *Nie wiem. Kapustą?*

Burt Munro, *Prawdziwa historia*
(*The World's Fastest Indian*)

*Wszystkim bohaterom tej książki.
Bez nich nie miałbym czego napisać.*

Kolejny początek

Mieliśmy szczęście. Mnóstwo szczęścia.

W dwa i pół roku po powrocie z rowerowej podróży do Indii znów byliśmy w drodze.

Tak bardzo potrzeba nam było tej podróży. Tak bardzo bolała rozłąka z byciem w drodze, że trudno było żyć problemami miasta. Rachunkami i banalnymi zakupami.

Staraliśmy się żyć z dnia na dzień, jakoś wsiąknąć w codzienność i cywilizacyjne uwikłania i nijak się nam to nie udawało. W dodatku, jakby na złość naszym tęsknotom, Ania pracowała w sklepie turystycznym i pomagała innym wybrać się w drogę. Dobierać plecaki, buty, kurtki i starać się nie myśleć, że to oni za kilka dni wsiądą do samolotu i odjadą gdzieś daleko, a my utknijemy w parku na końcu ulicy.

By jakoś poczuć się bliżej kolejnej podróży, zapisaliśmy się na kurs języka hiszpańskiego. Jedwabny Szlak wcale nie był nam w głowie, myśleliśmy o Ameryce Południowej. Wydawało nam się, że roczna podróż po tym kontynencie bez znajomości hiszpańskiego byłaby trochę bez sensu i poznawaliśmy powoli kolejne słówka. "Kawa z mlekiem", "kawa bez mleka", "jak to się literuje?" i takie tam standardowe rozmówki. Taki był program — hiszpański, a nie na przykład argentyński — i musieliśmy się uczyć zupełnie nieprzydatnych zdań. Nie planowaliśmy przesiadywania w kawiarniach, ale trzeba się było uczyć. Ponad połowa kursantów uczyła się języka z tych samych powodów co my: chcieli wyjechać do Ameryki Południowej. Druga połowa to byli ci, którzy... zakochali się i żyli z kimś, kto stamtąd pochodził. Po kilku tygodniach nauki dowiedziałem się, ile kosztują bilety lotnicze na tamtą stronę świata, i zrobiłem wielkie oczy. Mogłem dowiedzieć się tego, zanim nauczyłem się, jak jest po hiszpańsku "herbata z cytryną", ale po prostu tego nie zrobiłem. Nagle okazało się, że chyba nigdy nie zamówię "kawy z mlekiem, ale bez cukru" ani w Ekwadorze, ani tym bardziej w Chile. Zwyczajnie: nie stać nas było na dwa bilety i podróż. W Azji za te same pieniądze mogliśmy podróżować dwa razy dłużej, więc chciwie zwróciliśmy oczy na Wschód.

Wtedy nie wiedzieliśmy, że wszystkie wizy i wizyty w ambasadach (hotele itp.) będą nas kosztowały dokładnie tyle samo, co bilety lotnicze do Ameryki, ale decyzja zapadła.

Teraz trzeba było się zdecydować, dokąd jechać. Azja, wiadomo, jest duża, a tak zupełnie bez planu i kierunku jakoś nam się nie chciało. Nie pamiętam już, jak to się stało, ale pewnego dnia Ania zapytała: "a może pojechalibyśmy Jedwabnym Szlakiem?". Z całej trasy powtarzałyby się tylko Iran, który odwiedziliśmy już w drodze do Indii, ale przy okazji odwiedzilibyśmy

przyjaciół, a w nagrodę zyskalibyśmy łatwy dojazd do Azji Środkowej i Chin. Ani Chiny marzyły się, od kiedy mnie poznała. Nasłuchiwała się za dużo dobrych historii o tym kraju i naoglądała za dużo zdjęć.

Nie można jej było winić za to marzenie o Chinach.

Sam je w niej podsyciałem i sam, po sześciu latach, liczyłem na powrót do Państwa Środka.

Mogliśmy tak planować, marzyć i myśleć o kolejnej podróży latami. Ciągłe nam czegoś brakowało, a oszczędzanie pieniędzy odwlekało nasz wyjazd z miesiąca na miesiąc. Ciągłe wydawało nam się, że jeszcze czegoś nie mamy. Po dłuższym czasie ciągłego niezdecydowania wpadłem na, jak mi się wtedy wydawało, genialny pomysł. Zamiast ciągle czekać, ciągle oszczędzać i ciągle planować, postanowiłem, że wyjeżdżamy "za pół roku od dziś", i kupiłem bilety. Tym prostym sposobem klamka zapadła: trzeba było jechać z tym, co mieliśmy, i przestać się zastanawiać.

Na ściennym kalendarzu na rok 2010 zakreśliłem na czerwono datę 10 kwietnia i nagle do nas dotarło, że ta podróż to już nie teoria ani nie marzenia.

Po miesiącach wyczekiwania wystarczyło ruszyć w drogę, w podróż i życie zawęziło się do kilku podstawowych potrzeb. Podróż oczyszcza nas z całego cywilizacyjnego nalotu. (Oczywiście nie od razu i nie bezboleśnie). Trzeba gdzieś spać, coś zjeść, zaufać obcemu człowiekowi. Tylko tyle.

Tak jak przed telewizorem umiera wiara w drugiego człowieka, tak w podróży ta wiara powraca. Podróżowanie zwraca nam życie. Zabiera nas do istoty rzeczy, zabiera nas w przeszłość, do czasów, gdy to nie współzawodnictwo rządziło światem, ale współpraca. Jedność i zaufanie. Bez tego nie można było przeżyć zimy, powodzi, zarazy. Podróżowanie zabiera nas w przeszłość, gdy człowiek żył podług prostych zasad i był, o dziwo, bliżej natury i świata.

Podróż jest najprostszym sposobem powrotu do zdrowego trybu życia.

Człowiek spędza niemal cały dzień na świeżym powietrzu, non stop musi się ruszać, a dodatkowo, jeżdżąc po (nazwijmy to w ten sposób)

niecywilizowanych krajach, je niecywilizowane jedzenie. Bez barwników, bez E coś -tam -coś -tam, bez plastiku i daty ważności. A że czasem złapie biegunkę? Tę przerażającego europejskiego mieszcza przypadłość? No trudno! Zjedliśmy "coś nie tak", to i organizm się oczyszcza.

Podróż daje nam wolność wyboru. Nie ma czasu, daty, terminów, obowiązków, rachunków, systemu, który nam coś nakazuje. Systemu, który nas przywiązuje do jednego miejsca, zmusza do abstrakcyjnych wymogów i obowiązków. Dopóki się ruszam, mam wokół siebie proste życie i proste potrzeby. Gdy tylko się zatrzymam na dłużej, okrążają mnie rachunki, wiadomości TV — kto komu ukradł, kto kogo oszukał.

Właśnie dlatego, kiedy posmakujemy tej wolności, tak bardzo bolą nas wizy.

Niby to tylko pieczętka w paszporcie, a w rzeczywistości kajdanki. Niby robisz, co chcesz, ale tylko od tego do tego dnia.

Bo jak nie, to "kara",

a jak kara, to "grzywna",
a jak grzywna, to "pieniądze",
a pieniądze to obowiązki, praca...

Podróż jest również świetną zabawą. Radością wakacji, urlopu, nowych miejsc, nowych smaków i nowych znajomości. Radością odkrywania miejsc znanych tylko z telewizji i gazet. Ale o tym pewnie doskonale wiecie. Kiedy jeździmy z Anią po Polsce i opowiadamy o naszych podróżach z uporem maniaka, staramy się przekonać, że świat jest pełen dobrych ludzi. Opowiadamy o ludziach, których spotkaliśmy, i o tym, że cokolwiek wmawiają nam media, ludzie są najczęściej przyjaźni, życzliwi i pomocni. Opowiadamy o tym, że nikt nie próbował nas ani napaść, ani okraść, a niemal każdego dnia pogrążaliśmy się w długach... wdzięczności. W naszej podróży najwięcej było... herbaty. Zastanawiałem się długo, co było łącznikiem tych wszystkich miejsc, które tworzyły Jedwabny Szlak, i jakkolwiek bym kombinował, zawsze padało na herbatę. Od Damaszku przez Azję Środkową do Chin. Od yerba mate sprzedawanej ku naszemu zaskoczeniu na syryjskich bazarach, przez aromatyczną czarną w Turcji i Iranie, do tej z mlekiem i solą w górach Pamiru. Na stacjach benzynowych, w do mach czy na wygodnych tapczanach, których pełno było w postsowieckich republikach. Taki tapczan to nie to samo co u nas. W Azji Środkowej to nic innego jak platforma, podest wyłożony dywanami i poduszkami, na którym fantastycznie się biesiaduje i odpoczywa. Wystarczy zespawać kilka prętów, ułożyć kilka desek, przykryć to wszystko dywanem i kilkoma poduszkami i od razu tworzy się "atmosfera".

Oprócz gościnności i życzliwości to właśnie herbata była wspólnym mianownikiem wszystkich tych miejsc. W końcu herbata jest bardziej gościnna niż alkohol. Po prostu jest bardziej domowa, bardziej osobista. Alkohol niby rozluźnia człowieka, ale nigdy nie można przewidzieć, jak się to wszystko skończy.

Herbata jest zawsze gorąca, tak jak zaproszenie do domu. Alkohol rozwiązuje języki i czasem to rozwiązanie języków staje się uciążliwe. Nie ma nic bardziej męczącego niż terroryzująca gościnność. Taka, w której nie ma miejsca na własną przestrzeń i czas. Niemal więzienna.

A herbatę zagryza się ciastkiem, jest miło, spokojnie.

To nie jest książka o naszym bohaterstwie. To jest książka o kolejnych szklankach herbaty w obcych krajach, wśród obcych twarzy. Ci wszyscy ludzie ugościliby Was tak samo, jak ugościli nas. Tak samo by się Wami zaopiekowali i tak samo by się o Was zatroszczyli.

Bo są wyjątkowi i otwarci na każdego.

Może ich kiedyś spotkacie w cztery oczy.

To by dopiero było cudowne zakończenie!

Czas napić się gorącego napoju z liści chińskiego krzaczka i usiąść wygodnie w fotelu. W końcu, jak mawiał niejaki T'ien Yiheng: "herbatę się pija, by zapomnieć o hałasie świata"

Czas ruszyć w drogę!

Syria



Opuszczając Iskenderun, starożytną Aleksandrettę, podobnie jak Aleksander Wielki 2344 lata przed nami, stanęliśmy na szczycie przełęczy Belen. Przed nami, w dole, rozpościerał się krajobraz pełen kolorowych pól i obietnicy. Przełęcz Belen stała się naszą bramą do Azji, do Jedwabnego Szlaku.

Było nas troje. Wyjątkowo.

Jedwabny Szlak chodził za nami od jakiegoś czasu. Odkładaliśmy go co prawda "na później" i na "kiedyś", ale gdy musieliśmy zrezygnować z Ameryki Południowej, od razu się na niego zdecydowaliśmy. Był prostym wyborem. Zamiast dumać i wymyślać, dokąd jechać tym razem, wystarczyło wybrać jakąś starą drogę handlową i wszystko układało się w całość.

Moglibyśmy jechać szlakiem mirry, z Omanu do Palestyny, ale Ani nie wypadało jeździć na rowerze, a mnie nie bawiły zabawy z jemeńską policją w eskorty i całą resztę.

No i padło na Jedwabny. Otoczony tajemnicą historii i pełen nazw, które tylko dodawały mu smaczku. Damaszek, Kaszan, Maszhad, Bucharą czy Samarkanda. Do tego Chiny, w których już przecież byłem, a za którymi tęskniłem jak diabli.

Zbiegiem czasu i okoliczności pojechał z nami Ben. Przyjaciel rodziny i kolega z pracy. Miał wyjechać już pół roku wcześniej, ale bał się sam, jako Anglik, jechać przez Syrię i Iran. Oni też mają przecież swoją propagandę, a dramat palestyński i popieranie Izraela przez Wielką Brytanię nie czyniło Bena popularnym. Tak mu się przynajmniej wydawało, zanim do tej Syrii i Iranu nie wjechał. Dlatego wzięliśmy go pod swoje skrzydła.

Mimo że się niecierpliwiliśmy, podekscytowani radością z bycia w drodze, gdy już dotarliśmy do granicy, chłopaki od pieczętek za bardzo się nie spieszyli. Wzięli nasze paszporty, dokładnie obejrzeliby każdą nową i starą wizę i... odłożyli dokumenty na bok. By sobie pogawędzić, by napisać SMS-a, wbić kilka pieczętek do jednego z zalegających na biurku paszportów. Gdy nagle większość gdzieś sobie poszła, jeden z nich położył głowę na biurku i oddał się... drzemce.

"Przepraszam. Pan tutejszy?" — zapytał mnie jeden z przepychających się bez kolejki kierowców autobusów. W dodatku po angielsku. Przepraszam bardzo, ale czy ja wyglądam na Araba?

Nie dawałem za wygraną i zagadałem do oficera: "Panie, a nie wbiłyby nam Pan pieczętek? Żona tam stoi na słońcu, sama, rowerów pilnuje. Wie Pan: gorąco, a żona zmęczona...".

On tylko popatrzył na mnie i dalej pisał, spokojnie i powoli, tego SMS-a. To on tu wszystko kontrolował. Bez JEGO woli nic tu się nie działo. No chyba, że przyszedłby ktoś starszy stopniem, ale jakoś nikt taki nie przychodził.

"Panie, paaaaszport. No weź Pan. Da nam pan tę pieczętkę i już nas nie ma".

Jakimś cudem nie wziął tego za grubiaństwo. Odłożył telefon, jakby się uśmiechnął i... BAM! BAM! BAM! — przybił zgrabnym ruchem trzy piękne stemple. Byliśmy w Syrii!

Na wielkim asfaltowym placu odtańczyliśmy z Benem rowerowy balet i zajechaliśmy do najlepiej wyglądającej knajpki na... humus. Pierwszy prawdziwy syryjski obiad, ze zmielonej na papkę ciecierzycy z sezamem i przyprawami. Wskoczyliśmy nareszcie na rowery i ruszyliśmy w stronę Aleppo przy dźwiękach klaksonów i wykrzykiwanego co chwila "Hello!" z przejeżdżających samochodów. Po kilkunastu minutach dwóch starszych panów jadących małą ciężarówką zrównało się z nami. Zaczęli nas pozdrawiać, coś opowiadać i podali nam... po kawałku chleba. Ot tak, po prostu. Przywitali nas w Syrii i od razu narobili nam jeszcze większego smaka na swój kraj.

Zatrzymaliśmy się na kawę. Pierwszą, słynną syryjską kawę espresso z kardamonem. Na rogu ulicy stał chłopak i w małym "wagoniku", budce na kółkach, czymś w rodzaju polskich bazarowych "szczęk", parzył kawę. Od razu zleciały się dzieciaki. W różnym wieku, ale jednej płci — oczywiście chłopcy. Ktoś podjechał na kolarskim rowerze w pełnym rynsztunku z lajkry, ktoś inny na motorze i od razu chciał się przejechać na jednym z naszych rowerów. W zamian oferował przejażdżkę na swoim hałaśliwym motocyklu. W całym tym zamieszaniu podjechało do nas dwóch przemiłych chłopaków w starym mercedesie. Bardzo starym! Owalne kształty, błękitna karoseria i biały dach, a w środku ciasno.

Uśmiechali się jak dzieci, gdy zaczęliśmy pokazywać na ich auto i cmokać,

by dać im do zrozumienia, jakie ono jest piękne. Endorfiny uderzyły im lekko do głowy i postanowili z klasą i piskiem opon odjechać i włączyć się do ruchu. Mercedes poruszał się raczej jak słoń lub bawół, a nie jak gepard, ale opony i tak piszczały — tyle że nie im, lecz innym, którzy musieli nagle ostro hamować. Ci od mercedesa większą uwagę zwracali na nas i na nasze reakcje niż na wszystko inne dookoła. Najmniej zaś interesowali ich inni użytkownicy drogi. Na szczęście wszyscy przetrwali ich pokaz bez uszczerbku na zdrowiu i bez śladu na karoserii.

Gdziekolwiek spaliśmy, zawsze około 21.00 słychać było ostatni adhan^[1]. To było jak taka nasza "dobranocka", która nadchodzi falami. Coraz głośniejsze. Ostatnie nawoływania do modlitwy. Podziękowania za kolejny dzień.

Aleppo i Damaszek biją się o miano najstarszego miasta na świecie. Rywalizują głównie na wykopaliska i różne stare dokumenty. Co i rusz jakiś historyk z jednego z miast odnajduje wcześniejszą niż ostatnio znaleziona wzmiankę w jednym ze starych dokumentów. Od czasu do czasu do tej rywalizacji włącza się Jerycho.



Oczywiście poza dumą (lub pychą) i większymi ilościami sprzedających się pamiątek nie ma to najmniejszego znaczenia. Tak czy inaczej oba miasta są tak stare, że przeciętnego obywatela Polski to przytłacza. I nie chodzi tu wcale o hasło "3000 lat ciągłego zamieszkiwania", lecz o świadomość, że gdy w Aleppo i w Damaszku ludzie żyli w wygodnych domach, budowali drogi, kanalizację, świątynie i bazyry, my mieszkaliśmy w jaskiniach i ziemiankach. Oczywiście przeciętny turysta o tym nie pamięta i dziwi się przykrytym kratami rynsztokom i pozornemu chaosowi. Aleppo jest w tym wypadku ofiarą swojej długowieczności. To trochę jak bankomaty w Polsce, które jeszcze do niedawna należały (w odróżnieniu do tych, jakie można było znaleźć np. w Wielkiej Brytanii czy w USA) do najnowocześniejszych na

świecie.

Inne kraje miały je po prostu od dawna.

My przyszliśmy na gotowe.

Upał lepił się do wszystkiego. Było parno i sierpniowo, choć była to dopiero połowa kwietnia. Ciężaru powietrzu dodawały spaliny i ciężki zapach rozgrzanych opon sprzedawanych w dziesiątkach sklepików, które wypełniały szczelnie kilka uliczek otaczających nasz hotel.

Ktoś na przekór wszystkiemu nazwał go Spring Flower, czyli "Wiosenny kwiatek", jakby ta nazwa mogła choć odrobinę rozweselić świat czarnych opon i obdrapanych ścian. Nawet obsługa nie wierzyła w zbawienny urok tej nazwy i po wpisaniu nas do księgi gości niemal od razu o nas zapomniała, został po niej tylko dym z papierosa wypełniający cały hall. Typowy hotel z rodzaju tych rekomendowanych przez przewodniki. Dobrze znany i często spotykany tumiwizm. Przejawiający się w hasle: "Przecież i tak będą przyjeżdżali".

Można by się na nich poskarżyć, napisać do biura w Londynie, że to i tamto, ale komu by się chciało. W końcu to tylko na jedną, może dwie noce i dalej w drogę.

W pokoju hotelowym chyba po to, by można było podnieść standard i, co za tym idzie, cenę, wybudowano łazienkę. Właściwie nie tyle "wybudowano", co wydzielono z pomieszczenia mały pokój, do którego wstawiono toaletę i prysznic. Zamiast czterech łóżek mogły teraz stać tylko trzy, ale za to cena za pokój z łazienką na pewno to rekompensowała.

Nie była to taka prawdziwa łazienka, tylko coś jakby aneks. Dużo niższy niż cały pokój, położony w punkcie najdalszym od okna. Tak, by wilgoć i wszelkie zapachy mogły swobodnie rozchodzić się po całym pokoju. Ku uciesze i rozkoszy wszystkich gości. Chcecie łazienki, to ją macie.

Kolejne adhany nikły w zgiełku, kakofonii klaksonów i okrzykach chłopców przetaczających uliczkami opony. Niektóre z opon były tak wielkie, że tym trudniej było sobie wyobrazić taki samochód, który mógłby wjechać w którąkolwiek z uliczek.

Niemal każdy samochód, by oznajmić wszem wobec, że jedzie do tyłu, wygrywał piskliwe melodie *Lambady* — zapomnianego (?) przeboju sprzed lat, dając znać całemu światu, że kierowca zza paki obładowanej kartonami, workami, zwalami dywanów nie widzi wszystkiego, co się dzieje za nim. Strzeżcie się, o przechodnie, by radosna melodia *Lambady* nie była dla was zwiastunem pobytu w szpitalu czy pogrzebowym marszem! Śpiewem śmierci nadchodzącej tanecznym krokiem.

Na uliczkach rządziły niewielkie isuzu. Jakby specjalnie zaprojektowane

do pokonywania bazarowych zakamarków. Były niewiele mniejsze od przerwy pomiędzy ścianami kupieckich domów i sklepów i nie raz wymuszały ucieczkę straganiarzy, handlarzy falafelem i słodyczami. Niekiedy uliczki były tak wąskie, że jazda nimi zamieniała się w jednokierunkowe loterie. Żaden z kierowców nie mógł wiedzieć, jak daleko uda mu się zajechać, zanim napotka samochód jadący z przeciwka. Nie mógł wiedzieć, czy to on wtedy będzie musiał się cofnąć do najbliższego skrzyżowania, placu lub rozszerzenia drogi, czy też zmusi do tego tego drugiego.



Wieczorem, gdy chłód powietrza sprzyjał bardziej ożywionemu ruchowi, ulice i chodniki wypełniały się życiem. Puste do tej pory chodniki i kafejki zaroily się od ludzi. Sprzedawcami pasków do spodni, papierosów, wiatraczków dla dzieci i zapalniczek. W kawiarniach rozsiedli się starsi mężczyźni, by przy małej kawie burzliwie grać w tryktraka^[2].

W jednej z takich kawiarni do naszego prostego, drewnianego stołu przysiadł się pewien starszy mężczyzna. Opowiadał, niepytany, jakim to kiedyś był amantem, jakie miał wesołe i kolorowe życie. Wszystko to działo się "całkiem niedawno", jak zapewniał, jakieś 30 lat temu. Nagle przybliżył się do nas jeszcze bardziej i z wielką determinacją dodał: "Wy z Polski? U nas też by się taki Wałęsa przydał. Przepędziłby ich wszystkich. Ja to mogę głośno mówić. Stary jestem, mam 86 lat i nic mi już nie mogą zrobić, i nie zrobią. Oglądałem 30 lat temu Wałęsę w TV i już 30 lat na takiego i u nas czekam. Ale już się nie doczekam. U nas takich od razu zabijają".

Aleppo słynie w świecie nie tylko ze swych tysięcy lat istnienia czy wielkiej twierdzy — cytadeli w środku miasta, ale również z... mydła.

Mydło robione jest z oliwy i liści laurowych i było sekretem urody już samej Kleopatry. Mydło z Aleppo wygląda raczej niepozornie i nieatrakcyjnie, ale

tysiące lat tradycji mówią same za siebie. Ma lekko zielonkawy, laurowy kolor i jest mydłem wegetariańskim. Nie dodaje się do niego kości czy słoniny ani chemicznych barwników czy zapachów. Gdybyście kiedyś zajechali do Aleppo, musicie wybrać się na bazar i na jednym z setek straganów ku-

pić sobie to delikatne, naturalne mydło. Po jego użyciu od razu zauważycie różnicę i może nawet, kto wie, ktoś z was poczuje się jak Kleopatra czy Zenobia^[3].



Pamiętacie Józefa Bema? Polskiego generała, powstańca styczniowego, którego wizerunek w PRL-u upiększał dziesięciozłotowe banknoty? Czy ktoś z Was wie, że był on muzułmaninem? Był nawet bohaterem Aleppo. Gdy w 1850 roku Arabowie urządzili rzeź chrześcijan w Aleppo, na pomoc chrześcijanom przyszedł *Murad Paşa, gubernator miasta*. Nie był nim nikt inny jak właśnie Józef Zachariasz Bem, którego historyczne zawieruchy przygnały aż tutaj. Po przyjęciu islamu zmienił imię i zapuścił nawet brodę. Tutaj też umarł.

O Aleppo można by pisać tomy, ale nie mogę przecież zanudzać Czytelników. Najlepiej sami odwiedźcie to miasto. Wprawdzie nie musicie się spieszyć (Aleppo stoi już kilka tysięcy lat i pewnie postoi jeszcze chwilę), ale nie możecie tej podróży ciągle odkładać na później. Później może się okazać, że nic się Wam już nie będzie chciało, a najmniejszą ochotę będziecie mieć, by podróżować po obcych krajach. Później może oznaczać ogródek i telewizor, a przecież szkoda by było Waszych umarłych marzeń i wiecznie żywych wspomnień.

Nie jest ważne, jak czyste i zadbane jest miasto, zawsze ukrywa w sobie tony śmieci. Schowanych sprytnie przed naszymi oczami. Czasem, przypadkiem, trafiamy na te wszystkie nieczystości i dociera do nas, jak jest ich dużo. To właśnie przydarzyło się nam w Syrii, gdy postanowiliśmy odkryć uroki bocznych dróg. Zamiast przebijać się czym prędzej w stronę Damaszku, pojechaliśmy na południe, prosto w paszczę lwa, drogą pełną ciężarówek, przyczep i wozów wypchanych gnijącymi, śmierdzącymi śmieciami wywożonymi czym prędzej z Aleppo. Przy tych temperaturach i takiej masie samochodów zrobiło nam się nie do końca dobrze. Śmieci zalegały przydrożne rowy i pola. Duszący zapach oblepiał nas i po 20 kilometrach uciekliśmy w bok. Nieważne dokąd, byle jak najdalej od tej drogi.

Od razu uśmiechnęło się do nas szczęście: spotkaliśmy bowiem niejakiego Abdula. Zaczęło się od tego, że kupiliśmy w sklepiku warzywa. Abdul, gdy tylko nas zauważył, zeskoczył ze swojego ciągnika i zaprosił nas do swojego domu, "byśmy mogli je umyć". Dosłownie na chwilę! Było bardzo wczesne popołudnie i mieliśmy nadzieję, że jeszcze tego dnia kawałek pojedziemy, ale... myliliśmy się. Sami daliśmy się złapać w sidła gościnności. Trzeba było powiedzieć "nie, dziękuję" i jechać dalej, a tak...

Z mycia warzyw nic nie wyszło. Abdul zwyczajnie powiedział, że po co mamy je myć, skoro i tak nie będziemy ich jeść, bo zaraz będzie obiad, a my oczywiście musimy na nim zostać. Potem okazało się, że musieliśmy jeszcze zostać na kolacji i śniadaniu, ale... po kolei.

Abdul mieszkał z rodzicami i żoną w niewielkim domu z pustaków. Jak

wszystkie inne, ten dom obudowany był wysokim murem z wysoką bramą, co zasłaniało prywatny teren przed całym światem. Taka wieś w niczym nie przypomina polskiej. Nie ma rabatek, malw, zdobionych okien i fasad. Jest labirynt betonowych murów i tylko różne odcienie ich błękitu lub bieli pozwalają utwierdzić się w przekonaniu, że się przemierzamy. Na wielu murach wymalowano od szablonów kaabę. Symbol jedności muzułmanów i — co najważniejsze — odbytej pielgrzymki: hadźdżu. Kto nigdy nie odbył pielgrzymki, nie ma prawa namalować sobie kaaby nad drzwiami, a każdy, kto na niej był, będzie się tym szczycił jako dobry muzułmanin. Na dokładkę dostanie przydomek hadži do swojego imienia, by wszyscy wiedzieli, że jest godnym szacunku wiernym.

Ojciec Abdula oczywiście był hadżim. Tak samo jak jego wujowie, których musieliśmy poznać przy kolacji.





"Wy nie macie pojęcia, co się dzieje w Gazie — stwierdził stanowczo jeden z wujów Abdula. — Oglądacie tylko BBC i CNN, a oni pokazują tylko to, czego chce Izrael". Zaczęliśmy się bronić. Opowiadać o reportażach o Gazie i Zachodnim Brzegu, które regularnie pokazuje BBC. Gospodarze dziwili się. Okazało się, że to ONI nie wiedzą, co się dzieje u nas, tak samo jak my nie wiemy, co naprawdę dzieje się u nich. Wiedzieliśmy o Wzgórzach Golan, o rezolucji ONZ nakazującej Izraelowi wycofanie się z syryjskiego terytorium i znaleźliśmy tym podobne lokalne historie.

"A skąd wy to wiecie?" — pytali.

A właśnie z tego zniechęconego przez was BBC.

Szczęśliwie zmieniliśmy temat rozmowy. Ktoś przyniósł owoce, jeszcze więcej herbaty i rozmawialiśmy sobie swobodnie o neutralnych rzeczach. Tylko Abdul, jako najmłodszy, siedział cicho z boku i się nie odzywał.

Ledwo pojawiły się pierwsze domy kolejnej wsi, a już zaczęły się nowe nawoływania i usłyszeliśmy następne zaproszenia. Znow kawa z kardamonem i znow herbata. Byle tylko przysiąc z nimi na chwilę i pozwolić im udowodnić ich gościnność. Nie było ważne, że między nami jest bariera językowa i możemy rozmawiać tylko oczami i gestami. Gdyby między ludźmi istniały tylko bariery językowe, świat byłby przyjemniejszym miejscem. Gdyby ludzie częściej dzielili się tym, co mają, zamiast...

Zajechaliśmy do kolejnej wsi na lokalną "kolę" i małe zakupy. Usiedliśmy w cieniu sklepiku i sączyliśmy napoje przez obowiązkową tutaj słomkę. Taka słomka to nie dla przyjemności czy lansu, ale z higieny. Butelki stoją godzinami na dworze, w kurzu i pyłe, i nigdy nie wiadomo, co zamieszkało pod kapsłem.

Sączyliśmy to nasze "zimne i słodkie", a właściciel sklepiku dał nam jeszcze po wafelku i kazał wygodnie się rozsiąść. Powiedział, by nigdzie się nie spieszyć i... dokądś pojechał, zostawiając nas samych ze sklepem, swoją matką i małym synem, który ubrany w wojskowy mundur i oficerską czapkę burzył ten nasz spokój, dmuchając w oficerski gwizdek.

Kola skończyła się szybko i trzeba było wyjść z cienia prosto w palące słońce. Chcieliśmy zrobić zakupy, zapłacić i ruszyć dalej, ale wytłumaczono nam, że musimy czekać. Po kilku minutach wrócił właściciel, zważył wszystkie warzywa i owoce i... za nic w świecie nie chciał przyjąć od nas pieniędzy. Chciał tylko, żebyśmy zrobili mu zdjęcie. I już.

Zanim opuściliśmy Quannersin, jakiś mężczyzna około czterdziestki wyprzedził nas pikapem, zjechał na pobocze, wysiadł i czekał na nas, trzymając w rękach chleb. Opowiedział nam coś po arabsku, z czego zrozumieliśmy tyle, że "Allah ma nas szczęśliwie prowadzić". Na pożegnanie powiedział jeszcze "dziękuję!" i odjechał. Można by się teraz dziwić, czemu to on nam dziękował, a nie my jemu, ale każdy kraj, każda kultura ma swoje tradycje i różne "dziękuję". Nam, obcym, wypada się tylko uśmiechać i przytakiwać. Od czasu do czasu rzucając "przepraszam" i "dziękuję", by kogoś przypadkiem nie urazić.

"Pijemy (...) kawę i bawimy towarzystwo rozmową. Termin »bawimy« jest tu najstosowniejszy, jakżeż komicznie musiała wyglądać nasza niema mimika!"
[\[4\]](#).

Na skrzyżowaniu w Jazraya stoi kilka sklepików. Podobnie jest na każdym takim wiejskim skrzyżowaniu i jak zawsze można tam kupić owoce, warzywa, papierosy, a nawet całkiem zimne napoje. Tu między typowe sklepiki pełne nie tylko kupujących, ale i gapiów wkomponował się sklepik z pralkami. Żadne tam automatyczne sprzęty, ale najzwyczajniejsze "franie", dookoła których ktoś porozkładał węże, silniki i uszczelki.



Jednak największym wydarzeniem na skrzyżowaniu byliśmy oczywiście my. Znow poląła się herbata, ktoś wcisnął mi banana. Ania i Ben w tym samym czasie już dreptali do domu niejakiego Ibrahima, który porwał nas na herbatę i jogurt z koziego mleka. Jak zawsze w takich sytuacjach, zeszli się bracia gospodarza, jacyś jego koledzy i sąsiad. Posadzili nas pod daszkiem, w cieniu, i wcisnęli między ojca Ibrahima a jego matkę. Ania dostała narzutę na nogi, by nie musiała siedzieć w spodniach, i otoczyły ją kobiety. Żona, córki i matka Ibrahima. Matka usiadła wygodnie pod ścianą i objęła Anię ramieniem, pokazując, że ma się wygodnie rozsiąść. Dwie rzeczy w jej twarzy przykuwały wzrok: jej roześmiane oczy i drobne tatuaże.

Tariq, mój syryjski kolega, wytłumaczył mi (kiedy już wróciłem z podróży), że takie tatuaże oznaczały kiedyś, iż kobieta, tak jak jej mąż, zarabia dla domu pieniądze. Nie tylko była matką i żoną, ale również pracowała. Tak jak mężczyzna nosi brodę, tak pracująca kobieta tatuaże symbolicznie imitujące zarost.

Zrobiło się tłoczno, gwarno i oczywiście wesoło. Zawsze jest wesoło, gdy gestami, minami, a często wręcz odgrywając pantomimę, próbujesz rozmawiać. Rozmowa bardziej przypomina wtedy grę w kalambury, przy czym nigdy nie wiesz, czy dobrze zgadłeś, ani czy oni wiedzą, o co Ci naprawdę chodzi.

Musiało być wesoło, gdy Ibrahim próbował nam wytłumaczyć, w której wsi, na którym skrzyżowaniu musimy skrócić w prawo, nalewając w tym samym momencie kolejną szklaneczkę herbaty i przekonując wszystkich dookoła, że "przecież dobrze nam tłumaczy". Fakt faktem ostatecznie dojechaliśmy tam, gdzie chcieliśmy, ale nie za sprawą jego tłumaczenia, tylko dzięki mapie, o której nie pisaliśmy ani słowa. Bo po co? Mógł się poczuć dobrym gospodarzem — to przecież było najważniejsze.

Czy muszę dodawać, że gdy opici herbatą próbowaliśmy odjechać, jeden z sąsiadów rzucił, jakby od niechcenia, że teraz musimy zajść do niego?

Wzbudziło to oczywiście protesty: nie tylko nasze, że "musimy jechać dalej", ale i braci Ibrahima, że "teraz raczej kolej na herbatę u nich"!



Gdyby w Syrii wykazać się odrobiną pozytywnej bezczelności, można by tam długo podróżować, popijając z niejednego czajnika. Dać się nakarmić, dać się przenocować. Kto wie, jak to by się skończyło. Może można by nawet "dać się ożenić"?

Znów mały sklepik. Znów nawoływania na kawę. Zanim się zaparzyła, ktoś zadzwonił po dyrektora miejscowej szkoły. Abdullah ledwo się pojawił i ledwo nas przywitał, już "zapewniał", że bardzo chętnie nam we wszystkim lub w czymkolwiek pomogą, a najlepiej byłoby, gdybyśmy oczywiście z nimi zostali na noc. A wszystko to o 10.30 rano! Do kolacji jeszcze bardzo daleko, a my już mamy na nią zaproszenie. Ot co. Porozmawialiśmy tradycyjnie o tym samym, czyli skąd-dokąd-dlaczego, i zaczęliśmy się grzecznie wykręcać od dalszej gościny, tłumacząc się daleką drogą i innymi frazesami, gdy sklepikarz, ten sam, który na nasz widok zawołał nas na kawę, postanowił... dać nam trochę pieniędzy! "Przed wami daleka droga, to jakieś pieniądze wam się przecież przydadzą!".

Znów trzeba było się wykręcać.

Gdzie Kain zabił Abła

Na pierwszym piętrze naszego hotelu, zaraz pod naszymi pokojami, mieściła się kawiarnio-palarnia i cały budynek przesiąkł lekko zapachem sziszy. W połowie drogi na pierwsze piętro, w niewielkiej wnęce ulokował się administrator i właściciel w jednej osobie. Za każdym razem, kiedy go spotykaliśmy, palił sziszę. Pykał powolnie ze swej wodnej fajeczki i spoglądał to na restaurację, to na chodnik i na ludzi migających mu tylko w

drzwiach.

Kilka tygodni przed naszym przyjazdem wprowadzono w Syrii zakaz palenia tytoniu. Tylko że w tak tytoniowym kraju nie wystarczy wprowadzić przepisu i wywiesić znaczka z przekreślonym papierosem, jak w Europie. Trzeba jeszcze powiesić znaczek z przekreśloną fajką, z przekreśloną sziszą i przekreślonym cygarem. Trzeba być dokładnym. Wiadomo, palacze to są w swym nałogu sprytni ludzie i trzeba pozamykać wszystkie furtki jakiegokolwiek interpretacji. I tak w kawiarni, w której pali się szisze, nie wolno palić cygar, fajek i papierosów. Wisi specjalny znaczek. Wszystko zgodnie z przepisami i jak najbardziej praworzędnie! Mówią o tym specjalne naklejki lub zwykłe kserówki porozwieszane w każdej, najmniejszej nawet knajpcie.

Jest w Damaszku coś magicznego. Jak dla mnie to przede wszystkim nazwa, która niesie w sobie tajemnicę, historię, wielkość i coś czarodziejskiego. Coś nierealnego, choć dziś to tylko olbrzymia metropolia pełna złotych taksówek. Damaszek jest głośny, gorący i zasmrodzony, ale jego nazwa odczarowuje to wszystko. Przez sam fakt, że jest to DAMASZEK, a nie np. Świerzawa, można mu wiele wybaczyć. Cały ten zgiełk i spaliny. Wszystkie klaksony i chodnikowych handlarzy uciekających przed policją.

Mark Twain pisał o nim: "To byt nieśmiertelny — widział wszystko, co zdarzyło się na Ziemi, i wciąż żyje. Spoglądał na wyschnięte kości tysiąca imperiów i ujrzy kolejny ich tysiąc, nim sam umrze".

To tutaj Jezus Chrystus ma ponownie zstąpić na ziemię.

To tutaj mieści się grób Abla. Właśnie tego, którego zabił Kain.

To tutaj nie chciał wjechać sam prorok Mahomet, bo urzeczony pięknem stwierdził, że na raj to on poczeka na czas po śmierci.

Al-Hamidijja to enklawa. Bazarowy hałas jest miłszy niż uliczny. Tuż przed główną bramą mieści się przejście podziemne. Taki mały tunel, w którym kwitnie handel drobiazgami i chińskimi obieraczkami do warzyw. Z samego tunelu można wyjść po schodach, ale można też innymi, ruchomymi schodami wjechać. Ponoć gdy te schody uruchomiono po raz pierwszy, szyckie kobiety nie chciały nimi jeździć w obawie, że schody wciągną im czadory. Jednak z czasem kobiety nauczyły się podwijać czadory na bezpieczną wysokość: tak wysoko, by nic im się nie stało, i jednocześnie tak nisko, by niemoralnie nie pokazać nóg powyżej kostek.



Na samym początku suków mieszczą się najbardziej dochodowe sklepiki, czyli te dla turystów. I tych zachodnich, i tych wschodnich — z Jordanii, Omanu czy Kataru, którzy do Damaszku przyjeżdżają na zakupy albo by schronić się przed upałami własnych krajów. Trudno uwierzyć, że Damaszek to schronienie, skoro na dworze jest tam +30 °C, ale tak być jednak musi, skoro tak mówią miejscowi. Kto jak kto, ale Arab z Omanu wie lepiej, co to znaczy gorąco.

Na damasceńskim bazarze handluje się srebrem i ubraniami. Mali chłopcy, głównie Palestyńczycy, sprzedają pistolety do robienia baniek mydlanych, baloniki ze śmigielkami lub migające bąki. Ci, którzy akurat niczym nie handlują, rozwożą po sklepach kartony i skrzynie. Wielu turystów przyjeżdża właśnie tutaj po to, by kupić sobie kefiję — kraciastą chustę noszoną przez mężczyzn. Taką, jaką nosił sam Jaser Arafat, a te ponoć najlepsze są właśnie w Damaszku.

Skoro wszyscy mówią, że najlepsze, skusiłem się i ja. Oczywiście, jak na prawdziwego turystę przystało, skusiłem się za szybko i zamiast zrobić interes życia, dołączyłem do światowej listy frajerów. Powinienem pójść kilkadziesiąt metrów dalej, skrócić w pierwszą lepszą uliczkę i miałbym nie tylko chustę, ale i pokazać resztę. Na przykład na wielkie lody oblepione kruszonymi pistacjami, z których słynie lodziarnia na głównym suku.

Sklepiki są niewielkie. Wielkości małego garażu i zamykane na zsuwane rolety. W jednym sklepiku można znaleźć kilkadziesiąt przypraw,

których nie sposób zapamiętać. Pieprz czarny i biały, i żółty, i pomarańczowy, każdy usypany w piramidę i sprytnie odgarnięty, tak by widać było wszystkie kolorowe warstwy. Cztery rodzaje kardamonu. Herbaty czarne, zielone, ziołowe, kwiatowe i owocowe wysypane w drewnianych skrzynkach lub odwiniętych lekko workach. Suszone i kandyzowane owoce. Kiedyś można było kupić mirrę i kadzidło, perły, kość słoniową i... mastyks — żywicę drzewa *Pistacia lentiscuc*, której używano jako przyprawy lub zioła. Kilogram tej żywicy kosztował tyle co... 1200 kilogramów chleba!

Wszystko przykryte jest wypukłym dachem pełnym dziur po pociskach karabinów: pozostałości po czasach, kiedy to w 1925 roku Syryjczycy powstali przeciwko francuskiej okupacji. Dziś te dziury to symbol tego powstania. Oczywiście, by je zobaczyć, trzeba przestać patrzeć na sklepowe wystawy.

Gdy miejsce jest święte, to jest takie bez dyskusji i bez względu na wiarę czy historię lub przemijający czas. Wiele jest takich miejsc, których duchowość i świętość nie przemijają, choć zmieniają się emblematy. Na końcu głównej uliczki bazaru Al-Hamidijja leży takie właśnie miejsce, a nad nim wznosi się świątynia, która gościła już niejednego boga.

Najpierw czczono tu lokalnego, syryjskiego boga Hadada. Potem zmieniono to miejsce na świątynię rzymskiego Jowisza. Po przejściu władzy przez chrześcijan zakazano oddawania czci pogańskim bogom i dla pewności przebudowano dawną świątynię na bazylikę św. Jana Chrzciciela. Na koniec, gdy Arabowie podbili Damaszek, odkupili świątynię od chrześcijan i zbudowali w tym miejscu meczet, który stoi do dziś, pomimo pożarów i trzęsień ziemi.

To właśnie tutaj przechowywana jest głowa Jana Chrzciciela, mieści się grób Saladyna — tego samego, który zdobył Jerozolimę po wojnach z krzyżowcami, chociaż w słynnym filmie Orlando Bloom^[5] tak mocno i zdecydowanie jej bronił.

W meczecie Umajjadów wciąż widać rzymskie kolumny, roślinne malowidła i chociaż muzułmanie zapewniają, że meczet jest "oryginalny" i zbudowany od zera, jakoś trudno w to uwierzyć. Po prostu wszystko wygląda zbyt rzymsko jak na czysto muzułmańską architekturę. Możliwe, że kalif Walid Pierwszy nie miał za dużo pieniędzy po tym, jak odkupił bazylikę i musiał sobie jakoś radzić. Zamiast budowy od zera przeprowadził małą adaptację i na początek wystarczyło. A wszyscy dobrze wiemy: prowizorki często pozostają na długo. Nawet bardzo długo.

Nawet... 1300 lat.

Meczet jest jednym z najświętszych miejsc dla szyitów. To właśnie tutaj

po bitwie pod Karbalą w Iraku zabrano szyickich jeńców i to tutaj wystawiono na widok publiczny głowę imama Huseina^[6]. W najbliższym sąsiedztwie meczetu mieści się dzielnica szyicka, którą trudno przegapić — nagle, po przejściu kolejnej alejki, wchodzi się w dzielnicę pełną kobiet noszących czadory i oto wiadomo, że to już nie dzielnica sunnicka, żydowska czy chrześcijańska. Ta ostatnia mieści się trochę bardziej na wschód od meczetu i też ją łatwo rozpoznać — tak samo nagle kobiety chodzą bez chustek, z rozpuszczonymi włosami i często w skąpych bluzkach.

Wizualnie to nie podział na symbole religijne, których w islamie w ogóle brakuje, a na seksapil. Definitywnie przegrywają szyitki^[7], a wygrywają chrześcijanki. Sunnitki i Żydówki są pewnie gdzieś pomiędzy. Oczywiście gdyby to mnie przyszło oceniać i dzielić.



Dla pewności, by nikt nie obraził niczyich uczuć, przy wejściu do meczetu mieści się specjalne biuro (oprócz kasy biletowej — dla niewierzących oczywiście), w którym każda niestosownie ubrana kobieta dostaje szarą tunikę. I już nie musi się martwić, czy ma ze sobą chustkę, by przykryć włosy, ani czy jej spodnie nie są za krótkie. Wystarczy, że założy tunikę, naciągnie na głowę kaptur i może bez przeszkód czy bez zakłopotania wejść do meczetu.

Przez te kaptury, które chyba dla łatwości szycia zakończone są spiczasto, grupki turystek wyglądają raczej jak grupki druidów poza swoim habitatem.

Nie wiem, czy innych też, ale nas wszelkie świątynie onieśmielają. Wchodzimy popatrzeć i podpatrzeć, ale zawsze mamy wrażenie, że włożymy komuś z butami do domu. Nawet gdy przed meczetami trzeba te buty fizycznie ściągnąć, to i tak pozostaje wrażenie, że dokonujemy pewnej inwazji. Chodzimy cichutko, żeby nie przeszkadzać i nie zrobić

czegoś głupiego. W takich właśnie momentach rozbraja nas wyluzowanie i beztroska wiernych. Tych, do których ta świątynia należy. Spacerują, gadają, ich dzieci biegają dookoła kolumn z głośnym śmiechem. Niektórzy fotografują się na tle mihrabu, czyli wnęki wskazującej kierunek "na Mekkę".

Zawsze śmiejemy się cicho z tej naszej nadostrożności, chociaż też zawsze mnie ciekawi, co by zrobili wierni, gdybyśmy i my strzelili sobie taką fotkę. Ktoś by stanął obok i dołączył czy raczej by nas pogonił?

Pierwsza pustynia

Opuszczając Damaszek, opuszczasz nie tylko hotelowe wygody, ale i... cień. Zwykły, pocziwy, na co dzień niezauważalny cień. Zwyczajny człowiek go nie docenia. Może czasem — jeśli jest fotografem lub malarzem. Bo poza tym kto? Może jeszcze ci z alergią na słońce.

Pierwsza pustynia Jedwabnego Szlaku zrobiła się płaska i sucha. Otaczały ją skaliste góry, gdzie każda odrobina wody zazielenia niewielki skrawek ziemi. Wielka asfaltowa droga prowadziła prosto do Bagdad Cafe, przy którym odbijała w prawo, prosto w paszczę pustyni przyozdobioną tablicą "Iraq 172 kilometres". Pustynia zmienia perspektywę. Nagle. Jak za dotknięciem magicznej różdżki wszystko zmienia sens i nabiera nowych wartości lub zupełnie je traci.

Kilka kropel wody.

Batonik.

Zapomniana na dnie sakwy i nagle odnaleziona pomarańcza.

Kawałek cienia.

Lekki powiew wiatru.



Syryjska pustynia to nie wydmy Sahary, ale gliniasto-kamieniste równiny. Oprócz sukulentów i czegoś na podobieństwo skrzypów nic tu nie rośnie. Oprócz drobnych ptaszków, wszechobecnych mrówek,

żuków i wypasanych kóz i owiec nie widać innego życia.

Czasem, wysoko, przeleci tylko jakiś drapieżny ptak.

Czasem jakaś stepowa trawa obrośnie jedną ze stron drogi.

Czasem przejedzie autobus lub traktor ciągnący dokądś cysternę z wodą.

Pustynia stawia wymagania. Na przykład wymaga od ludzi skromności i jedności. Samemu daleko nie zajdziesz, nie zajdziesz. Potrzebujesz kogoś, kto Cię poratuje.

Na pustej asfaltowej nitce możesz liczyć na kierowców, ale gdy jest akurat środek dnia i nikogo na drodze nie uświadczysz, pozostają Ci tylko beduini. Pustynni pasterze, którzy najlepiej wiedzą, co to znaczy być w potrzebie.

Na płaskiej drodze, na tle wypłowiałego błękitu nieba i wszechobecnego, piaskowego beżu, łatwo zauważyć podróżnych. Każdy odcina się czernią swego cienia od krajobrazu, który przyzwyczajają swym bezruchem. Mimo że namioty stały kilkadziesiąt metrów od drogi, beduini jakby na nas czekali. Głośnym "Welcome! Welcome!" zapraszali do cienia swych namiotów i bez pytania przynosili miski chłodnej wody. Najpierw dla mnie, potem dla Ani i Bena. Szybko napełnili nasze butelki i... ustawili się do zdjęć. Jedno, drugie, trzecie. Wszystkie oczywiście paszportowe. Poważne, dumne. Takie, jakie dorosły człowiek powinien mieć. Przecież te fotografie pojedą w świat!

Bezinteresowna gościnność ludzi pustyni, podobnie jak i mieszkańców każdego groźnego pustkowia, onieśmiela i zaskakuje Europejczyków. Czasem, na nieszczęście, podchodzą oni do niej podejrzliwie. Do czasu, gdy staje się dla nich czymś zwyczajnym, oczywistym. Częścią pustyni. Częścią naturalnej kolei rzeczy. Pokazuje prawdziwe oblicze człowieka.

W takich chwilach przypomina mi się opowieść naszych przyjaciół, którzy podróżując rowerami ze Szkocji do Stambułu, zajechali aż do... Nowej Zelandii. Gdzieś w Syrii, zaproszeni na obiad do skromnego domu, opowiadali o swoim życiu. Gospodarz, szczęśliwy właściciel niewielkiego dwuizbowego domu z gliny, chińskiego motocykla i stadka owiec, wypytywał ich usilnie, jak to jest ruszyć w tak długą podróż.

— Gdzie są wasze wszystkie rzeczy?

— W sakwach.

— A reszta?

— Sprzedana.

— A kto mieszka teraz w waszym domu?

— My nie mamy domu.

— To gdzie normalnie mieszkacie?

— Jak potrzebujemy domu, to wynajmujemy.

— Wynajmujecie dom? To wy musicie być bardzo biedni...
Hm, zależy jak na to spojrzeć, proszę pana Araba.



Palmira wydawała nam się kolejnym z tych miejsc z przewodnika. Ale pomyśleliśmy: jesteśmy w Syrii, a Palmira leży na naszej drodze, więc trzeba ją odwiedzić.

Przyzwyczajenie do setek tysięcy otaczających nas ludzi, do wszechobecnych budynków sprawia, że czasem trudno zyskać perspektywę i zauważyć wielkość kilkunastu ulic. Porównujemy to z tym, co znamy, i wychodzi nam, że właściwie jakie to wielkie miasto, skoro zajmowało tyle co niewielkie osiedle w naszym mieście. Tymczasem, wśród pustkowia i skał, stało kiedyś miasto pełne życia. Między kolumnami przechadzali się ludzie. W najlepszych czasach miasta, u szczytu chwały, mieszkało w nim dwieście tysięcy ludzi. Handlarze z niedalekiej Mezopotamii, a nawet odległych Kohanu i Kaszgarii.

Od nagich gór odbijały się śmiech i muzyka.

Splendor i bogactwo miasta wzięły się z jego położenia geograficznego. Ktokolwiek przemierzał Azję ze wschodu na zachód, czy to lądem, czy Eufратem, musiał zatrzymać się w Palmirze i... zapłacić podatek, coś zjeść, gdzieś spać.

Do Palmiry zmierzały trzy drogi. Dwie prowadziły początkowo Eufратem, a później lądem w stronę Damaszku. Trzecia to "Droga niewiernych", Darb el-Kurfi, jak nazywali ją Arabowie. Prowadziła ona z rejonu Bagdadu. Była to wspaniała droga, na której mniej więcej co 40 kilometrów stały zbudowane przez Rzymian studnie i fortyfikacje.

Do III wieku naszej ery miasto rozkwitało. Do czasu śmierci króla Odenata, kiedy to władzę przejęła jego żona Zenobia. Nie podobało jej

się, że musi być prorzymska, więc postanowiła zniszczyć to, na co jej mąż ciężko pracował. Z kobiecego kaprysu zaczęła podbijać okoliczne ziemie, a nawet wymyśliła sobie bicie własnej monety. Niektórzy historycy twierdzą, że to ona stała za śmiercią męża. Tak to czasem bywa, gdy ma się dwóch synów z dwóch różnych związków, a tylko jeden z nich może zostać królem. Odenat nie był jej pierwszym mężem i za wszelką cenę chciała, by to Waballath, jej pierwszy syn, został królem. Coś takiego nie mogło jej jednak ujdź płazem i Rzymianie "interweniowali", co w praktyce oznaczało zdobycie miasta i ogromną grzywnę. Zenobia nie zrozumiała lekcji, jaką dostała od dość cierpliwych i pobłażliwych Rzymian, i zbuntowała się ponownie. Wszystko skończyło się tzw. ostateczną demolką miasta, a Zenobia w rzymskiej paradzie zwycięstwa "mogła" się pokazać przed obywatelami Rzymu w złotych łańcuchach.



Jak napisał angielski historyk Edward Gibbon, Palmyra "całe wieki dobrobytu poświęciła jednej chwili chwały". Miasto ostatecznie zakończyło swe istnienie, kiedy Arabowie zniszczyli to, co zostało po Rzymianach. Czego nie zniszczyli ani Rzymianie, ani Arabowie, dokonało trzęsienie ziemi w 744 roku.

Pomyliliśmy się. Kiedy wjeżdża się do dzisiejszej Palmiry, wciąż widać "ruiny na pustyni", stare, starożytne, takie, po których znać, że to starożytni ludzie, używając starożytnych narzędzi i starożytnych technik, budowali starożytne świątynie dla starożytnych bogów i starożytne pałace dla starożytnych władców. Ale gdy nie ma wokół płotu, gdy możesz pomiędzy tym wszystkim spokojnie jeździć na rowerze... wszystko nabiera życia i wygląda wspaniale.

To, co w londyńskich muzeach jest chronione grubą szybą, tutaj jest zwykłym kamieniem, na którym można sobie usiąść, który można poczuć. Syryjski przewodnik, czekający akurat na kolejny autobus i kolejną grupę turystów, oświecił nas: "W Londynie takie coś leży w muzeum, a u nas sikają

na to wielbłądy".

Ot co!

Dwóch znudzonych "beduinów" podjechało do nas na wielbłądach. Jakoś nie szedł im interes z "przejażdżką na wielbłądzie". Turystów mało, a ci, którzy spacerowali pomiędzy ruinami, nie mieli ochoty na jazdę. Trochę się przecież w Europie zmieniło. Kiedyś taka przejażdżka byłaby może czymś wyjątkowym, czymś, co trzeba zrobić, by potem móc się pochwalić. A dziś? Trochę to passé, a trochę wstydlive, jak noszenie futer. A może ci turyści to stare wygi i przejażdżkę na dromaderze zaliczyli już w Egipcie albo Tunezji, albo...

"Beduini" przyszli pogadać. Nie namawiali nas na przejażdżkę, ale na "wymianę handlową". "Damy wam się przejechać na wielbłądach, jak wy dacie nam pojeździć na waszych rowerach". Nic jednak z tego nie wyszło. Po prostu: nie chciało nam się jeździć na ich wielbłądach. Mogli nas namawiać, przekupywać czy grozić, a i tak nikomu z nas nie chciało się dosiąść biedaka i spacerować na jego grzbiecie pomiędzy kolumnami.

Świat nie jest wcale doskonały. Człowiek, im dłużej jest w podróży, tym bardziej wierzy w ludzi, ale na tę jego naiwność czyhają pułapki. Nawet w tak gościnnej Syrii nie każdy jest miły i przyjazny.

W As Suknet obudziliśmy coś dzikiego. Dzieci nudzące się przy drodze zaczęły nas gonić. Nie tak jak do tej pory, z ciekawości, ale z dziwnym krzykiem. Ktoś rzucił za nami kamieniem, ktoś inny dziwnie się roześmiał. Na targu sprzedawcy kazali nam uważać "na tych w czarnym", którzy zebrali się dookoła naszych rowerów. "Ci w czarnym" okazali się nastolatkami. Wyjątkowo brudnymi, o dziwnie rozbieganych oczach. Usiedli za nami i jednoznacznie chichotali. Czasem wcale nie trzeba rozumieć słów, by zrozumieć, że ktoś cię obgaduje i się z ciebie śmieje. W dodatku sprzedawca w knajpce dziwnie zmartwionym głosem doradził nam, byśmy szybko zjedli i jak najprędzej wyjechali.

W drodze do meczetu, w którym chcieliśmy nabrać wody, jakieś dziecko stanęło przed nami z karabinem i wykrzyknęło: "One dollar!", celując prosto we mnie. Byliśmy tak zaskoczeni, że... nikt z nas nie zareagował. Po prostu przejechaliśmy obok. Nieświadomie zignorowaliśmy tego chłopca, ten karabin, lufę wpatrzoną we mnie i cały absurd sytuacji. Pewnie się świetnie bawił, a my tego nie doceniliśmy. Wiedzieliśmy już, że to nie jest miejsce dla nas. Intensywność emocji niemal wylewała się z okien mijanych domów i wpatrzonych w nas twarzy. Gdy tylko nabraliśmy wody, jeden z mężczyzn wskoczył na motocykl i kazał za sobą jechać. Inni próbowali przegonić dzieciaki spod meczetu, ale jakoś im się to nie udawało.

Zagadkowe to było miejsce. Inne. "Naj-inniejsze" ze wszystkich. Mocne. Mroczne. W zaskoczeniu żadne z nas nie przyznało się do strachu. Chyba właśnie dlatego, by go nie spotęgować w innych. Uciekaliśmy z tego miejsca i nikt nie chciał się przyznać, że to jest ucieczka.

Szósta klasa podstawówki. Lekcja historii, Mezopotamia, dolina Tygrysu i Eufratu. Magiczne nazwy. Tajemnicze miejsca. Eufrat, ten magiczny, znany każdemu z książek do nauki historii, rzeka, która wraz z Tygrysem stworzyła jedno z największych imperiów świata. Rzeka niosąca życie i nadzieję w samo serce pustyni. Tymczasem jechaliśmy wzdłuż rzeki odgradzonej od nas setkami pól uprawnych. Jedyne, co mogliśmy zobaczyć, to jej wody ujarzmione betonowymi kanałami, ale nie jej ducha. Obiecywałem sobie coś innego, coś magicznego, czego w żaden sposób nie mogłem nazwać, a otrzymałem to: rozczarowanie. Gdybym sobie nie wyobrażał, "jak to będzie", nie zastawiłbym sam na siebie pułapki.

Eufrat wykorzystywano do nawadniania pustyni już od 6000 lat. Dzięki niemu zbudowano niejedną cywilizację, niejedno imperium. Proces nawadniania pól był przez te wszystkie lata procesem powolnym i nie niszczył ani zasobów wodnych, ani ziemi. Do wydobywania wody wykorzystywano prymitywne urządzenia, takie jak sherrady^[8], i dopiero gdy w latach czterdziestych XX wieku zaczęto pompować wodę przy użyciu silników diesla, doszło do katastrofy. Nagle okazało się, że to, co nie szkodziło rzece przez 6000 lat, w kolejne 10 zniszczyło okoliczne pola, na których zaczęła zbierać się sól.

Jedyne, co mogło tam urosnąć, to żyto.

Pustynny piasek znów zaczął panoszyć się po terenach zamieszkiwanych tysiące lat przez człowieka.

Deir ez-Zor nie jest starym miastem. W kraju, w którym dwa miasta konkurują o miano najstarszego na świecie, coś, co powstało w 1867 roku, to niemowlę. Leży na brzegu Eufratu, po drodze z Damaszku do Al-Kamiszli. Ot, takie prowincjonalne miasteczko, niewiele ponad 100 tysięcy mieszkańców, które w swej krótkiej historii jeszcze nie miało z czego zasłynąć. Od jakiegoś czasu ma jednak swoje miejsce na stronach historycznych książek. Niestety, nie tych opisujących rzeczy wspaniałe, lecz tych, które zajmują się ludobójstwem.



W roku 1915, w czasach ludobójstwa ormiańskiego, kiedy to Turcja, do której należało Deir ez-Zor, rozprawiała się z Ormianami, na pustyni otaczającej miasto zbudowano obozy. Oczywiście, jak to w przypadku pogromów i eksterminacji Ormian bywało: gwałcono, głodzono i mordowano, a za ucieczkę nad Eufrat (więźniowie chcieli napić się wody) podrywano gardła.

To właśnie Beduini, ignorując zakaz pomagania Ormianom, dostarczali im po cichu wody i żywności. Pustynia bowiem rządzi się innymi prawami niż te spisane w biurach wygodnych miast, i wodą trzeba się podzielić.

Dlatego często myślę, że spotkanie z Beduinem jest spotkaniem z człowiekiem z przeszłości. Oczywiście nie wszyscy z nich są aniołami. Niektórzy z nich zajmują się wymuszeniami, tworzą gangi i rabują. Ale ci pustynni, ci żyjący z dala od wielkich miast, Damaszku czy Jaffy, żyją jakby w przeszłości.

Tam, gdzie ludzi jest niewiele, gdzie przetrwanie jednego zależy bezpośrednio od drugiego, ludzie zawsze trzymają się razem. Choćby tylko na chwilę i przelotnie, ale prawom pustyni czy tajgi mało kto odważa się przeciwstawić. Jeszcze rzadziej poważa się je złamać.

W miejscu, gdzie człowiek samotny nie ma większych szans na przetrwanie, drugi człowiek jest jego aniołem stróżem. I nigdy nie wiadomo, kto jest czym i kiedy.

O siódmej rano może być już 38 °C. Wszystko, co widzisz dookoła, to albo smuga dymu po Twojej prawej stronie i płomień wydobywający się z szybów naftowych, albo beżowe wzgórza, beżowy horyzont i blednące z każdą minutą niebo po Twojej lewej.

Droga lekko wibruje, choć tak naprawdę to tylko rozgrzane powietrze.

Pofałdowany asfalt wybija z usypiającego rytmu jazdy.



Właśnie z powodu tych szybów naftowych i wielkiej pustki rozciągającej się pomiędzy drogą a Irakiem podążała za nami policja. W cywilnych ubraniach, w cywilnych samochodach, przekazywali nas sobie co kilkadziesiąt kilometrów. Zawsze grzeczni, zawsze z boku. Gdy tylko robiliśmy przerwę w cieniu, stawali jakies 100 metrów dalej i starali się pozostać niewidoczni.

Pewnego razu z wielkiego pikapa stojącego na poboczu drogi wyszedł sympatyczny mężczyzna i poprosił nas o paszporty. My poprosiliśmy go o jego i rozpoczął się dialog. Twierdził, że nie mamy się czego bać, że oni są naprawdę policją i tylko chcą spisać nasze dane. My odpowiadaliśmy grzecznie, że wszystko rozumiemy, ale każdy może powiedzieć, że jest policją, i chcemy zobaczyć ICH dokumenty. Oni swoje i my swoje. Nagle mężczyzna, który cały czas siedział w samochodzie, uśmiechnął się i rzucił w naszą stronę, że oni są naprawdę policją, i mówiąc "Patrzcie!", wyciągnął spod siedzenia... kałasznikowa, dalej się do nas uśmiechając. Nagle zabrakło nam argumentów i wybuchnęliśmy śmiechem. Z kałasznikowem to mogli twierdzić nawet, że są reprezentacją Brazylii w piłce nożnej. Z człowiekiem z bronią się nie dyskutuje. Nawet gdy się uśmiecha, cały czas uspokaja i przeprasza.

A skoro już jesteśmy przy piłce... W Damaszku na bazarze można było kupić różne flagi narodowe. Szukaliśmy oczywiście polskiej, bo zachciało nam się afiszować z naszą przynależnością narodową i przyczepić sobie flagę do rowerów. Zanim zorientowaliśmy się, że do kupienia są tylko flagi reprezentacji grających w mistrzostwach świata, jakiś chłopak zapytał, skąd jesteśmy.

— Z Polski.

— A! Polish football very bad!^[9]

I na tym skończyliśmy te bezsensowne poszukiwania.

Miało być jednak o policji! Przygoda ze stróżami prawa wcale nie zaczęła się dobrze. Przy pierwszym spotkaniu wszystko wyglądało dziwnie. Po pierwsze, policja musiała nas najpierw dogonić. Niemal ścigać, bo po prostu nie zatrzymaliśmy się na ich wezwanie. Nie chodzi o to, że byliśmy aż tak bezczelni, by zignorować policję, ale tym razem nie wiedzieliśmy, że dwóch facetów w skórzanych kurtkach, którzy akurat machali, byśmy się zatrzymali, to tajniacy. No bo kto by wiedział?

Dogonili nas na motorce, pokazali legitymacje i POPROSILI, byśmy wrócili, bo "pan komendant czeka". Na posterunku wzięli od nas paszporty i zaczęło się wpisywanie wszelkich danych do wielkiej księgi. Łatwo nie szło, bo żaden z nich nie znał angielskiego, z wyjątkiem słów typu "proszę", więc trzeba było tłumaczyć, gdzie jest imię, gdzie nazwisko, gdzie adres. Na nasze "ale o co chodzi" komendant powtarzał tylko "don't worry"^[10] i kazał dolewać nam herbaty. Po godzinie przyszedł ktoś, kto umiał po angielskiemu (bo właśnie nie "po angielsku", mimo że podawał się za nauczyciela tego języka). Tak czy inaczej mogliśmy jeszcze raz, ale tym razem szybciej i chyba w dobrych okienkach, wypisać imiona, nazwiska, adresy, numery i miejsca urodzenia. W dodatku zaczęły się pytania typu: "Co wy tutaj robicie?".

— Więc jesteście turystami czy terrorystami? — komuś dopisywał, jak widać, humor, i nauczyciel próbował wszystko obrócić w głupi żart.

— A dokąd jedziecie?

— A po co?

Na nasze pytania, zwłaszcza te podstawowe, czyli "Ale o co chodzi?", odpowiadał tylko, że właściwie to o nic. Komendant chciał się jedynie z nami przywitać, poznać nas trochę i zaprosić na herbatę.

Trele-morele! Bajerować, psze pana, to nie nas, OK? A nie chodzi przypadkiem o te rakiety, co to stoją przy drodze wycelowane w stronę Izraela?

O to jednak nie pytaliśmy. Przyjęliśmy pokornie oficjalną wersję i pojechaliśmy dalej. Nie chciało nam się dociekać prawdy i zwiedzać aresztu.

Przy drugim spotkaniu z policją... najedliśmy się strachu i postawiliśmy na nogi "pół miasta".

Gdzieś w drodze do Al Bukamal, czyli wzdłuż Eufratu i prosto w stronę irackiej granicy, zajechaliśmy do małego miasteczka na obiad. Zauważyliśmy, że jesteśmy śledzeni przez dwóch mężczyzn na motorach. Na początku jakoś nie wierzyłem, że ktoś nas może śledzić, ale gdy tylko zapytałem Bena, czy już widział Grubego i Tego z Wąsem, rzucił tylko, że od

kilkunastu minut jadą za nami.

A my nie wiedzieliśmy, kim są. Poprzednim razem policja, chociaż tajna, jednak się przedstawiła, tym razem nic.

Pojechaliśmy dalej i postanowiliśmy jak najszybciej wyjechać z miasta i niczym się nie przejmować. Ten z Wąsem wciąż za nami jechał. Co prawda bardziej z tyłu, ale doskonale go widzieliśmy. W dodatku gdy tylko się zatrzymywaliśmy, on nagle skręcał w boczną uliczkę. Dojechaliśmy do głównej drogi, miasto się skończyło, a my zajechaliśmy do kogoś po wodę. W pewnym momencie Ten z Wąsem musiał nas stracić z oczu na zakręcie, bo niemal wjechał prosto w nas. My się lekko wystraszyliśmy, a on, zaskoczony, skręcił za jakiś sklep. Zszedł z motoru i zaczął zerkać na nas zza krzaków. W dodatku im bardziej nieudolnie nas śledził, tym bardziej nas to zastanawiało.

Mieliśmy do wyboru: albo to jakiś policjant i nie wolno mu z nami rozmawiać, albo szaleniec, bo chyba żaden przestępca nie śledziłby nas tak ostentacyjnie. By rozwiązać te głupie przypuszczenia, poszliśmy z Benem z nim pogadać. Co prawda my po arabsku nie znaliśmy ani słowa i nie liczyliśmy na jego angielski, ale chcieliśmy konfrontacji i jakiegoś wyjaśnienia, nie pogawędki. Gdy tylko to zauważył... schował się w dyżurce szpitala, przed którym rosły te jego krzaki.

Weszliśmy dziarsko, tak po męsku, wiadomo. Z wysoko uniesioną głową i trochę zawadiacko. Przecież my się nikogo nie boimy, prawda? Jednak sanitariusze na wszelkie nasze pytania odpowiadali tylko rozkładaniem rąk. Poszliśmy więc szukać lekarza. Może lekarz zna angielski? W końcu był na studiach. Wróciliśmy z kwitkiem, bo szpital nagle stał się opustoszały. Nikogo nie mogliśmy znaleźć, a tym bardziej lekarza. Gdy wróciliśmy, tym razem dobrze podenerwowani, Ten z Wąsem rozmawiał przez telefon i wyglądał na przestraszonego. I zaczęliśmy się zastanawiać. Jeszcze bardziej niż do tej pory. Jechać do tej irackiej granicy? Iść na policję?

Po kolejnej konfrontacji postanowiliśmy zrobić mu zdjęcie i iść z tym na policję. Zapytać. Może znają człowieka. Może mu nawet płacą pensję.

Wyjąłem aparat, teleobiektyw, a wtedy Ten z Wąsem tylko popatrzył i... zaczął uciekać. Rzuciłem rower i pobiegłem za nim w jakąś wąską uliczkę. Głupio zrobiłem. Zostawiłem Bena i Anię na środku jakiegoś placu i pobiegłem sam za facetem, którego przecież trochę się obawialiśmy.

W końcu udało mi się zrobić zdjęcie i poszliśmy na posterunek policji, ale tam wszyscy drzemali. W długich koszulach, bez mundurów, na piętrowych łózkach. W środku dnia. Na komendzie policji.

Jeden z nich, niejaki Abdul, zerwał się szybko, naciągnął na siebie spodnie i zapytał, co się stało. Pokazałem mu zdjęcie Tego z Wąsem i zapytałem naiwnie, czy go zna, a on w ramach odpowiedzi zapytał o... mój paszport, imię, nazwisko.

"Ja go znam. To policjant, tylko taki bez pagonów. Taki, co to wszędzie jedzie i na wszystko patrzy".

Nie mógł tego powiedzieć nam sam? Obyłoby się bez nerwów i może nawet z uśmiechem, bo czemu by nie.

Gdy wyszedłem z budynku, na rogu ulicy stał Ten z Wąsem i jeszcze kilku innych, których też, jak mieliśmy wrażenie, już widzieliśmy. Podeszedłem do nich i starałem się im wytłumaczyć, że się po prostu wystraszyliśmy. Ten z Wąsem kazał mi wykasować zdjęcia, uśmiechnął się szeroko i uściśnął mi dłoń. Po sprawie. Jako człowiek był zwyczajnym Syryjczykiem. Takim, jakich poznaliśmy dziesiątki. Jako policjant był typowym tajniakiem i trzymał się regulaminu.

Na tym jednak nie skończyła się ta nasza policyjna przygoda.

Trzeba było iść spać. Zrobiło się tak późno i tak nerwowo, że w grę wchodził tylko jakiś hotelik. Nie było ważne, w jakim stanie, chcieliśmy po prostu wejść do pokoju i zamknąć za sobą drzwi. Hoteliku jednak nie było i tajniacy ulokowali nas w parku. Za wysokim płotem i jeszcze wyższą bramą pozwolili nam rozbić namiot i zakazali pod jakimkolwiek pozorem wychodzić do miasta.

"Chcecie coś kupić? Przyniesiemy wam!".

Zwyczajnie nas internowali. I to niby dla naszego dobra!

Przy okazji zauważyliśmy, że kontrolę nad wszystkim przejął jakiś gruby oficer w ciemnych okularach i o naprawdę groźnej minie. Siedział na ławce i tylko nas obserwował, ciągle rozmawiając przez telefon. Musiał być kimś ważnym, bo ktokolwiek przyszedł, witał się z nim, jakby był kimś "wyżej". Siedział, obserwował i jakoś wcale nie ukrywał, że był zwyczajnie wściekły.

Park nie był zwykłym parkiem miejskim, ale takim dla dzieci i rodzin, i nie mieli do niego wstępu żadni młodzi mężczyźni. Gdy przyprowadziła nas do niego policja, jeszcze nie wiedzieliśmy o tym. Myśleliśmy, trochę naiwnie, że mamy wszystkie trawniki tylko dla siebie, i szykowaliśmy się powoli do rozbijania namiotów. Jednak gdy tylko wzięliśmy się za to, tajniacy szybko wytłumaczyli nam, że namioty to możemy sobie rozbić, jak już zamkną park. Widzieliśmy wyraźnie, że był zamknięty, ale nie wiedzieliśmy, że JESZCZE, a nie JUŻ.

Gdy tylko się ściemniło, otwarto bramę i park zaczął się wypełniać rodzinami, a my jak te figury woskowe siedzieliśmy na ławce, wyczerpani po całym dniu, i nie mogliśmy iść spać. Zaczęliśmy się nawet nawzajem przeproszać, choć głównie ja, że wcześniej pobiegłem za facetem w jakąś uliczkę, a powinniśmy się trzymać cały czas razem. Z drugiej strony tylko ja coś zrobiłem i ciągle miałem mieszane uczucia co do tych przeprosin. Zamiast zdenerwowania ogarnęła nas rezygnacja. Taki zwyczajny marazm,

co to dopada człowieka, gdy jest tak zmęczony, że już nie zależy mu na niczym. Policja przeganiała ciekawskie dzieci i jakieś miłe dziewczyny, które chciały z nami pogadać, a my się tylko przepraszająco uśmiechaliśmy.

O jedenastej park zaczął pustoszeć.

O siódmej mieliśmy być gotowi do wyjazdu.

O pierwszej obudził nas donośny głos.

"Proszę wstawać. Państwo nie mogą tutaj spać. Jesteście przecież wykształceni, przyjechaliście z cywilizowanego kraju i wiecie, że w parku spać nie wolno. Proszę wstawać. Halo! Pobudka! W parku nie wolno spać!".

To tylko mundurowa policja przyszła nas zabrać z parku. Przyprawdzili ze sobą nauczyciela angielskiego, poczciwego staruszka, który swym irytującym głosem wbijał nam do głowy te wszystkie mądrości o naszym wykształceniu i cywilizowanych krajach. Chcieli nas zabrać na noc do dyrektora szkoły, a my zwyczajnie mieliśmy dosyć i jedyne, czego chcieliśmy, to żeby się ulotnili i dali nam święty muzułmański spokój.

Poprosiliśmy ich o ten spokój, ale nauczyciel powtarzał, jak katarynka, swoje.

To my mu, że policja nam pozwoliła.

On nam, że on właśnie przyszedł z policją.

To my mu, że nie taka, tylko taka bez pagonów.

On nam, że to niemożliwe.

To my mu, żeby zapytał facetów ze stróżówki, w końcu to oni nas tu wpuścili.

A oni mu... że to wszystko prawda.

Policjanci popatrzyli tylko po sobie, coś pogadali, rzucili... "przepraszamy" i "dobranoc" i sobie poszli.

Bo mundurowym nikt o naszym internowaniu nie przekazał informacji, a stróża nikt o nic nie pytał.

Obudziłem się chwilę przed siódmą i zobaczyłem, że Ten Gruby w Słonecznych Okularach już na nas czekał. Siedział na ławce razem z Tym z Wąsem i przywitali nas radosnym "Dzień dobry!". Trzeba się było zbierać i jechać dalej. Al Bukamal już nie było w naszych planach. Chcieliśmy ruszyć na północ, w stronę Turcji, a ta informacja jeszcze bardziej ich uradowała. Radosnym unisono stwierdzili, że to "Veeery good! Veeery good!"^[11], i ruszyliśmy do mostu na Eufracie, gdzie czekał na nas kolejny słoneczny patrol.

"Ale nie możecie jechać. Już jest południe. Za gorąco! Zostaliście na śniadanie, to musicie zostać na obiad i kolację!".

Hadzi Halil nie dawał za wygraną. Siedzieliśmy u niego już od wieczora, a on jeszcze nie miał nas dosyć. Zajechaliśmy do niego zupełnie przypadkowo.

Po dotarciu do As Suar, gdy policjanci zapytali, czy chcemy spać pod namiotem, czy u ich "kolegi", stwierdziliśmy szybko, że nie będziemy się wciskać do domu komuś, kto nas nie zapraszał, i namiot, ale we wsi, zupełnie wystarczy. Wybraliśmy najbardziej oddalony od drogi dom i zabraliśmy się za rozbijanie namiotów. Widownia złożona z okolicznych mieszkańców rozsiadła się wygodnie na muldzie, która akurat chroniła nas przed wiatrem, i z głośnym cmokaniem komentowała naszą pracę. Raz nawet zażartowałem, że siedzą niemal jak w kinie i chyba zaczną sprzedawać bilety, ale jakoś nikt nie zrozumiał dowcipu i tylko zrobiłem z siebie jeszcze większego dziwaka. Ibrahim, starszy syn naszych najbliższych sąsiadów, przyniósł nam czajnik pełen bardzo słodkiej herbaty i wielki termos lodowatej wody. Zaczęli się zjeżdżać jacyś wioskowi starsi i co chwila musieliśmy wszystko rzucać, odkładać, przerywać pracę i z każdym się witać. Nie wystarczyło tylko kiwnąć głową lub rzucić "salam alejkum", trzeba było jeszcze ucisnąć rękę.

Halil akurat nie był kolegą tajniaków. Chcieli nas zabrać do hadzi Ismaila, ale mieszkał za blisko drogi. Dzieci Halila przyniosły nam niewielkie dywany, byśmy rozłożyli je dookoła namiotów i nie musieli siedzieć na piasku. Po jakimś czasie przyszło kilku starszych ze wsi przywitać się z nami. Zrobiliśmy herbatę, by ich jakoś ugościć, ale hadzi Ismail tylko stwierdził, że takiej to on pił nie będzie, bo "jest do dupy" [\[12\]](#). To tyle na temat manier i słynnej arabskiej gościnności. Pewnie się obraził, że nie spaliśmy u niego. Wciąż powtarzał, że jeśli nie przeprowadzimy się na noc do jego domu, to będzie wstyd dla jego rodziny, że hadzi Halil to nawet po angielsku nic nie mówi i że tak naprawdę nie ma dyskusji: mamy się pakować i iść spać do jego domu. My jednak nie braliśmy na poważnie jego słów o wstydzie rodziny i zostaliśmy tam, gdzie byliśmy.

A hadzi Halil tylko siedział z boku i się uśmiechał. I twarzą, i oczami, i swoim ogólnym "relaksem". Miał jakieś 50 lat, dwie żony i pięcioro dzieci. W Syrii można mieć nawet i cztery żony, jeżeli tylko ma się na to pieniądze i... cierpliwość. Wyobraźcie sobie cztery razy zespół napięcia przedmiesiączkowego — to jest dopiero wyzwanie!

Żony oczywiście powinny być w różnym wieku. Z czasem starsza zajmuje się bardziej domem, a młodsza raczej mężem.

Kiedy ja i Ben byliśmy zajęci rozbijaniem namiotów, Ania zniknęła z kobietami w domu i cieszyła się ich gościnnością. Kawą, herbatą, a na koniec nawet kąpielą.

Po rozbiciu namiotów wzięliśmy się z Benem za gotowanie kolacji i wszyscy zaczęli się po cichu rozchodzić. Znow trzeba było co chwila przerywać pracę i ponownie uściskać każdemu dłoń.

Dom naszych sąsiadów przypominał klasyczny "bunkier" na pustyni. Malutkie okna, grube ściany i płaski dach. Cała posesja składała się z dwóch bardzo podobnych do siebie domów układających się w literę L, a na podwórku ustawiono metalową platformę na metrowym podwyższeniu. Nocą cała rodzina rozkładała materace na tej platformie i zwyczajnie tam spała. Mogliby oczywiście spać na ziemi, ale muszą się jakoś chronić przed węzami.

Całe obejście odgradzała od świata rząd młodych topoli, zasadzonych bardzo niedawno. Przy samych pniach wykopano niewielki rów i dzieci musiały pilnować, by ciągle była w nim woda.

Córki nie chodziły do szkoły. Pomagały w domu i przydomowej spalarni śmieci. Ktoś przywoził im z miasta plastikowe worki i butelki, a one topiły to wszystko w niewielkim pokoju w budynku poza obejściem. Siedziały w tym dymie w szmacianych chustkach na głowie i z dumą pokazywały Ani, jak zarabiają pieniądze. Razem z nimi pracowała młodsza żona, która akurat była w zaawansowanej ciąży i nic sobie z tego nie robiąc, siedziała w tym trującym dymie.

Jak opowiedzieli nam miejscowi, kiedyś rejon As Suar był dużo bogatszy i bardziej żyzny. Od kiedy Turcy wybudowali tamę, "zamknęli rzekę", zaczęła się susza. Nahr Al-Khabur ("Źródło płodności") już nie nawadniała pól bawełny, sezamu, ryżu, żyta, a przede wszystkim pszenicy, jak kiedyś.

Hadzi Ismail cały czas próbował przejąć inicjatywę. Ania została z córkami hadziego Halila, a mnie i Bena Ismail zabrał do swoich owiec. Akurat była pora dojenia i musiał nam to wszystko pokazać, "żebyśmy się u Halila tak nie nudzili". Usadawił wszystkie swoje dzieci — a była ich pewnie z szóstka — na pace pikapa, a nas usadził wygodnie z przodu. Jechaliśmy idealnie płaską i wyasfaltowaną drogą prosto w pustynię. Ismail cisnął ponad 100 km / h, mając z tyłu gromadkę dzieci, ale widać było, że nie robi tego pierwszy raz. Z radia leciała jakaś głośna muzyka, a on opowiadał nam o swoim stadzie i trochę o sobie. Kiedyś mieszkał w Lipsku i w Barcelonie. Pracował w Rijadzie^[13], ale miał wypadek, więc wrócił do siebie na wieś. Teraz jego najstarsi synowie mieszkają w Arabii Saudyjskiej i pracują na budowie. Nas cały czas nurtowało pytanie, co TAK NAPRAWDĘ robił Hadzi w Arabii Saudyjskiej, dlaczego tajna policja zabrała nas do niego jako do "swojego przyjaciela" i skąd na pustyni, w niewielkiej wioseczce, znał tak świetnie angielski.

Owce czekały ustawione w dwa rzędy na środku zagrody tak, by obie grupy stykały się łbami. Głowy zwierząt jednego rzędu zazębiały się z głowami

zwierząt stojących w drugim. Kilka spóźnionych owiec delikatnie wbijało się w ten układ. Ludzie w ogóle nie musieli im pomagać, bo zwierzęta doskonale wiedziały, na czym to wszystko polega. Dzięki temu poganiacze łatwo mogli przepleść linę — niczym sznurówkę, która trzymała je razem w jednej zbitej grupie. Kobiety sprawnie doiły owce, a mężczyźni pilnowali, by zwierzęta stały w jednym miejscu.

Już po wszystkim jeden z poganiaczy delikatnie wyciągnął sznur, który rozplatając się, uwalniał kolejne owce, a te rozpierzchały się i czekały przy bramie, by znów wrócić na pustynię i szukać kolejnych źdźbeł trawy.

Tymczasem małe kozy, które Hadzi nazywał małpami, "bo wszędzie wleżą", skakały po całym podwórku, nic sobie nie robiąc z zamieszania.



Halil zaprosił nas na obiad. Formalnie byliśmy jakby jego sąsiadami i bardzo chciał nas ugościć. Ucieszyliśmy się i od razu wytłumaczyliśmy, że nie będziemy jeść mięsa. To znaczy: staraliśmy się wytłumaczyć, bo ani jego angielski, ani nasz arabski nie pozwalały na normalną rozmowę. W końcu rzuciłem, że dla nas "gusht^[14] jest haram^[15]" i miałem nadzieję, że to będzie zrozumiałe. Na pięknej ceracie, rozłożonej tym razem w pokoju, bo na dworze panował okropny skwar, żony Halila ułożyły wielką metalową tacę, a na niej talerze z frytkami, kozi ser z czarnym sezamem, pomidorami, humusem i... smażonym kurczakiem. To tak w kwestii mojego dogadywania się, że nie chcemy jeść mięsa. No tak, przyjechał wegetarianin do arabskiego kraju i na migi czy dukając, próbuje wytłumaczyć, że "nie, dziękuję". Popatrzyłem na hadźiego, a on z niewinną miną nałożył mi kawałek tego kurczaka i zapewnił, że "hallal"^[16], więc już nie muszę się martwić. Tym swoim "hallal" odegnał moje obawy o "haram". Dowiedziałem się wtedy, że "haram" znaczy nie tylko zakazane, ale i... nieczyste. No i kawałek zjeść musiałem.

Zaraz po obiedzie Ismail przyszedł nas odwiedzić. Nie mógł przeboleć, że już jedliśmy, i zaprosił nas na kawę. "Z prawdziwego, niemieckiego ekspresu do kawy! Halil wam takiej nie robi, bo takiego ekspresu nie ma".

Przy okazji starał się nam wytłumaczyć, że cała ta sprawa z policją, sprawdzaniem paszportów i "śledzeniem" wynikała z troski o nasze bezpieczeństwo. Przekonywał, że to ze względu na bliskość irackiej granicy. Nagle zaczął się lekko ekscytować: "Bo widzisz, tylu ludzi zabili w Iraku. Dwa miliony ludzi! I dlaczego? Teraz to Irak jest niebezpieczny nawet dla mnie. Pieprzyć Amerykę! Pieprzyć Blaira! Widzisz, Ben, ja do Anglików nic nie mam, ale Blair? Pier****ć go! Pier****ć Busha i jego Amerykę!".

Tak jak nagle zaczął się denerwować, tak samo nagle zapadła cisza. Ismail spojrział tylko na swój amerykański samochód i, już spokojnie, dodał: "Ameryka robi tyle dobrych rzeczy. Samochody lubię. Coca-colę też. Ale pier****ć Busha! Pier****ć!".

Gdy patrzy się na Syryjczyków, którzy (zwłaszcza na pustyni) ciągle chodzą w kefijach (kwadratowych chustkach, najczęściej białych w drobną kolorową kratkę, widok ich krótkich włosów zawsze dziwi. Nagle głowa im się zmniejsza i wyglądają jak mali chłopcy, a nie jak pustynni wojownicy: ludzie wytrwali i twardzi. Ismail powinien mieć na sobie kefiję, gdy opowiadał nam o Bushu. Zupełnie inaczej by to zabrzmiało. Nie jak pokrzykiwania chłopca, ale jak ryk pustynnego rycerza.

Podróżując przez pustynię, ma się ją całą dla siebie. Wszędzie można się zatrzymać, wszędzie obozować. Nawet jeżeli to miejsce należy do kogoś, to i tak nie robi to większej różnicy. Pustynia jest pusta i jedna kupka piasku czy żwiru nie różni się wiele od drugiej. Co innego, gdy jedzie się wzdłuż pustynnej rzeki, która rozdaje życie po obu swych brzegach. Wtedy przemierza się tereny, które na pewno do kogoś należą, i zorganizowanie postojów czy obozowisk nie jest już takie proste. Nie dość, że trzeba kogoś zapytać, bo to przecież "jego teren", to jeszcze trzeba uważać, by nie podeptać temu komuś marchewki albo pietruszki.

W drodze na północ, do coraz bliższej Turcji, nie było mowy ani o łatwym znalezieniu kempingu, ani o samotności. Po kilku kilometrach wieczornego i naiwnego poszukiwania jakiejś pustki ostatecznie wjechaliśmy pod czyjś dom. Wskazałem na gliniany placyk na tyłach domu i na migi i dukając "Czadyr? Czadyr?"^[17], zapytałem, czy możemy u nich nocować. "Zapytałem" to trochę za dużo powiedziane, ale fakt faktem wyglądało na to, że możemy się tam zatrzymać. W takich sytuacjach, bez względu na zmęczenie, szybko rozbijamy namiot, by nasi gospodarze od razu na 100% zrozumieli, na co się zgodzili. Żeby

nie myśleli, że mu tu tylko przyjechaliśmy chwilę odsapnąć i potem pojedziemy sobie dalej. "Potem" to będzie jutro, chyba że się bardzo polubimy, to może być nawet pojutrze.

Abdul Aziz, bo tak mu było na imię, tylko się uśmiechnął i pokazał, że nie ma sprawy. W takich sytuacjach bardzo pomaga ten wynalazek językowy, jakim jest "OK!". Od razu wiadomo, że się rozumiemy. Trzeba tylko uważać, by nie wystawiać kciuka do góry, bo w niektórych kulturach to bardzo obraźliwy i obsceniczny gest.

Dzieci Abdula przyniosły nam tradycyjnie już dzbanek lodowatej wody, herbatę i, jak zawsze w Syrii, jedną szklankę. Kiedyś dziwiliśmy się, dlaczego szklanka jest tylko jedna, skoro nas jest troje, ale szybko nauczyliśmy się, że tutaj (jak i w Pakistanie czy Indiach) pijący nigdy nie dotykają ustami szklanki czy butelki. Najzwyczajniej nalewają sobie odrobinę wody prosto do ust i szklanka pozostaje nietknięta.

A więc dzieci Abdula przyniosły dzbanek lodowatej wody, herbatę i plastikowe krzesła. Po drugiej stronie domu Abdul wyhodował sobie dwa przepiękne trawniki. Dwie cudowne wyspy zieleni na morzu spieczonej gliny. Był z nich wyjątkowo dumny i zaczął nas przekonywać, że właśnie tam powinniśmy rozbić namioty. Nie mieliśmy jednak serca, by gnieść tak śliczną, wypielęgnowaną trawę, i dalej wbijaliśmy śledzie w ciepłą i twardą glinę.

Gdy tylko wyjęliśmy prymusy i warzywa, Abdul stanowczo pokazał nam "nie" i wytłumaczył na migi, że za chwilę będzie kolacja i że jesteśmy zaproszeni.

Na kolację zaprosił nie tylko nas — ostatecznie zebrało się wszystkich jego ośmiu braci. Każdy z nich na powitanie dotykał dłonią albo głowy, albo serca i coś mówił. Było ich aż tylu, bo ich ojciec miał dwie żony i w sumie 23 dzieci. Ci, którzy się zebrali, byli synami tej samej matki. Abdul narysował mi drzewo genealogiczne całej rodziny. Pierwsza żona ojca: tyle synów, tyle córek. Synowie: tyle żon i tyle dzieci każdy. Druga żona ojca: tylu synów, tyle córek. Synowie: tyle żon i tyle dzieci każdy. On, to ten tutaj, a to jego rodzina itd. Ciekawe, że nijak nie wiedział, ile dzieci mają jego siostry. Może, gdy wychodzą z domu i wchodzą do nowej rodziny, odchodzą ze starej? I Abdul nie utrzymuje z nimi kontaktów? Zatem nie wie, ile mają dzieci i czy są pierwszymi, drugimi, trzecimi, czy czwartymi żonami swoich mężów?

Najbardziej wesoły brat, chyba Ali (tutaj co chwila ktoś ma na imię Abdul, Mohammad lub Ali), starał się wszystkich zabawić jakimiś wygłupami. Trzeba było zacząć się integrować, i to bez znajomości języka i bez kropli alkoholu, więc Ali wziął na siebie ciężar animatora grupy i stanowisko oficera kulturalno-oświatowego. Wesoło było, i to bardzo, a wszystkie próby wywołania interakcji skupiły się na Benie. Pewnie dlatego, że był Brytyjczykiem.

Żony ugotowały wielką kolację, a bracia rozsiedli się z nami dookoła metalowych tac i kazali nam sobie ciągle dokładać. My jednak już wiedzieliśmy, na czym to wszystko polega. Otóż parę domów wcześniej ktoś zaprosił nas na obiad. Uradowani i głodni siedliśmy do kolejnej ceraty i kolejnej tacy z poustawianymi talerzykami pełnymi zataru, sera, frytek itd., objedliśmy się więc jak baki, bo przy tacy siedzieliśmy tylko my i gospodarz. Dopiero gdy skończyliśmy, mąż oddał tacę z resztkami rodzinie, która siedziała cały czas za nami i czekała, aż skończymy. Jakoś całe to wspaniałe jedzenie nagle przestało nas cieszyć, bo jak dla nas cała ta sytuacja była trochę bez sensu. Nic nie mogliśmy już zrobić, ale po cichu obiecaliśmy sobie, że następnym razem... No i właśnie u Abdula przyszedł ten następny raz i nie pomyliliśmy się. Gdy już przekonaliśmy wszystkich, że więcej nie zjemy, do tacy ruszyły dzieci i żony.

Ja wiem, że za tym wszystkim kryje się jakaś logika, tradycja i cała reszta, ale wiem też, że to nie jest w porządku.

Był środek dnia. Z letargu, który nas dopadł pod metalowym daszkiem zamkniętego sklepu, wyrwał nas cichy głos jakiegoś chłopaka.

"Mama zaprasza was na herbatę".





Okazało się, że siedzieliśmy pod daszkiem ich sklepu, i trzeba było iść. Raz, że gdybyśmy odmówili, byłoby to niegrzeczne, a dwa, że dlaczego nie. Choć naszą pierwszą reakcją było: "nie, bardzo dziękujemy", po chwili ocknęliśmy się i oczywiście przyjęliśmy zaproszenie.

Dom znów wyglądał na bunkier. W pustynnych warunkach to oczywista oczywistość, że okna są małe, bo przed słońcem chroni się każdy, kto może; że dach jest płaski, bo nie pada, a ściany grube, by trzymały upał na zewnątrz.

Mama chłopca miała na imię Nooria, co w moim luźnym tłumaczeniu znaczyło Świetlna^[18]. Taką też, rozpromienioną twarz miała ta czterdziestoletnia kobieta.

"A my mamy aż cztery pokoje" — pochwaliła się jedna z jej córek. W kraju małych, glinianych bunkrów ich dom, choć też bunkier, był pomalowany z zewnątrz i przez to prezentował się wyjątkowo.

Oczywiście pojawiła się herbata i ciastka i przyszedł nawet jakiś wujek. W pewnym momencie zjawił się też gburowaty policjant. Zażądał naszych paszportów, zaczął o coś wypytywać Noorię i wszyscy nagle przycichli. Gdzieś umknęła wcześniejsza beztroska i postanowiliśmy ruszyć w dalszą drogę.

Trzeba było jechać. Minąć wielkie rondo, a przy nim tablicę IRAQ 88 km, TURKEY 10 km i wybrać to drugie.

Trzeba było jechać dalej.

Dla takich jak my, ciągle żądnych wrażeń i spotkań, przejechać 100 czy nawet 150 kilometrów w jeden dzień nie jest wyzwaniem. Rzadko jeździliśmy tyle kilometrów, ale jest to do zrobienia. Siada się i jedzie się.

Dla nas wyzwaniem jest raczej usiąść w jednym miejscu i "nic" nie robić.

Nasycać się i nie być chciwym.

Przejście graniczne z Turcją wygląda tak niepozornie, że wcale go nie zauważyliśmy. Prawie nie było czego zauważyć, poza wielkim murem, flagą wystającą zza tego muru i żołnierzem siedzącym na monobloku — chińskim plastikowym krześle. Mała, niepozorna i nieatrakcyjna brama, a w niej równie niepozorny i nieatrakcyjny żołnierz. Żadnego "Dzień dobry", żadnego "salam alejkum", tylko prosto i rzeczowo "PASZPORT!". Podjechaliśmy do okienka z napisem "Wyjazd - cudzoziemcy". Tuż obok było drugie okienko: "Wyjazd - Arabowie", ale zanim nas przyjęli, musieliśmy iść po kwit opłaty wyjazdowej. Tak właśnie: wyjazdowej. Żeby wyjechać z Syrii, nie wystarczy tylko przekroczyć granicę, trzeba najpierw za to zapłacić. Całe 550 syryjskich funtów (choć na kwicie jest jednoznacznie wydrukowane: 500 funtów). Ciekawe, co by się stało, gdybyśmy odmówili opłaty. Trzymaliby nas za karę w kraju?

Wróciliśmy z kwitem i zaczęło się powolne spisywanie danych.

— Imię ojca? "Jerzy".

— Imię matki? "Teresa".

Te dwa poszły nawet łatwo. Urzędnik za bardzo się nie wysilał i pisał wszystko fonetycznie. I tak nikt nigdy nie będzie tego sprawdzał, ale coś wpisać musiał.

Przyszła kolej na Anię.

— Imię ojca? "Józef".

Poszło łatwo, Arabowie mają Yosefa, więc jakoś się to wpasowało.

— Imię matki? "Władysława".

I tu zaczęły się fonetyczne schody. Oficer tylko podniósł lekko oczy i jakby pytał nimi, czy my mu robimy na złość, czy co? Chwilę się pogimnastykował nad pięknym słowiańskim imieniem i mogliśmy jechać dalej.

Przekroczyliśmy granicę i nagle wszystko się zmieniło. Przede wszystkim krajobrazy i zapachy. Pojawiła się zieleń i niemal pocztówkowa malowniczość zamiast upalnego beżu. Pojawiły się zapachy kwiatów i leśnej roślinności zamiast dojrzałego zboża i przejechanych psów.

Od lat Syria, Turcja i Iran walczą wśród rowerzystów i autostopowiczów o palmę pierwszeństwa w nieustającym konkursie na najbardziej gościnny kraj. Trudno wybrać, który jest tym "naj", bo przecież w każdym z tych krajów gościnność ma trochę inną formę. Skupia się na innych drobiazgach.

Syryjczycy zapraszają do domu i wcale się nie przejmują, że znasz po arabsku tylko kilka słów. Zaraz przyniosą ci herbatę albo kawę z

kardamonem. Zawsze zadają te same "życiowe" pytania o rodzinę, dzieci, pracę.

Turcy są trochę bardziej wyrafinowani i bardziej cisi. Kiedyś w pewnym miasteczku kupiliśmy coś do picia. Jakieś butelkowane, gazowane i bardzo słodkie świństwo, które dla rowerzysty jest najlepszym źródłem energii na najbliższe pół godziny. Sprzedawca odruchowo zapakował to do foliowej torby. Szybko oddałem mu tę torbę i pokazałem, że i tak zaraz wypijemy, więc dał nam... dwa jednorazowe kubeczki. O nic nie pytał, o nic nie prosił.

Iran znaleźliśmy z poprzedniej podróży i z jego rodzinno-prezentowej strony. Coś pomiędzy Syrią a Turcją, zależnie od tego, na kogo się trafiło.

Syrię mieliśmy już za sobą.

Przyszędł czas na Turcję.

[1] Wezwanie wyznawców islamu do modlitwy (salat), która należy do obowiązków każdego muzułmanina. Wygłaszany jest z minaretu przez muezina, który pięć razy w ciągu dnia wzywa do modlitwy [źródło: Wikipedia].

[2] Tryktrak — gra planszowa dla dwóch osób. Każdy z grających dysponuje 15 pionkami w różnych kolorach; pionki przesuwają się po planszy składającej się z 24 pól (trójkątów), nazywanych liniami; gracz porusza się o tyle pól, ile wskazuje liczba oczek wyrzuconych dwiema kostkami. Celem gry jest zdjęcie wszystkich swoich pionków z planszy. Wygrywa ten, który uczyni to pierwszy [źródło: Wikipedia].

[3] Zenobia (Septimia Zenobia lub Xenobia) — żona króla Palmyry Septimiusa Odenathusa. Po jego śmierci w 267 r. sama rządziła królestwem [źródło: Wikipedia]. Więcej o Zenobii w dalszej części książki.

[4] Waclaw Korabkiewicz, *Kajakiem do Indii*.

[5] W filmie *Królestwo niebieskie* Orlando Bloom gra postać historyczną Beliana z Ibelinu, obrońcy Jerozolimy.

[6] Wnuk samego Mahometa.

[7] Nie zagłębiając się w trudniejsze definicje: do podziału muzułmanów na szyitów i sunnitów doszło zaraz po śmierci Mahometa. Szyici popierali Alego, jako należytego następcę Proroka, sunnici zaś twierdzili, że Ali jest za młody i musi poczekać na swoją kolej. W wyniku zawirowań politycznych doszło do wojny, której najważniejszym punktem była masakra w Karbali (Irak). Do dziś szyici i sunnici żywią do siebie niechęć i się zwalczają (zob. zamachy w Iraku).

[8] Żurawi studziennych.

[9] Z angielskiego: "Polski futbol bardzo zły!".

- [10] Z angielskiego: "Nic się nie martw".
- [11] Z angielskiego: "Baaardzo dobrze! Baaardzo dobrze!".
- [12] Powiedział po angielsku: "This tea is shit! I won't drink it".
- [13] Stolica Arabii Saudyjskiej.
- [14] Z arabskiego: "mięso".
- [15] Z arabskiego: "zakazane".
- [16] Z arabskiego: "zabite z błogosławieństwem".
- [17] Z arabskiego: "Namiot? Namiot?".
- [18] Noor — z arabskiego: "światło".

Turcja



Hotel zwany stacją benzynową

Zajeżdżasz na stację benzynową po wodę i może jeszcze do toalety. W swej ciągłej naiwności myślisz sobie: "Raz-dwa i już mnie nie ma". Tymczasem chłopak z obsługi już pyta, skąd jesteś, i przynosi tacę, a na niej dzbanek gorącego czaju. Trzeba zostać na moment i pogadać. Zjeść słodczyce, które nagle, w jakiś magiczny sposób, znikąd pojawiają się na stoliku.

Czasem tym magikiem jest drugi chłopak z obsługi, czasem przygodny kierowca, który właśnie zatankował paliwo i chce się z nami czymś podzielić.

Czasem trudno to wszystko ogarnąć. Tyle sympatii, o którą nigdy nie prosiłeś. Czasem trudno się do tego przyzwyczaić i przyjąć to z szacunkiem, a jednocześnie "tak po prostu", jak najnormalniejszy międzyludzki gest.

Nasz niewielki kawałek Turcji odmierzaliśmy właśnie stacjami benzynowymi i szklankami *Camellia sinensis*. Czasem był to dodatkowo świeżo upieczony w restauracji obok chleb albo klucze od łazienki dla kierowców ciężarówek — z ciepłą wodą i prysznicem.

W dobrej podróży wszystko może być niespodzianką. Zależy, jak to "coś" odbierasz. Możesz na przykład zatrzymać się na stacji i nocować w przystacym meczecie. Musisz tylko poczekać do późnego wieczora, do ostatniej modlitwy, i liczyć się z pobudką o świcie, gdy ktoś przyjdzie się modlić.

Zatrzymaliśmy się przy jakichś barakach i po chwili wyszedł z nich młody mężczyzna. Od razu zaczął nas pozdrawiać, przywoływać, ustawiać w cieniu plastikowe krzesła i przyniósł herbaty. Na wielkim suchym pustkowiu najedliśmy się wafelków, opiliśmy się Bergamot Aromat Organik Siyah Çay, a gdybyśmy zostali chwilę dłużej, zjedlibyśmy duży obiad. Gdybyśmy przyjechali kilka godzin później, zostalibyśmy na noc.

Ledwo opuściliśmy bazę budowlaną, po kilku kilometrach jazdy ciągle pod górę zrobiliśmy sobie "kolejną dłuższą przerwę" i już po chwili zatrzymał się samochód. Wskoczył z niego bardzo wesoły człowiek, a chwilę później cała jego rodzina. Z wyjątkiem któregoś z "kuzynów", który, choć bardzo chciał, nie mógł wyjść, bo "miał coś z nogą". Na dzień dobry obdarowali nas kilkoma plackami chleba i zaczęliśmy robić sobie nawzajem zdjęcia. Gdyby to była na przykład Polska, to dostalibyśmy bochenek, a że to była Turcja — to placek. Taki to u nich chleb: im dalej na wschód, tym bardziej płaski.

Wszyscy dookoła coś do nas mówili.

Gdzieś kiedyś słyszałem, że po jeziorze Wan kursuje prom kolejowy. Ponoć pociągi dojeżdżają do Taftan, wagony ładowane są na prom, który po 4 - 5 godzinach dopływa do miejscowości Wan, skąd pociąg jedzie dalej, na przykład do Iranu.

Jezioro jest wielkie. Ogromne. Gdyby chcieć objechać je dookoła, trzeba byłoby zrobić 430 kilometrów. Tyle, co z Warszawy do Wałbrzycha. Na lewym brzegu jeziora znajduje się wygasły wulkan — Nemrut. To właśnie z powodu tego wulkanu jezioro nie ma odpływu. Wybuchł nie w tym miejscu, co trzeba, i wszystko zablokował. Naukowcy odkryli, że osady zbierające się na dnie mogą mieć nawet 800 tysięcy lat i 400 metrów grubości. Bardzo chcieliby sobie w tych osadach powiercić i dowiedzieć się, jak zmieniał się klimat w tym rejonie, ale jezioro ma średnio 170 metrów głębokości i takie badania nie byłyby ani łatwe, ani... tanie. Gdyby tak zliczyć grubość tych osadów i maksymalną głębokość jeziora, to mielibyśmy okazałe 570 metrów.

Ania nie czuła się najlepiej w tych wietrznych górach, a kobiece dolegliwości dodały nam tylko przekonania, że zamiast śmigać kolejne przełęcze, trzeba przepłynąć się po tym kurdyjskim morzu, jak nazywa się jezioro Wan. Jako że kursuje tam prom kolejowy, to i bilety były jak na pociąg. Wystawione przez najprawdziwszego... konduktora! Wszystko zaczęło się bardzo wesoło i nawet widok spawaczy, którzy na szybko naprawiali coś na tym promie, jakoś nas nie wzruszył. A już na pewno nie przestraszył. A że prom wypływał przez ten remoncik trzy godziny później? No i dobrze.

W porcie, na malutkim dworcu kolejowym, młody chłopak był tym od obsługi czajnika. Dla niego taka obsługa w rozkładzie jazdy to tylko dodatkowe

pieniądze. Porozmawialiśmy sobie o tym i owym, bo na szczęście (dla nas wszystkich) świetnie mówił po angielsku. Kiedyś gdzieś tam coś studiował i teraz sprzedaje herbatę na dworcu. Na nieszczęśliwego nie wyglądał i z uśmiechem biegał z wielką tacą, roznosząc herbatę w małych szklaneczkach z trzema kostkami cukru.

Obsługa ułożyła nasze rowery pomiędzy wagonami i... ruszyliśmy. Otoczył nas seledyn wody. Wzgórza ośnieżone podparte soczystą zielenią i błękit nieba z rozmazanymi wysoko chmurami. Bryza. Wszystko doskonale zgrane w idealną całość. Powolność promu i jego spokój, tak idealnie pasujące do krajobrazu.

Jeszcze dzień wcześniej ostatni adhan wędrował nocą po tafli jeziora. Odbijał się echem od wody i otaczających ją wielkich gór. Wysoko nad nami, choć jakby na wyciągnięcie ręki, zalegał jeszcze śnieg odbijający róz zachodu słońca.

Dziesiątki kilometrów niżej, zanim rozbiliśmy namiot przy przydrożnej restauracji, wędrowaliśmy rowerami w górę rzeki Bitlis. Rzeki pełnej wiszących niby modlitewne flagi... plastikowych worków. Zawisłych na gałęziach, jakby rzeka modliła się o chwilę spokoju. Wytchnienia. Daremnie.

W ładowni odpoczywał pociąg towarowy do Iranu i zostaliśmy jedynymi pasażerami na całym promie. Zamknięty bar, setki pustych foteli i cisza. Żadnych bawiących się między pasażerami dzieci, żadnych uśmiechniętych turystów. Cisza podsycana buczeniem silników i szumem fal. Otoczył nas spokój nie do wyrażenia słowami. Idylla.

Załoga postanowiła się jakoś nami zająć. Jakoś nas ugościć i wypełnić nam czas. Zaprosili nas na obiad, na herbatę, na zwiedzanie statku i... na podróż powrotną. "Popłyniecie z nami wieczorem. Jezioro w nocy wygląda jeszcze bardziej niesamowicie. A śnieg na Çadır Dağı oświetlony księżycem? Jest jak z bajki. Jutro przypłyniecie z powrotem do Wan. Co wam szkodzi? Prześpicie się u nas!".

W nocy, którą spędziliśmy w namiocie na jakiejś przyjaznej stacji benzynowej, padał deszcz, a z nieba biły pioruny. Çadır Dağı i jego 3537 m n.p.m. spał spowity w ciemnościach.

Na północno-wschodnim końcu jeziora, tuż przed skrzyżowaniem dróg na Muradiye i Erciş przy drodze, którą o świcie próbowało przekroczyć kilka tysięcy gąsienic rozjeżdżanych kołami samochodów, w niewielkim lasku stała knajpka. Kawalek przed knajpką, na piaszczystej plaży, kurdyjscy chłopcy w różnym wieku łowili ryby. Na żyłce uwiązywali siatkę z ciężarkiem i rzucali ją jak najdalej. Czasem, gdy za bardzo przejmowali się naszą obecnością i przesadnie się starali, oplątywali się żyłką lub wypuszczali ją z rąk w tak nieudany sposób, że musieli ją na koniec łapać w wodzie. Od czasu do czasu wyciągali niewielką rybę i zanim wrzucili ją do kosza, musieli ją nam pokazać. Najlepiej "do

sfotografowania".

Zbiegiem okoliczności trafiliśmy na główny sezon połowu jedynej i w dodatku endemicznej ryby. Ryba ta jest tak wyjątkowa, że nawet nie ma polskiej nazwy. Przynajmniej ja nigdzie nie znalazłem, by *Chalcalburnus tarichi* ktoś przetłumaczył na nasz ojczysty język. Ponoć w maju - czerwcu połowy są tak łatwe i tak udane, że miejscowi nie muszą łowić ryb przez pozostałe miesiące roku.



"My name is? My name is?" [\[1\]](#) — krzyczały za nami grupki kurdyjskich dzieci, które na nasz widok zostawiały swoje stada owiec lub krów i pędziły do drogi, by nas zaczepić. Czasem zaczepiały mniej wesoło i bardziej desperacko, wykrzykując w naszą stronę: "Money!!! Money!!!" (czyli: "Kasa!!! Kasa!!!").

Takie to ich dziwne życie. Daleko w górach, ze stadem owiec i z kolegami lub braćmi. Same. Z parasolem i workiem przerzuconym przez plecy. Nie ma czasu na szkołę i planowanie "lepszego przyszłości", a z nudów można pobiec za turystą i poprosić go o parę groszy albo obrzucić kamieniami lub nawet poszczuć wielkim psem — kangalem. Taki pies jakby tylko na to czekał. Jakby tresowano go nie tylko do walki z wilkami, ale i do przegania turystów. Wikipedia co prawda informuje: "**Tureckie psy pasterskie cechuje lojalność wobec przewodnika. W większości są nieufne w stosunku do obcych i wymagają szkolenia w zakresie posłuszeństwa**", ale kto by to czytał. Gdy kilka takich psów ruszy w pogoń za rowerzystą, jego jedyną szansą jest ucieczka. Stary sposób — "zatrzymaj się i zagadaj psa, a mu się odechce" — tu jakoś nie działał. Musieliśmy pędzić z górki i liczyć na to, że psy nas nie dogonią. Jednego razu wyciągnął nas z opałów kierowca, który wjechał między psy a nas i kazał nam uciekać, a sam wziął się za obrzucanie psów kamieniami. Wieśniacy stali w tym

czasie na dachach, niewzruszeni, i wyglądało to, jakby postawili zakłady, kto będzie szybszy. Psy czy my. Jakoś nikt nie rwał się do zawołania psów do domu.

Proste gliniane domy. Skromne. Biedne. Na płotach lub porozciąganych sznurkach suszyły się ubrania. Grube, jakby zgrzebne, ze śladami długiego noszenia i odbarwione niejednym praniem. Między domami zalegały stopy krowiego nawozu do palenia w piecach. Na dachach poustawiano duże metalowe łóżka. W końcu było lato i pewnie za grubymi murami ciężko było spać. Wszędzie dookoła rosła tylko trawa i kilka drzew.



W Wan kurdyjscy chłopcy, przeganiani przez wszystkich, próbowali sprzedawać papierosy. W Doğubeyazit, tak samo przeganiani, szukali klienta, aby mu wyczyścić buty. Mali, może ośmioletni, w obdartych ubraniach i z brudnymi twarzami. Jak przystało na dzieci ulicy. W małych grupkach i z desperacją w oczach.

Kilka kilometrów przed turecko-irańską granicą, przy tej wygodnej, szerokiej drodze, w pewnym momencie i jakby pośrodku niczego stoją niewielki sklepik i mały meczet.

Stoją naprzeciw sobie, ale po różnych stronach tej drogi. Dokładnie drogi D-100, która kilka tysięcy kilometrów bardziej na zachód przechodzi tuż obok lotniska Atatürka w Stambule.

Wiatr wiał od rana prosto w oczy, a z lenistwa i z powodu długiego śniadania wyjechaliśmy z Doğubeyazit za późno.

Śniadanie jest doskonałym usprawiedliwieniem wszelkiego lenistwa w Turcji. Co do tego nie powinno być żadnej dyskusji, w końcu menu takiego śniadania samo wszystko tłumaczy. Otóż tych smakołyków, najzwyczajniej,

zał jest jeść w pośpiechu. Świeże pomidory, pyszne jak nigdzie indziej na świecie; suszone czarne oliwki wyjadane prosto z puszki, w której kąpią się w oliwie; biały chleb o skórce tak chrupkiej, że nasycić się można samym jej odgłosem, i sery typu feta. Nie je się tego jak w Polsce — robiąc wielką, zapychającą kanapkę — ale właśnie powolutku i w małych ilościach. Kawałek pomidora i fety albo oliwki, a wszystko zagryzane kawałkiem chleba. Do tego idealnie pasuje czarna, wyjątkowo aromatyczna herbata, która musi być słodka. To dziwne: żadnej innej herbaty nie słodzę, a do tureckiej dodaję cukru wręcz instynktownie. Jakby cukier wydobywał z niej jeszcze więcej smaku i aromatu.

Nawet tej herbaty pije się "po trochę", by nie zagłuszyć innych smaków.

Wyjechaliśmy za późno, by miało sens przekraczanie granicy. Wiza była ważna przez trzydzieści dni od dnia wjazdu, więc oczywiście lepiej było wyjechać z samego rana. Przy okazji wyszło na jaw, że nikt z nas o tym nie pomyślał i nie mieliśmy niczego do jedzenia i żadnych tureckich pieniędzy. To znaczy mieliśmy, ale takie na pamiątkę, a tu trzeba było kupić coś na obiadokolację i może nawet na śniadanie. W sklepiku były tylko napoje i jajka plus jakieś owoce, ale na obiad już raczej nic. Dlatego Ben, za namową sklepikarza (na migi), postanowił pojechać do wsi, którą widać było u podnóża gór. Jakieś 5 kilometrów od drogi. Gdy wrócił, powiedział nam, że miejscowi nie chcieli od niego żadnych pieniędzy i spontanicznie naładowali mu do sakw warzyw i innych smakołyków, więc te zaskórniaki, które nazbieraliśmy, poszły na rozpusztę — czekoladę!

Pokazaliśmy nasze namioty, wskazaliśmy palcem teren dookoła meczetu i przytuliliśmy złożone dłonie do policzka, a gość sklepikarza tylko się uśmiechnął i pokiwał głową na zgodę. Dla pewności "zapytaliśmy" jeszcze raz, a on dla pewności jeszcze raz pokiwał głową. Okazało się po chwili, że jest mułłą z tego meczetu.

Rozbiliśmy namioty pod świątynią, a przed nami rozpościerał się widok na dostojny Ararat przykryty częstym o tej porze roku chmurami. Od prawej strony nadchodziła czarna chmura i nagle rozpostarła się przed nami tęcza. Niby zwykłe zjawisko fizyczne, a mimo wszystko jest w tych kolorach coś magicznego. Jakoś lepiej się człowiek czuje. Nie tylko weselszy, ale i bardziej natchniony. Jakby stworzony do czynienia pięknych rzeczy.

Mieliśmy zegnać Turcję, śpiąc pod niewielkim zielonym meczetem, spoglądać na Ararat i cieszyć się tęczą.

Innego zdania był jakiś kierowca, który co prawda zatrzymał się przy meczecie po wodę, ale stanowczo odradzał nam spanie. Dukał tylko w kółko, że jest z Erzurum, że jest Turkiem i że jeżeli zostaniemy tu na noc, to "ci Kurdowie poderzną nam gardła", i że on wie, co mówi, bo jest przecież Turkiem. Próbowaliśmy go zbyć uśmiechem, ale to tylko pogarszało

sytuację. Zaczął się denerwować i jakby wyraźniej dukać jeszcze raz to samo. Gdy myśleliśmy, że dał sobie spokój, on tylko poszedł do sklepiku i urządził sprzedawcy dość głośną scenę, ale i tak wyszedł przegrany. Jeszcze zanim wsiadł do samochodu, pokazał na otaczające nas góry i powiedział tylko: "Ludzie tutaj...", i przejechał wymownie palcem po szyi. Trzasnął, wyraźnie wściekły, drzwiami i pojechał. Pewnie do siebie, do Erzurum. A my przez jakiś czas siedzieliśmy, spodziewając się, że na nas doniesie i zaraz odwiedzi nas policja lub wojsko.



Sklepikarz i hadzi Sedirh przyszli nas uspokoić. Nie znaliśmy żadnego wspólnego języka, ale jakoś odruchowo hadzi pokazał na odjeżdżający samochód i tylko machnął ręką, więc stwierdziliśmy, że kazał nam nie słuchać Turka z Erzurum. Inna sprawa, że tamten kierowca, będąc Turkiem, mógł tak o Kurdach myśleć. W końcu nie był tu mile widziany. Dla wielu Kurdów był jednym z okupantów, więc sam mógł się bać "ludzi tutaj".

Spaliśmy już wcześniej w meczecie dla podróżnych na jednej ze stacji benzynowych. Od innych budynków różnił się zielonym kolorem wnętrza i miniminaretem dobudowanym do dachu. Chłopaki od tankowania benzyny sami woleli, żebyśmy spali "gdzieś wewnątrz" zamiast w namiotach. Jedynym problemem z meczetem był czas modlitw. Po prostu musieliśmy poczekać do ostatniej i wstać przed pierwszą.

Kiedyś wyglądało na to, że będziemy spać na pace ciężarówki, ale wybawił nas z opresji Ali — pewien wojskowy, który budował obok dom i dzięki któremu rozbiliśmy namioty w otynkowanej skorupie nowego budynku. Cała ta historia zaczęła się zresztą kilkadziesiąt kilometrów wcześniej. Droga ciągnęła się złośliwie wśród fabryk, portów i chyba jakichś cementowni. Nigdzie nie mogliśmy znaleźć skrawka ziemi. Jediną możliwością noclegu dawała plaża, która jednak wcale nas nie zachęcała. Wszystko na niej pokrywały jakieś plamy ropy, resztki śmieci i drobiazgi, które dryfują dookoła portów. Nie wiedzieliśmy, co mamy robić. Do najbliższego miasta wciąż pozostawało kilkadziesiąt kilometrów, a był już późny wieczór. Wyratowali nas przypadkowi ludzie. A dokładniej: członkowie klubu podróży rowerowych. Jechali minibusem i zmartwili się, gdy nas zobaczyli. Sami najlepiej wiedzieli, jak daleko było stamtąd do miasta, i odradzali nam spanie pod namiotem. Bali się, że "ktoś nas okradnie", i dali nam kartkę — krótki list — do właściciela restauracji, do której mieliśmy dojechać po kilku kilometrach. Obiecali, że ten człowiek nam pomoże, bo kogo jak kogo, ale jego dobrze znają, zresztą zaraz do niego zajadą i wszystko mu wytłumaczą, a ten list to tak dla pewności.

Właściciel restauracji, do której za jakiś czas dojechaliśmy, bardzo nam chciał pomóc, ale nie miał za bardzo jak. Knajpka była pełna weselnymi gośćmi i wszystkie pokoje były wynajęte. Przed restauracją — wielka droga, za restauracją — baza tureckiej armii. Żadnego miejsca pod namiot, a na wesele nie udało nam się wkręcić.

W końcu wymyślił, że moglibyśmy zrzucić pudła z ciężarówki i rozbić sobie namioty na pace. Moglibyśmy też spać bez namiotów, ale zjedzą nas komary.

Pomyślałem, że na pace ciężarówki to ja jeszcze namiotu nie rozbijałem, ale właśnie w tym momencie przyszedł Ali i zabrał nas do siebie.

Kiedy indziej, choć znów wplątali się w to ludzie ze stacji benzynowej, spaliśmy w pokoju z łazienką. Chcieliśmy tylko nabrać wody i powoli szukać łąki pod namiot, ale niejaki Ahmed, pracownik stacji, z oczywistością w głosie oznajmił nam tylko: "Du schlafen hier, ja? Du schlafen hier Freund. Schlafen kein Problem. Bitte" ^[2]. Pokój nie był jeszcze umeblowany, więc i cennika nie miał, a że byliśmy zaproszeni, to i tak by pewnie nikt od nas pieniędzy nie wziął, bo dlaczego miałby brać.

Jak powiedział kiedyś mój kolega z pewnego kraju w Azji Środkowej: "Ja wszystkim tłumaczę, że do nas to tylko gołodupce przyjeżdżają. Jak któryś ma pieniądze, to jedzie do Egiptu i na pewno nie na rowerze".

Fakt.

Naszym majątkiem nie był portfel.

Naszym majątkiem był wolny czas.

I mijani ludzie — to oni byli naszym prawdziwym wspomnieniem i to od nich zależało, jaka ta podróż będzie.

[1] Z angielskiego dosłownie: "Mam na imię? Mam na imię?".

[2] Z niemieckiego: "Ty spać tutaj, tak? Ty spać tutaj, przyjaciel, żaden problem. Proszę".

Iran



Czasem jesteś kimś więcej niż tylko sobą. Czasem reprezentujesz jakąś grupę ludzi, jakieś idee, wartości. Czasem jesteś całym swoim krajem. Inni odbierają Cię tak, jakbyś był uosobieniem swojego kraju i całej jego historii.

Na przykład taki Brytyjczyk na irańskiej granicy. Nikt już nie postrzega go wyłącznie jako imię, nazwisko i numer paszportu. Ważną rolę odgrywają tu również stosunki dyplomatyczne między Wielką Brytanią i Iranem.

"Pan z Anglii? To proszę tu z nami. Musimy pobrać od pana odciski palców i porównać z tymi, które zostawił pan w naszej ambasadzie. Tak, bardzo nam przykro, ale sam pan rozumie. Ja mam przepisy. Muszę się ich trzymać".

A dwoje Polaków? A kogo obchodzi Polska? Może tylko tyle, że akurat pracownikowi z informacji turystycznej było przykro z powodu katastrofy samolotu w Smoleńsku. Polacy przechodzą bez kontroli bagażu, przyjmowani uśmiechami i szerokim: "Witamy w Iranie!". Tylko panie w kolejce wracające z Turcji, opatulone w czadory, spoglądały na Anię dziwnym wzrokiem. Z jakąś złością.

Na peryferiach Maku, pierwszego miasta po przekroczeniu granicy, przywitała nas irańska armia. Nie żeby nas skontrolować — akurat szli w paradnej kolumnie. Na drodze odbywała się wielka manifestacja siły. Opancerzone samochody z wyrzutniami rakiet. Za nimi kolumna policyjnych samochodów z plakatami ajatollahów przyklejonymi do przedniej szyby. Plakaty były tak wielkie, że zasłaniały kierowcy ponad połowę okna. Policjanci, którzy akurat blokowali ruch, bardziej zwracali uwagę na nas niż na kierowców, którzy powoli wciskali się w kolumnę,

nie chcąc czekać. Wszędzie flagi, plakaty i wielkie tablice głoszące: "Zwycięstwo będzie nasze!". Wszystkiego dopełniała kolumna kilkudziesięciu oflagowanych taksówek i oczywiście samochody z rozwrzeszczanymi megafonami.

Potrzebowaliśmy benzyny do naszego prymusa. (Nie kupiliśmy zapasu w Turcji, bo w Iranie paliwo kosztuje grosze). Stanęliśmy grzecznie w kolejce pomiędzy samochodami, a któryś z kierowców ruchem głowy pokazał nam tylko, że mamy nadstawić butelki. Litr benzyny kosztuje kilka centów, więc to żaden wydatek, ale zrobiło nam się przyjemnie. Kierowca przypłacił jednak swoją życzliwość małym wypadkiem. Nagle benzyna chlusnęła z pełnej już butelki prosto na jego garniturowe spodnie. Najpierw zaklął, a potem spojrzął na nas, rzucił "no problem" i zaczął się śmiać.

"A skąd? A dokąd? A, to witamy w Iranie! W czymś trzeba wam pomóc? Chcecie kupić warzywa na obiad? To jedźcie za mną. Ja wam wszystko pokażę!".

Taką właśnie lawiną słów i życzliwości przywitał nas Ali: starszy taksówkarz, który na peryferiach Poldasht musiał być albo wyjątkowo znudzony, albo wyjątkowo miły.

Zabrał nas do centrum miasteczka. "Moje miasto jest małe, ale nic się nie martwcie. Ludzie w Iranie są bardzo pomocni. Bardzo lubią pomagać innym, żeby tacy jak wy czuli się dobrze. I nie wierzcie w telewizję, niczego się nie bójcie".

Na placyku pod sklepem zebrała się miejscowa młodzież. Znudzeni, rozsiedli się na trawniku i bacznie śledzili, co się dzieje. O czym to będzie można dziś wieczorem podyskutować?

Piekarnia była akurat zamknięta, więc po chleb, a właściwie lawasz [\[1\]](#), trzeba było iść do restauracji. Kelner wyjął kilka placków spod wilgotnego ręcznika i dał nam w prezencie. Dodał tylko: "Ludzie w Iranie są dobrzy, nie tak jak w Turcji" — i tak skwitował mój pytający wzrok.



Droga od kilkunastu już kilometrów ciągnęła się wzdłuż granicy z Azerbejdżanem. Do drucianego płotu było czasem tylko parę metrów, a sam płot obrosnięty był cudownymi drzewkami, których cień aż prosił, by sobie w nim odpocząć. O takich "piknikowiczów" dbała już irańska armia. Co chwila przeganiała jakąś rodzinę, która akurat musiała odpocząć, zaparzyć herbatę. Niestety, granica jest granicą. Zwłaszcza ta z krajem, z którym nie ma się najlepszych relacji.

Jakoś tak bywa, że kto jak kto, ale policja czy też armia pilnująca granic zawsze wygląda na znudzoną. Czepiają się człowieka, szukają sobie zajęcia, z nudów sprawdzają dokumenty i zadają dziesiątki głupich pytań.

Wysłał ich ktoś na przykład do wąwozu rzeki Aras i patrzą znudzeni albo na te różowe skały, albo na przejeżdżające po drugiej stronie rzeki pociągi, albo... na siebie samych. I nagle, w tym nudnym upale, pojawia się turysta. Albo najlepiej trzech; i nie dość, że jeden z nich to Anglik, i do takiego zawsze się o coś można przyczepić, to drugi to młoda kobieta, a na taką można sobie popatrzeć i ją poobgadywać.

Obgadywać trzeba jednak umieć. Co innego słowami, które akurat po persku i tak są dla nas niezrozumiałe, a co innego oczami: te, wlepione w kobiece piersi, robią z tych poczciwych żołnierzy jakichś zboczeńców. Tym bardziej, że w tle słychać tylko głupkowate chichoty.

Do Anglika też trzeba umieć się przyczepić. Można co prawda o to, że "jedzie za blisko granicy" — zapytać niewinnie, po co w ogóle tędy jedzie; ale żeby to zrobić... trzeba umieć mówić po angielsku. Nie wolno dukać i robić z siebie wariata, tym bardziej że ten Anglik może po prostu powiedzieć, że niczego nie rozumie, a ty, znudzony żołnierzu, nie umiesz mu wytłumaczyć i zrezygnowany oddajesz mu paszport, a wtedy twoi koledzy tylko się z ciebie śmieją.

Podróże udowadniają nam proste, zapomniane prawdy. Na przykład:

gdy ktoś chce się z tobą dogadać, to zawsze się dogada. Język mówiony nie jest mu do tego potrzebny. Niemalże. Czasem odrobina się przydaje, ale czy trzeba tłumaczyć wzruszenie ramionami? Albo wielkie, uśmiechnięte oczy i rozłożone ramiona?

Ktoś, kto bardzo chciał się z nami porozumieć, potrafił nieśmiało, ale mimo wszystko odważnie zapytać: "Your name is Japan?" [\[2\]](#) albo "You made in?" [\[3\]](#). Od razu wiedzieliśmy, że chodziło im o kraj, o imiona. Chciałbym zobaczyć przeciętnego obywatela Polski, który nie bałby się wygłupić i zapytałby obcokrajowca w taki właśnie sposób. Bardzo chciałbym.

Jesteśmy z kraju, w którym głupio jest się wygłupić. Lepiej się nie odezwać, niż dukać w jakimś obcym języku. Lepiej odejść, niż pokazać coś na migi i bawić się w kalambury. I co z tego może wyniknąć? Spotkaliśmy kiedyś cudzoziemkę, która na dworcu PKP w Jeleniej Górze zapytała nas po angielsku, gdzie ona dokładnie jest. Okazało się, że w Warszawie wsiadła do pociągu do Szklarskiej Poręby zamiast do pociągu do... Świnoujścia. Konduktor potrafił jedynie powiedzieć jej, że siedzi w złym pociągu, ale już nie umiał jej wytłumaczyć, co powinna zrobić. Ba! Nawet nie wpadł na pomysł, by popytać podróżnych, czy ktoś zna angielski, i w ten sposób oszczędzić dziewczynie kilkunastu godzin podróży i pewnej sumy pieniędzy.

Bał się wygłupić. Bał się śmieszności.

Gdyby ci wszyscy ludzie, którzy od tygodni ciągle nam pomagali, obdarowywali nas herbatą, chlebem i całą resztą, bali się wygłupić, byłoby z nami krucho.

Nie raz błędzilibyśmy po wioskach, chodzilibyśmy głodni albo spragnieni. A oni potrafili bez żenady pokazać na nas palcem, złożyć ręce pod policzek i przechylić lekko głowę — i wiedzieliśmy, że dziś mamy zaproszenie na noc do czyjegoś domu. Klepali nas po plecach i jedną dłoń przykładali sobie do ust, a drugą do żołądka — i wiedzieliśmy, że gdzieś ktoś szykuje dla nas obiad.

Rzeka Arasz przecina Azerbejdżan w połowie. Dzieli go na północny, który dziś jest niepodległym państwem, i południowy, który jest jedną z irańskich prowincji. Jeszcze na początku XIX wieku Azerbejdżan w całości należał do Persji. Legenda głosi, że szach Fat'h-Ali Shah Qajar stracił północny Azerbejdżan na rzecz Rosji... z lenistwa. Jego doradcy przestrzegali go przed ruchami wojsk rosyjskich, a on nie mógł znaleźć w sobie dość siły i motywacji, by ruszyć z wojskiem do nieuchronnej konfrontacji (do której faktycznie doszło). W końcu, gdy już było za późno i Persowie przegrali wojnę z carem Aleksandrem Pierwszym, szach rzucił ponoć, że nie ma czego żałować, "bo tam i tak nie ma dobrej wody do fajki". I tak Azerbejdżan podzielono na dwie części. Wielkie góry, głęboki kanion rzeki Aras i linia wyrysowana na papierowych mapach podzieliły naród. Oddzieliły od siebie rodziny i

przyjaciół.

Jedzenie przy stole dodaje człowiekowi powagi. Na podłodze jedzą ci, którzy muszą, bo nie mają stołu albo miejsca na niego. Taki stół przecież tylko zawadza, a nie każdy ma tak duży dom, by postawić w nim mebel, i większość woli inaczej wykorzystać tę przestrzeń. Stół to jednak luksus.

Jedzenie przy stole, zwłaszcza w podróży, nadaje prostej czynności poczucie spokoju. Stół stoi przecież na swych czterech nogach i trzeba się przy nim wygodnie rozsiąść. Trudno jeść w biegu, gdy się wygodnie siedzi. Co innego na kempingu. Stołem jest wtedy kamień, pniak albo kawałek ceraty, który z czasem pojawił się w naszych sakwach. Z tych wszystkich powodów warto czasem iść do restauracji, usiąść przy stole i poczuć się inaczej. Od razu wydało nam się, że jesteśmy na wakacjach all inclusive.



Trzeba było zjeść obiad. Tym razem niemal odświętnie, bo zamiast gotowania na łące albo jakichś kanapek — restauracja. Obiad przy stole. Jak ludzie.

Weszliśmy do najbliższej restauracji, a tu pustki aż wstyd. W Europie takie puchy dobrze o restauracji nie świadczą, ale w Iranie o godzinie piętnastej wszystko jest mniej lub bardziej puste. Życie towarzysko- restauracyjne zaczyna się tutaj wieczorem. Wszystko przez pogodę, a raczej przez jej

przytłaczający ciężar. Trudno chodzić po ulicach i kto może, ten siedzi w domu i się chłodzi. Tylko my, jak ci głupi, w środku dnia na ulicy.

Przywitał nas właściciel i jakiś młody chłopak, Aziz, który był tylko klientem. Właśnie szedł do domu z wielkim garnkiem ryżu z masłem. Tak to jedzą w Iranie ryż: ugotowany w garnku przykrytym poduszką (cała wilgoć zostaje wewnątrz), obowiązkowo z przypieczoną warstwą tuż nad dnem. Potem w domu wszyscy łaszą się na tę chrupką "skórkę". Zarówno starsi, jak i dzieci. No i obowiązkowo na wierzchu ryżu kosteczka masła. Jak to cudownie pachnie, wie tylko ten, kto to widział i wąchał. A jak smakuje? Można by sam ryż jeść, bez sałatek i mięs, takie to dobre.

"Ja też mam rower. Canondale!" [\[4\]](#) — powiedział Aziz i zaraz zapytał, jak nam pomóc. Bez problemu zauważył, że przyjechaliśmy na rowerach, ale żadne to odkrycie, gdy się wchodzi do restauracji w rowerowych rękawiczkach.

Właściciel, gdy dowiedział się, że potrzebujemy zjeść dużo i co najważniejsze — bez mięsa, jakoś wcale się nie zmartwił. Zupełnie inaczej było poprzedniego dnia, gdy próbowaliśmy zamówić pizzę wegetariańską. Tam właściciel tylko rozłożył ręce w geście "jeśli bez mięsa, to niby z czym?" i nawet tłumaczenie innych klientów w niczym nie pomogło.

Tym razem kucharz zaczął szybko improwizować.

Najpierw zupa pomidorowa. "No gusht. Don't worry" — tak zapewniał nas Aziz.

Potem talerze ryżu właśnie z masłem i wielka jajecznicą.

Po chwili właściciel usiadł dumny za biurkiem i tylko spoglądał, czy nam smakuje. Aziz na chwilę gdzieś zniknął i już myśleliśmy, że urwał się do domu z tym swoim garnkiem ryżu, ale on wrócił za moment z reklamówką warzyw i jako wytłumaczenie dodał tylko, że "to na dobrą sałatkę".

W irańskich dżunglach

Właściciel hotelu w Tabrizie, choć cichy, jakby skryty i chorobliwie chudy, niejedno już widział. Widział niejednego rowerzystę ze Szwajcarii, z Niemiec, z Angli, z Polski pewnie też. Nauczył się przez te lata, jak się z nimi obchodzić, jak ich traktować, i dobrze rozumiał, czego im potrzeba. Nauczył się, że zawsze piorą te swoje przepocone, zakurzone i przesiąknięte spalinami ubrania, że wieszają je, gdzie popadnie, i że warto dać im kawałek miejsca, by "robili, co chcą", ale tylko tam, gdzie ON chce. Mądry, doświadczony człowiek od razu zaczął nami dyrygować.

"Rowery tutaj i proszę je dobrze zapiąć. Tutaj miska na pranie, a tu sznurek. Tylko dla was".

Przez trzy dni niemal nie zamienił z nami słowa, jedynie kiwnięciem głowy odpowiadał na nasze grzecznościowe: "Jak się Pan dziś ma?". Wszelkie rozmowy ograniczały się do pokazywania nam kierunków, a mimo to, gdy już spakowani wyjechaliśmy z hotelu prosto na główną ulicę, wyszedł za nami, pobiegł te kilkanaście metrów, które już zdążyliśmy ujechać, i najzwyczajniej nas wyściskał. Ścisnęło nam gardła, łązy jakby stanęły nam w oczach i trzeba było udawać, że to od kurzu, spalin i ostrego słońca. Nigdy nie dowiedziałem się, co się stało. Nigdy nie dowiedziałem się, jak miał na imię ani czy to chorobliwie wychudzone ciało to tylko taka jego uroda, czy też objawy jakiejś cichej, śmiertelnej choroby. Nigdy nie dowiedziałem się, dlaczego, zamiast powiedzieć, zgodnie ze zwyczajem, "khodafez [\[5\]](#)", wybiegł za nami i potrzebował nas wyściskać. Pożegnać jak kogoś bliskiego.

Nigdy nie napiliśmy się razem herbaty.

Nie pamiętam jego twarzy, pewnie nie poznałbym go na ulicy. Pamiętam ten uścisk dłoni i te wpatrzone w nas oczy. Pamiętam, że był ode mnie wyższy i miał przyjemną, ale jakby wycofaną twarz. Jakby się nam uważnie przyglądał i zawsze trzymał dystans. Nie taką, która się wszędzie wprasza, ale taką, którą obleka niewypowiedziana tajemnica i nienachalna życzliwość.

W kafei internetowej poznaliśmy młodych studentów. To od nich dowiedzieliśmy się, że trzy lata wcześniej, właśnie tego dnia, w Tabrizie i okolicach wybuchły demonstracje, zamieszki. Ktoś zginął, ktoś wciąż jeszcze siedzi w więzieniu. I właśnie dlatego 24 maja ogłoszono dniem poparcia władzy. Flagi, hymny, kolumna szkolnych rowerzystów z przymocowanymi do rowerów flagami, zdjęcia prezydenta i ajatollahów.

"Ale zwycięstwo będzie nasze!" — szepnęli w unisonie Babak z Denizem i przy tym rozglądali się po kafei, czy ktoś nie patrzy, czy ktoś nie słucha. Czy czyjaś twarz jest tu nowa, nieznajoma. Podejrzana.

Deniz chciał podzielić się z nami muzyką. Kopiował pliki mp3 i wideo. Dzielił się muzyką azerską, bo perskiej nie miał. W końcu "nie lubił Persów", jak zdążył nam po cichu powiedzieć.

Uwielbiam tunele. Ania z zasady za nimi nie przepada, najzwyczajniej trochę się ich boi. Nie tyle samych tuneli, ile ciasnoty i bliskości wyprzedzających nas w tunelach samochodów. Mnie bardziej od strachu pociąga tajemnica, która najpierw jawi się jako biały punkt — gdzieś na końcu tego tunelu widać to symboliczne światełko, a za nim czeka niespodzianka. Jaki świat ukaże mi się za chwilę? Czy będzie to tylko ciąg dalszy tego, co już widziałem, czy też coś nowego?

Przejechaliśmy przez długi zadymiony tunel i wjechaliśmy do innego świata. Zrobiło się nagle zielono, wilgotno i wszystko obrosły drzewa.

Po piaskach i żwirach zostało tylko mętne wspomnienie i ogarnęły nas zapachy i kolory. Od kilku dni mówiono nam: "Jedźcie nad morze. Zobaczycie dżunglę!", ale nie mogliśmy sobie wyobrazić, by w Iranie była dżungla. Wszyscy powtarzali nam, że musimy jechać nad morze, że tam "wszystko wygląda inaczej".

Irańska gościnność jest niemal legendarna. Zwłaszcza słynie wśród rowerzystów i autostopowiczów. Zatem to "inaczej" określało nie tylko las, ale i ludzi. Oni także bardzo się zmienili. Trzymali się na dystans. Stanęli z boku, cisi i jakby wyczekujący. Już nie rozbrzmiewało zewsząd: "Welcome to Iran!", zamiast tego częstsza była cisza i wpatrzone w nas niemal surowe oczy. Zdarzyło się nawet, że zostaliśmy opluci i obrzuceni "Fuck you!" przez sfrustrowaną młodzież motocyklową.

Tunel zaprowadził nas do innego świata. Do innego miejsca. Bez czasu i miejsca na aklimatyzację, na zastanowienie. Wrzucił nas na głębokie wody Morza Kaspijskiego. Bez pytania i przeprosin.

Na szczęście starzy ludzie inaczej podchodzą do życia, i to właśnie oni odczarowali to całe bombardowanie nas. Zaczęło się od piekarni. W niewielkiej wsi, tuż przy głównej drodze, w małym, ceglany budynku urządzono piekarnię. Zwyczajną, prostą, skromną. Miejsce, w którym piekło się chleb i spotykało się sąsiadów. Ceglany mur, prosty dach, piec i wielki stół, na który wyklada się świeżo upieczone placki sangak i wydłubuje z nich gorący żwir, na którym te placki są pieczone. Zatrzymaliśmy się nieśmiało, nauczeni tym wszechobecnym tutaj dystansem, i chcieliśmy kupić kilka placków. Nie udało się nam to jednak. Tłumek mężczyzn czekających na chleb nagle się rozstał i jeden z nich z szerokim uśmiechem po prostu dał nam kilka placków, a potem serdecznie nas pożegnał.



W tej samej wsi, po drugiej stronie ulicy, stał mały sklepik. Taki wiejski, w którym ławeczka i czajnik są chyba ważniejsze niż sam handel, zarabianie

pieniędzy i cała ta egzystencjalna reszta. W sklepiku przy samej ladzie usiadło czterech staruszków i używając kilku słów i kiwania głową, rozmawiało o czymś bardzo ważnym i pewnie mądrym. Takim staruszkom trudno odmówić mądrości. W końcu wiele już widzieli i pewnie mało co ich dziwi, ale nasze wejście przerwało ich dyskusję. Bo nigdy przecież nie jest tak, że wszystko już się wie, że wszystko już się widziało, że nic człowieka nie zaskoczy. Weszliśmy poprosić o wodę. Chcieliśmy na wieczór zabrać ze sobą kilkanaście litrów, bo przecież nie wiedzieliśmy, gdzie przyjdzie nam rozbić namiot. Właściciel sklepiku wyszedł zza lady i zaprowadził nas do studni. Gdy po kilku minutach, obładowani wielkimi worami na wodę, znów weszliśmy do sklepiku, staruszkowie byli już na nas przygotowani.

— A skąd?

— A dokąd?

— A niech was Allah prowadzi!

Mansur i Aziz byli braćmi. Aziz, ten młodszy, jadąc na motorze, zajechał na plażę pełną szarego piasku, posztormowych śmieci i muszelek i spotkał trójkę turystów, którzy w tym rozgardiaszu chcieli, z braku lepszego miejsca, rozbić namioty. Nie mieli odwagi pytać tubylców o miejsce na podwórku, bo miejscowi sami nie garnęli się do rozmowy i stworzyli wokół siebie mur. Aziz miał do turystów inne podejście i choć znał tylko azerski i perski, udało mu się przekonać tę trójkę, że to nie jest dobra plaża, i zaprowadzić ich do swego brata Mansura.

Tak oto nocowaliśmy na plantacji kiwi, zostawieni sami sobie i własnym zajęciom. Mansur pokazał nam, gdzie "mieszkają dobrzy sąsiedzi z łązienką", a gdyby coś było "nie tak" — jak włącza się pompę, byśmy w nocy mogli się wykapać. Do dyspozycji oddał nam swoją niedokończoną altanę z widokiem na Morze Kaspijskie i na porośnięte lasami góry. Góry tak inne niż wszystko w Iranie. Góry pokryte lasem deszczowym, w których spotkać można pantery, niedźwiedzie, dziki i borsuki. Zanim wszystkie wybito, można tam było spotkać nawet tygrysy.

Na samej plaży jacyś biedacy spali w foliowo-szmacianych namiotach i zarabiali pieniądze, odsiewając muszelki od piasku i sprzedając je jako dodatek do karmy dla kur. Pieniądzy z tego nie mieli wiele, ale mieli własny biznes i zachowali trochę godności.

Teheran

Teheran nie wyglądał na przyjazne miasto. Nie to, że wielki i zatłoczony, ale policja polowała tu na turystów. Ponoć zabierali im karty z aparatów, legitymowali i kazali się tłumaczyć z samej wizyty w mieście.

Kiedyś jednym z podstawowych miejsc do fotografowania była oczywiście

zniszczona ambasada USA, ale teraz z jakiegoś powodu nie wolno jej było fotografować i policja pilnowała kręcących się w pobliżu turystów.

Niedawne zamieszki nie wzruszały za to teherańczyków. Bardziej może wzruszał ich niedawny zakaz posiadania psów.

Już od samych początków Islamskiej Republiki Iranu toczyła się dyskusja o tym, czy posiadanie psa jest wystarczająco islamskie. Ostatecznie psy uważane są za nieczyste i posiadanie takiego zwierzęcia jest niemuzułmańskie. W dodatku prozachodnie i dekadentkie. W 2007 roku pod naciskiem duchownych postanowiono zabronić posiadania psów i stworzono nawet dla właścicieli psów więzienia. Posiadanie psów uznano oficjalnie za niemoralne. Zaczęto odbierać właścicielom zwierzęta i wyłapywać te, które spacerowały bez opieki. Zdarzały się aresztowania za samo rozwieszanie plakatów o "zagubionym psie".

Oczywiście nikt nie zauważył, że noszenie garniturów też może być prozachodnie.

I jedzenie pizzy.

I picie pepsi.

Ale dostało się psom.



Wielu ludzi narzeka i przestrzega przed turkmeńskim konsulem w Teheranie. Jest to człowiek o dość wątpliwej wśród podróżujących reputacji. Ponoć "marudzi", jest "chamskim gburem" i nieżyczliwym "dziadem". Do tego ma "humory" i "trzeba na niego uważać". Dobrze przygotowani na spotkanie z taką legendą złożyliśmy wnioski wizowe jeszcze w domu, w Wielkiej Brytanii, a po trzech tygodniach bardzo życzliwy pan z ambasady przemailował nam potwierdzenie otrzymania wizy; wystarczyło to potwierdzenie wydrukować i stawić się w

ambasadzie po odbiór. No jakie to proste!



W Teheranie tabliczka "TAXI" umieszczona na samochodzie niekoniecznie oznacza: "Znam ten adres i wiem, jak tam dojechać"; raczej: "Ja mam samochód, a Ty nie, więc powiedz mi, dokąd i którądy tam dojechać". Od pięćdziesięciu lat do miasta przenosi się statystycznie 440 osób dziennie! A bycie taksówkarzem jest pewnie jednym z tych zawodów, którego mają się przyjezdni.

Ruszyliśmy na poszukiwania ambasady. Nie było to łatwe, bo nie dość, że taksówkarz był właśnie jednym z tych, którzy tylko mieli samochód, to na dokładkę upierał się, że szukamy ambasady azerskiej. Musieliśmy niemal z nim walczyć, by przestał się co chwila zatrzymywać i wypytywać przechodniów. Szukaliśmy ulicy pośród kolejnych, wąskich, willowych uliczek, a czas do zamknięcia ambasady uciekał.

Teheran to 11 tysięcy kilometrów ulic!

Północny Teheran jest wyjątkowym zjawiskiem. Zbuntowany i, jak na Iran, niemal liberalny. Oczywiście jeżeli liberalizmem można nazwać chustkę naciągniętą na połowę głowy i manto — lekki płaszcz kończący się nie przed kolanami, ale zaraz za pośladkami. Mocne makijaże, obcisłe ciuchy, feromony, flirt w powietrzu. Wszystko to grozi więzieniem, utratą pracy, biczowaniem, oficjalnym napiętnowaniem. Coś, co nam wydaje się tak zwyczajne, że niemal niezauważalne, i tak naturalne, jak to, że świeci słońce, dla innych jest oznaką buntu, odwagi i protestu. Może nawet zabość. Dosłownie. Wszędzie trwały zapasy i przepychanki. Jak wysoko jeszcze można podciągnąć chustkę, o ile jeszcze można skrócić płaszcz, jak długo można spacerować z chłopakiem po parku, zanim tajna policja zapyta się, kim ci młodzi dla siebie są. Też kiedyś żyliśmy w takim kraju. I były stopy, bicze, rwanie kołem, szubienice, próby wody. W imię Boga, w imię jedynie słusznego, ustalonego porządku.

Trudno nam szło szukanie turkmeńskiej ambasady i dotarliśmy tam na 10 minut przed jej zamknięciem. Spoceni, wymęczeni taksówkową odyseją i nastraszeni historiami o konsulu, podeszliśmy do okienka i grzecznie się przywitaliśmy.

- Turecki znacie?
- Nie. A pan zna angielski?
- Nie. A farsi znacie?
- Nie. A pan zna rosyjski?
- A, w pariadkie!

I zaczęła się wielka wizowa epopeja. W całych tych nerwach okazało się, że nie mamy ksera paszportów, nie mamy dolarów (tylko euro), no i brakuje nam jednego zdjęcia. Zgodnie z wszystkimi tymi internetowymi opowieściami konsul powinien zamknąć przed nami drzwi i kazać nam przyjść jutro. Tymczasem po kilku naszych błagalnych "izwienitie, pażalsta" nie robił problemów z euro (zapytał tylko innych czekających, jaki jest dziś kurs walut) i poczekał ponad pół godziny, aż znalazłem ksero i fotografa. Może nie był szczęśliwy i uśmiechnięty, ale wystarczająco życzliwy i cierpliwy, by wkleić nam wizy 40 minut po oficjalnych godzinach pracy. Bez narzekania i gburowatości, z której słynął.

Wyjeżdżaliśmy z Teheranu w Dniu Kolejnej Roczniccy Śmierci Chomeiniego. Na ulicach były względne pustki. Ludzie bali się zamieszek Zielonego Ruchu, który powstał zaraz po wyborach prezydenckich jako głos protestu przeciwko reżimowi. Powstał spontanicznie wokół liberalnego kandydata Hosejna Musawiego — z przekonania o sfalszowaniu wyborów. Kolor zielony stał się symbolem ludzi, którym marzył się liberalny, obywatelski Iran.

Tego dnia ludzie bali się walk z policją, może nawet strzelaniny i pacyfikacji. By ich w tym strachu utrzymać, na skrzyżowaniach ulic stały zaparkowane radiowozy, spacerowali policjanci bezpieczeństwa. Dodatkowo spaliliśmy w hoteliku niedaleko placu Imama Chomeiniego, który teraz świecił pustkami, a właściciel radził nam nie wychodzić, jeżeli naprawdę nie musimy. Na ścianach domów wielu policjantów pojawiły się zielone plamy. Ktoś obrzucił ich domy workami z zieloną farbą. Młodzież z Zielonego Ruchu pewnie chciała przypomnieć policjantom, że wiadomo, gdzie oni mieszkają, i sprawić, żeby też mieli powody do strachu. Młodzi złamali monopol na strach. Teraz już nie tylko oni bali się tajniaków, ale i tajniacy, i Basij [\[6\]](#) mieli się mieć na baczności.

W trakcie zamieszek, gdy zamaskowani tajniacy wjeżdżali rozpędzeni w tłum, raniąc demonstrantów, dopiero po kilku dniach ktoś odważył się zedrzeć z jakiegoś mniej zaradnego oprawcy kask. Zobaczyć jego twarz, a nawet go uderzyć. Ludzie przyzwyczajeni do opresji nie mogli się długo przełamać, by oddać bijącym ich Basij. Wystarczyło jednak, że raz ktoś się odważył i lawina ruszyła. Basij musieli się bać. Musieli trzymać się w grupach.

Nie byli już nietykalni.

Kilka dni wcześniej nasz drogi kolega Ashkan chwalił się nam rzucaniem takich worków, ale tylko gdy byliśmy w górach, wysoko, wśród skał i pustkowia. Był z siebie dumny i wiedział, że to naiwne, ale wierzył, że coś robi. Że nie tylko stoi z boku i patrzy, jak inni robią rzeczy ważniejsze, odważniejsze, mądrzejsze. On miał w tym wszystkim swoją, naiwną może, ale jednak cegiełkę. Obowiązkowo ubrany był w zieloną koszulę i gdy tylko minęliśmy ostatnie zabudowania, kazał Ani i swojej koleżance zdjąć chustki. Przekonywał, że teraz są w górach, a nie w Islamskiej Republice Iranu. Okazało się, że nie my jedyni. Co kilkanaście minut spotykaliśmy mężczyzn i kobiety po sześćdziesiątce, wędrujących ze starymi plecakami. Każdy z nich szeroko się uśmiechał. Każdy musiał nas zatrzymać, wypytać, pozdrowić, a nawet podziękować za przyjazd do swojego kraju. Żadna z kobiet nie nosiła chustki i dopiero później, już we wsi, obserwowaliśmy, jak szybko wyciągały je z plecaków, kiedy zbliżały się do pierwszych zabudowań.

Ashkan obowiązkowo zabrał ze sobą nie tylko wszelkie smakołyki, ale i... biber! Dla niego to wielka rzecz i równocześnie rozdarcie. Może pić, ile chce, ale tylko w górach, w lesie, w piwnicy, za zamkniętymi drzwiami lub wysoko w górach. Gdy dwa lata wcześniej poznałem go w Tbilisi, był niemal non stop pijany i biegał w koszulce Sepultury lub Behemoth. Musiał wyjechać do innego kraju na wakacje, by móc być sobą.

Wyjeżdżaliśmy w upale, który kleił nam się do opon. Wśród pozamykanych sklepów i opustoszałych ulic w mieście, w którym na kilometr kwadratowy przypada 10 000 ludzi. Trzy razy więcej niż w Warszawie i niemal tyle samo co w Delhi. Tymczasem jechaliśmy prawie sami. Naprzeciw hoteliku stało dwóch policjantów. W mundurach. Nieśmiało nam pomachali, rozejrzeli się szybko na prawo i lewo i znów nieśmiało wyciągnęli w górę dłonie w geście zwycięstwa.

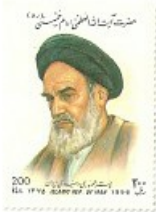
Zupełnie przypadkiem każde z nas, Ania, Ben i ja, założyło na siebie coś zielonego. Koszulkę, skarpetki.

Zielony to ładny kolor. Zwłaszcza na pustyni. Kolor życia.

Gdyby ktoś myślał, że bunt przeciwko reżimowi jest powszechny, to w Karsh przeżyje wyjaśniające dużo rzeczy otrzeźwienie. Na początek powiadomi go o tym plakat małej dziewczynki w czadorze. Plakat z podpisem w języku lokalnym i angielskim, by nikt z nas nie mógł powiedzieć później, że nie rozumiał: "Noszenie muzułmańskiej chustki jest prawem. Przestrzegaj prawa".



Ali zajmował się prostym hotelikiem, w którym przyszło nam spać. Była to raczej noclegownia niż coś, co wyobraża sobie Europejczyk, słysząc słowo "hotel". Ali był niski, gruby, biegał w jakichś luźnych spodniach i białym podkoszulku na ramiączkach i wyglądał pociesznie. Gdy pokazałem mu plakat Chomeiniego, który zerwałem sobie na pamiątkę, chwycił go i zaczął całować. Patrzył na nas i powtarzał tylko: "Papa Iran! Papa Iran!".



Niemal bez problemów kupiliśmy bilety i jeszcze łatwiej dogadaliśmy się z kierowcą, za ile zabierze rowery. W Iranie cena za ich przewóz zawsze zależy od dobrej woli / chciwości / fantazji / samopoczucia / szczerości kierowcy.

Autobus był koloru zielonego, a, jak wiadomo, kolor ten nabrał od czasów wyborów nowego znaczenia. Zacząłem sobie stroić żarty.

— A, zielony? Bardzo dobrze!

— Tak, zielony.

— Tak, wiem. ZIELONY. Ben ma zielony, ja mam zielony. No wiecie. ZIELONY.

— A, zielony? Zielony... (i tu kierowca przeciągnął jednoznacznie palcem po szyi).

Przestałem się uśmiechać i poszedłem pokornie do autobusu, którego zieleń jakby nagle zbladła.

Musieliśmy zejść z rowerów, by pozabawić wszystkie biurokratyczne sprawy. Te wszystkie kłody pod nogi rzucające przez prawo, te obostrzenia, te kajdany w postaci skrawków papierów. Od tego właśnie momentu niemal straciliśmy kontrolę nad naszą podróżą.

Nasz codzienny rytm wolnego oddechu, powolnego śniadania i spokojnego rozglądania się dookoła przeistoczył się w grafik pełen godzin otwarcia i zamknięcia, godzin odjazdów. Cen wiz, cen hoteli. Zdjęć, aplikacji, formularzy do wypełnienia, formularzy do dostarczenia, formularzy do podpisania. Planowania, dopasowywania własnego życia do martwych przepisów i terminów.

W życie wkradł się chaos i nerwy. Godziny przemyśleń, planowań i dyskusji.

Co, kiedy, gdzie, w jakiej kolejności?

Od kiedy zeszliśmy z rowerów, zrobiło się ciężiej.

Ze świata wstać - zjeść - przeżywać przygodę - myć się - spać weszliśmy w świat terminów, taksówek i cen.

Podróżny koszmar.

Wystarczyło jednak wsiąść na rower, by świat i życie znów nabrały kolorów, intensywności, radości i sensu.

Jadę sobie.

Przed siebie.

Jestem panem swojej prędkości i kierunku.

Jestem panem swego życia i przygody.

Gdy jestem na rowerze, rzadko kto chce ode mnie pieniędzy. Chce najczęściej pozdrowić, pomachać, poczęstować herbatą i wcisnąć jakieś owoce lub orzechy. W drodze uśmiech jest jakimś naturalnym i jedynym logicznym odruchem. Jakoś trudno sobie wyobrazić coś innego.

W Iranie fascynuje mnie kilka rzeczy. Ilekroć jestem w tym wielkim, różnorodnym i bardzo specyficznym kraju, wciąż powracają do mnie te same fascynacje.

Po pierwsze, zasady ruchu. "My, muzułmanie, żyjemy według świętych zasad. Nie tak jak zepsuta Europa, która żyje tylko dla własnej rozpusty i lenistwa. My, muzułmanie, żyjemy według Koranu i przestrzegamy wszystkich zawartych w nim zasad. Pobożności, miłości itd."

Tak mi kiedyś ktoś powiedział i kazał sobie dobrze zapamiętać.

A czy w Koranie jest coś na temat ruchu ulicznego?

Na temat kierunku jazdy? (Byle do przodu).

Na temat sposobu wyprzedzania? (Byle do przodu).

Na temat używania kierunkowskazów? (Jak się nie ma, to czego tu używać?).

Na temat zasad pierwszeństwa? (Jest jedna: Ja mam pierwszeństwo!).

Na temat czekania na zmianę z czerwonego światła na zielone? (Jakiego światła?).

Na temat jeżdżenia motorami po chodnikach i trąbienia na przeszkadzających tylko pieszych? (Ja mam silnik, więc to ja tu rządę).

Na temat sposobów zmieniania pasa ruchu? I liczby tych pasów? (Liczby czego?).

Na temat liczby pasażerów na przednim siedzeniu? (Dopóki kierowca sięga kierownicy, drążka biegów i pedału gazu, każdy może się dosiąść).

No właśnie nie, i wszystko to jest kwestią bardzo umowną. Jedzie się tak, jak nam w danym momencie pasuje. To cel jest wyznacznikiem sposobu. Że jednokierunkowa ulica? A to przejedzie się na wstecznym biegu. Nikt nie zauważy. Jak to, Pan mnie nie zauważył? Przecież trąbiłem, że skręcam w lewo!

Po drugie, męska dwulicowość. Ten specyficzny dualizm. Mężczyźni mogą chodzić w obcisłych, rozpiętych koszulach. Mogą mieć zaczesane na żel włosy. Mogą mieć nawet pasemka. Mogą nosić obcisłe biodrówki. Mogą opływać seksem, flirtować i wabić feromonami.

Kobiety mają za to chodzić w czadorach. Osłonięte od czubka głowy po stopy kawałkiem czarnego materiału. Siostry, kuzynki i rodzina. Bo "te łatwe, z północnego Teheranu, te, co to wyglądają jak prostytutki", to już zupełnie inna historia. Te mogą wyglądać seksi, pociągająco i mogą być zadbane. Siostra nie. Siostra ma być skromna. Siostra nie jest przecież kobietą. Siostra jest... siostrą!

Po trzecie, piknik. Och, piknik. Dobry, rodzinny irański piknik. W parku, wieczorem, na środku trawnika rozkłada się "pół miasta". Przynoszą ze sobą plastikowe pudełka pełne obiadowych smakołyków, czajniki, butle gazowe i zapraszają rodzinę lub znajomych. Na trawie rozkłada się koc zirandaz lub plastikową matę. Na przykład taką w białe i niebieskie paski. Taką 3 na 3

metry, by zmieściła się na niej 8-osobowa rodzina. Mata ma tę przewagę nad kocem, że trawa może być właśnie świeżo podlana i nie trzeba się przejmować sokiem z krojonych właśnie pomidorów.





I po czwarte, modlitwa. Zafascynowany jestem modlitwą. Tym specyficznym, muzułmańskim "tu i teraz". Dywanik rozwinięty między straganami lub na środku sklepiku i kilkuminutowe sam na sam z Bogiem.

Inaczej niż w Europie, modlitwa jest tu czymś zwyczajnym, niemal taką samą "fizjologią" jak jedzenie, oddychanie czy sen, więc czego tu się wstydzić? Z czym się ukrywać? A nawet jeżeli jakiś niemuzułmanin spojrzy ze zdziwieniem czy "krzywo", to pozostaje go tylko pożałować, bo przecież błądzi. I to podwójnie. Nie dość, że nie rozumie, to jeszcze nie wierzy w Jedyne Boga i zawsze można go zaprosić do modlitwy. Do rozmowy. Wskazać mu jedyną słuszną drogę i wiarę.

Anioł stróż

Pod isfahańskim meczetem Imama rozsiedli się poszukiwacze chętnych na zakupy turystów. Ci wszyscy, którzy postanowili zarabiać pieniądze, sprzedając im dywany, naczynia i wszelkie mniej lub bardziej oryginalne pamiątki. Gdy przechadzamy się po bazarze, od razu dopada nas dźwięk stukania "punktaków" o metalowe talerze. Tak właśnie powstają pamiątki. Pięknie zdobione patery, tace, dzbany. Oczywiście wszystko z metalu. W głębi bazaru, z dala od meczetu rządzi znów malowana ceramika. Głównie talerze zdobione misternie różnymi odcieniami błękitu. Zaraz obok jakiś

starszy pan z wieloletnią wprawą wybija drewnianymi blokami wzory na tkaninach. Oczywiście bloki są rzeźbione, a on uderza z całej siły ręką owiniętą w miękką tkaninę. Następnie przesuwa blok, dopasowuje go do końca wzoru, który właśnie odbił, i raz za razem odbija kolejny fragment kilkumetrowego "szlaczka".



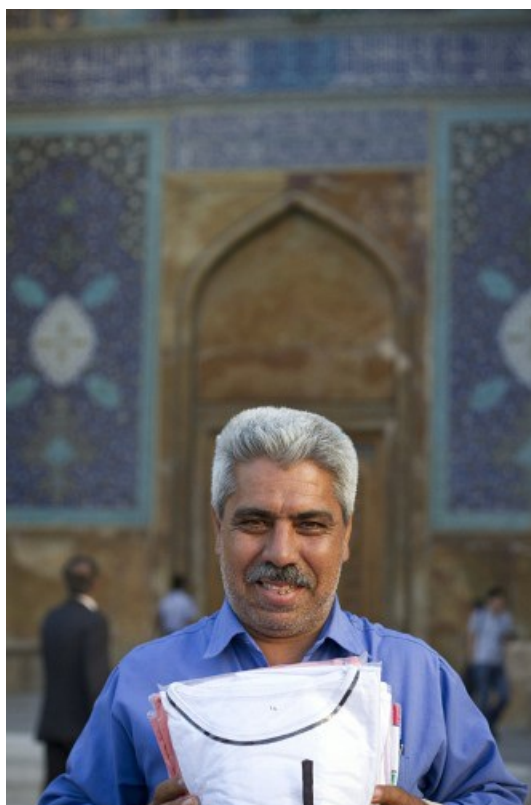
Ktoś inny postanowił handlować ściennymi kaflami. Nie tylko kwadratowymi, wypalonymi po pomalowaniu, ale i większymi, które powstają przez ułożenie mozaiki w świeżym betonie. Nie były to mozaiki takie jak w Grecji, układane z niewielkich kamyczków, lecz jakby ceramiczna wycinanka. Kwiaty ułożone były z płatków i środka, wzorki dookoła zaś z kilku przygotowanych wcześniej ceramicznych łuków. Podobnie tworzy się wszelkie święte napisy czy wzory geometryczne.

Pod meczetem stali przede wszystkim desperaci, dla których teherańskie zamieszki oznaczały brak dochodów z turystów. Kiedyś, przed wyborami prezydenckimi, do Isfahanu przyjeżdżało, jak twierdzili, nawet kilkanaście autobusów dziennie. Teraz ledwie kilka tygodniowo. Ciastko się zmniejszyło, a konkurencja raptownie urosła. Już nie dało się stać w drzwiach sklepu czy warsztatu i czekać, aż turysta sam przyjdzie. Trzeba było wyjść pod bramę jednego z głównych zabytków i nauczyć się zagadywać, ale nie przeszkadzać.

Trudna to sztuka, gdy takich zdesperowanych zbierze się kilku i nie wiadomo, kiedy zagadnąć turystę. Przed wejściem do meczetu? To zapomni. Po wizycie w meczecie? To może się obrazić, bo jeszcze nie wchłonął tego, co właśnie zobaczył. Grzecznie poczekać czy wyskoczyć przed innych?

Wśród tych młodych i zdesperowanych kręci się stary wyjadacz — Reza od Koszulek. Spaceruje spokojnie z naręczem koszulek z obrazkiem bazaru, meczetu Imama i tym podobnych. Ma czterdzieści parę lat, zupełnie siwe włosy i zna się na turystach nie od dziś. Nie liczy tylko na tych z Zachodu,

boby nie wyżył, i tak samo zagaduje Irańczyków. Poznaliśmy go kilka lat wcześniej, kiedy w drodze do Indii zajechaliśmy właśnie do Isfahanu. Przypomniałem sobie nawet, że zupełnym zbiegiem okoliczności [7] mam przy sobie wspólne zdjęcie Ani i Rezy. Niczego mu nie przypominając, zrobiliśmy mu portret i po cichu wydrukowaliśmy oba: ten z 2006 roku i nowy, a następnego dnia przyszliśmy z wizytą i prezentami. Patrzył na stare zdjęcie i nijak nie kojarzył. Nie, dziś nie miał przecież roweru i założył inne ubranie... Dopiero gdy napisałem na zdjęciu datę 2006, zaczął nas ścisnąć. I szeroko się uśmiechać.



Dasht-e Kavir to wielka, ale to wielka słona pustynia i zawsze chciałem ją poznać, zobaczyć i nie dać się jej pokonać. Przez niemal sam jej środek od niedawna przebiega nowa asfaltowa droga, która daje takim jak my szansę na przedostanie się na jej drugi koniec. Kiedyś, jeszcze 30 lat temu, te szanse były nikłe.

Nigdy nie wiedziałem, co mnie pociąga w pustyniach. Przecież to nie jest miejsce dla człowieka. Nie po to kto może ucieka w krainy żyzne i zielone, by inni znów się pchali w pustynne odludzia.

"Dasht" w języku perskim oznacza pustą, otwartą przestrzeń zbudowaną z polodowcowego żwiru. "Kavir" w języku perskim oznacza... pustynię. Czy może być bardziej obrazowa nazwa miejsca niż Pusta Pustynia?

Imam Husajn, wnuk Mahometa, przeszedł wielką próbę wiary. Wielką próbę siły szyickich poglądów, które podzielał. Gdy nastąpił podział na sunnitów i szyitów [8], wybuchła wojna. Otoczony wraz z rodziną, przyjaciółmi i innymi szyitami w mieście Karbala, nad samym Eufratem, cierpiał pragnienie. Wrogowie odmówili im wody, by złamać ich opór i osłabić przed ostateczną masakrą. Dziś szyici uznają obdarowanie potrzebującego wodą za jeden z najważniejszych obowiązków wierzącego szyity. Aby wydarzenia z Karbali nigdy nie zostały zapomniane, stawiają fontanny i studnie. Nie wiem, czy to właśnie nie dlatego kierowcy dzielili się z nami wodą, lodem i różnymi innymi napojami, które tak naprawdę wieźli przecież dla siebie, a nie dla przygodnie spotkanych rowerzystów. Może to wynikało z obowiązku religijnego? A może z ludzkiego? A może z tego, że sami wiedzieli, czym jest pragnienie? A może był to niewymagający żadnych przemyśleń odruch?

Jechaliśmy przez pustynię już kilka dni i jeszcze nie mieliśmy problemów z wodą. Zawsze znalazł się ktoś życzliwy, kto się z nami podzielił. Przyszedł jednak ten pierwszy raz. Już od wielu kilometrów nie było skąd i od kogo jej wziąć. Droga niemal opustoszała. Zrobił się wieczór, ruch znacznie zmalał, a ci, którzy jeszcze dokądś jechali, robili to nad wyraz szybko. Autobusom nie chciało się zwalniać. Ciężarówki tylko przemykały obok.

Stałem na krawędzi drogi. Każdemu nadjeżdżającemu kierowcy pokazywałem pustą butelkę, ale wciąż nikt się nie zatrzymywał. A ja wciąż uparcie wierzyłem, że to dobrze, że czekam na coś / na kogoś wyjątkowego. Zawsze tak było i mimo że mijały minuty, stałem niewzruszony. Co chwila tylko rozkładałem ręce, w dość tragicznym geście pokazując Ani, która z Benem rozbiła namioty jakieś 50 metrów od drogi, że jeszcze nie mam wody.

Przejeżdżające samochody jakoś mnie nie martwiły, ale powoli i coraz częściej zacząłem wyciągać w górę ręce, pokazując dwie puste butelki. Coraz wyżej i wyżej, czasem lekko nimi machając, by ktoś mnie wreszcie zauważył w tym pustym krajobrazie.

Czekałem na naszego Kerza [9]. Jednak warunkiem, by się pojawił, była uczciwość i dobroć wędrowca. Ruszając w pustkę pustyni, oddaliśmy się w ręce takich właśnie Kerzów, licząc na ich pomoc i naszą uczciwość.

"Pustynię upiększa to, że gdzieś w sobie kryje studnię" [10]. Nam pustynię upiększył Mohammad, który pojawił się w naszym życiu, sunąc swoim niebieskim zamyadem. Zatrzymał się i zapytał po angielsku, co ja tu robię, a ja pokazałem mu namioty. Zamknął samochód i poszedł ze mną. Chciał oddać nam wszystkie owoce, które ze sobą przyniósł, mus z melona i wielki termos lodowatej wody. Nagle przypomniał sobie, że ma przecież w samochodzie jeszcze jakieś placki.

Następnego dnia, ukrywając się przed upałem w krużgankach meczetu, znów spotkaliśmy Mohammada. To nie był jednak przypadek — Mohammad wiedział doskonale, gdzie będziemy, i najzwyczajniej w świecie nas szukał. Uśmiechnął się, wyściskał nas wszystkich i szybko wyjął schłodzonego melona. Właściwie to przygotował dla nas cały piknik z melonów, soku i litrów lodowatej wody.

A my?

A my zrobiliśmy mu skromnie herbaty.

A on?

A on się ucieszył, wypił ze dwie szklanki, zaczął studiować naszą mapę i... złapał się za głowę.

"Tęgo miasteczka to już nie ma — powiedział, pokazując na jakąś kropkę na mapie. — Tutaj jest tylko stacja policji, a potem 90 kilometrów nie ma niczego. Ani wody, ani schronienia. Co wy robicie? Tak nie wolno. Jest za gorąco i to nie jest zdrowe. Słuchajcie — ciągnął ze zmartwioną miną — jutro wracam z Yazd do Tabas. Chciałbym was zabrać samochodem. Co wy na to? Rowery wrzucimy na zamyada i już. Inaczej będę wam przywoził wodę i jedzenie, ale będę się martwił, i pewnie na koniec i tak policja was nie puści dalej. Tam turystom nie wolno".

Gorąco.

Nie tak jak latem w polskim mieście.

Nie tak jak nad morzem czy na asfaltowym rynku.

Raczej jak przy otwartym piecu.

Jak w niewietrzzonej piekarni, gdy z czasem robi się tak sucho, że nawet nie ma czym się pocić.

Wdychany żar dusi i nie zdomawia się na długo w płucach. Boli. Oddech jest płytki i gwałtowny. Jakby ciało pozbywało się nieznośnego ciężaru.

Najtrudniejsza do zniesienia jest jednak "suchość".

50 stopni Celsjusza i ani kropli potu.

Skóra robi się inna, jakby pokryta ryżowym papierem. Jakby wetrzeć w skórę odrobinę krochmalu.

Twarz pokrywa się kolejnymi latami i po kilku dniach wyglądasz niemal jak stary człowiek o nad wyraz uśmiechniętych oczach ukrytych w starej, zmarszczonej twarzy.

Ale kiedy napijesz się wody, nagle dosłownie nagle oblewa Cię pot. Od czubka głowy aż po stopy. Całe ciało pokrywa się kropelkami, jakby Twoja skóra była sitkiem, przez które sączy się wszystko to, co właśnie w siebie wlałeś. Ten pot, zbawczy, zanim wyschnie w ułamkach sekund, wyłapuje

każdy powiew wiatru o woni powietrza z suszarki do włosów. Ten wiatr nagle, magicznie chłodzi i choć trwa to tylko kilka sekund, jest czymś, co rozpamiętujesz. Za czym od razu zaczynasz tęsknić. Chwilę potem odzywa się pęcherz i znów intensywność koloru moczu trochę cię śmieszy, trochę martwi, ale starasz się to zignorować.

Zanim uderzy w Ciebie gierd-bad (trąba powietrzna) lub tu-fan (ściana pyłu), czujesz powiew niczym z pieca o zapachu kurzu. Dobrze, jeśli widzisz je już z daleka. Trochę gorzej jest, gdy coś takiego zajdzie Cię od tyłu lub nieszczęśliwie z boku.



Jeżeli dogania Cię z tyłu, masz tylko chwilę, by naciągnąć chustkę na twarz i zdecydować się, co robić: czy zsiąść z roweru, osłonić się nim przed zbliżającą się chmurą, skulić się i przeczekać, czy rozpędzić się i dać się ponieść pyłowi i śmieciom, licząc, że uderzenie nie będzie aż tak mocne.

Cokolwiek zdecydujesz, nie unikniesz wszechobecnego pyłu, jakichś śmieci i soli, które niczym mgła wypełniają powietrze i zasłaniają słońce. Masz tę mieszankę w oczach, w uszach, w ustach.

Cokolwiek zdecydujesz, nie unikniesz strachu, że z przeciwka jedzie autobus, którego kierowca na ślepo jedzie dalej i może Cię nie zauważyć.

Cokolwiek zdecydujesz, śmiejesz się jak szaleniec i powtarzasz sobie, że przecież nic się nie dzieje, że to tylko chwila lub dwie i że sam chciałeś tu być.

W sklepiku jakiejś niewielkiej wioski, w którym można było kupić lody, ale nie było skąd wziąć wody ("bo w studniach jest tylko słonawa i wam zaszkodzi"), ktoś wesoło przywitał nas w piekarni.

"Salam alejkum! Jak leci? Wszystko gra? A wy skąd? Alman [\[11\]](#)?"

"Jaki Alman? — odpowiedział ktoś z kupujących. — Przecież to Lachestani!"

No tak. Wszyscy już o nas wszystko wiedzieli. Pewnie na którymś z ciężarówkowych postojów ktoś się nami pochwalił. Tyle tu się działo, że trójka rowerzystów stawiała się wiadomością dnia. W sklepie, na drodze czy w łazience przy meczecie, gdzie w toalecie braliśmy prysznic w słonej wodzie. Wśród kierowców, którzy samotny meczet traktowali jak przystanek. Meczet stojący w miejscu katastrofy amerykańskich śmigłowców [12], w wibrującym powietrzu i na płaskiej jak patelnia pustyni dawał schronienie takim jak my. To tam właśnie, po wyjściu spod ciepłej, lepkiej słonej wody, którą polewaliśmy się z wężyka służącego do spuszczenia wody w toalecie, niewielki chór kierowców pozdrowił mnie gromkim: "Hello, Lachestan! Wszystko gra?".



Jeszcze tego samego wieczoru ulokowaliśmy rowery i wszystkie sakwy na pace zamyada. Do szoferki zmieścili się tylko Ania i Ben, a ja miałem niby "gorzej" i musiałem ulokować się razem z rowerami. Umościłem sobie legowisko, w słuchawkach miałem Pink Floyd I wish you were here, a nade mną czarne, gwiazdzone, spokojne i przytłaczające swą potęgą niebo. Ta głęboka czerń i spokojna muzyka utulały mnie do snu i sam nie wiem, jak zasnąłem w tak głębokiej euforii.

Po jakichś dwóch godzinach, "z litości", Mohammad zatrzymał samochód, by zapytać, czy mi aby wygodnie.

Mnie? Wygodnie? Ludzie kochani! Przyjaciele! Miałem nad sobą ogrom wszechświata mieniący się wszechwładną czernią i diamentami gwiazd, w uszach brzmiała mi muzyka, a wy pytacie, czy mi wygodnie?

A co wy tam mieliście? Nieszczęśliwcy! Blaszący dach nad sobą, upał silnika i jego monotonny ryk.

Czy mi tu wygodnie...?

Pod niebem pełnym cudów...?

Mariam poznaliśmy kilka lat wcześniej. Przez jej brata. Zamieszkaliśmy wtedy u nich w domu na długo. Nie wiem, czy kilka dni to naprawdę długo, ale... gdybyśmy się nie rozumieli i nie lubili, to pewnie nie zatrzymywaliby nas prośbami o "jeszcze jeden dzień".

Dzień po dniu coraz bardziej otwierały nam się ze zrozumienia oczy, a oni ciągle o coś pytali. Jak to jest u nas i co myślimy o Iranie. Normalna sprawa w kraju, który jak niewiele innych ma taką złą opinię w TV. Wśród ludzi, którzy do Iranu przyjechali, ma, o dziwo, zupełnie inną. Wszyscy się nim

mniej lub bardziej zachwycają i do dziś nie wiem, czy to Irańczycy są tak wspaniali, czy to my mamy wobec nich tak skomplikowane oczekiwania i potem ekscytujemy się niespodzianką.

Fakt faktem, że każdy z nas ma jakieś zdanie o tym kraju, chyba zupełnie niepotrzebnie. Mamy własne problemy i własne absurdy, a ekscytujemy się cudzymi brudami i nieporozumieniami. Wiadomo: obcych łatwiej jest oceniać i osądzać.

Mariam nie jest szczęśliwa. Jest radosna, jest uśmiechnięta i ciągle skora do wygłupów. Ale nie jest szczęśliwa.

"Ciągle myślę, czy uda mi się kiedyś żyć samej" — powiedziała pewnego wieczoru. Pojechaliśmy na pizzę do centrum Szirazu i w tłumie młodych ludzi próbowaliśmy rozmawiać. Za nami wisiał wielki plakat Persepolis i pamiętam, że Ania ucieszyła się i stwierdziła: "Skoro już widzieliśmy ruiny na plakacie, to nie musimy tam jechać". Takie już jest nasze nastawienie do tych wszystkich ruin.

"Pokój dla mnie. Tylko dla mnie samej. Mam na myśli jakieś małe mieszkanko, w którym miałabym PRYWATNOŚĆ. Zmęczona jestem rodziną. Kocham ich, ale dlaczego muszę

żyć z nimi, dopóki nie wyjdę za mąż? A jeżeli NIGDY nie wyjdę za mąż, to co? Normalni ludzie cieszą się, że mieszkają z rodzicami. Uwielbiają to, a ja nie".

Ślub, wiadomo, ważna rzecz. W różnych kulturach różnie się to odbywa, a my, ludzie Zachodu, bardzo cieszymy się z naszego liberalizmu. Nie mówię, że swatanie i aranżowanie spotkań jest zawsze dobre, ale rodzice też swoje wiedzą. Nie są rozpaleni pożądaniem ani zakochani, lecz patrzą, analizują. Nie oddadzą córki życiowemu nieudacznikowi ani syna rozpustnicy.



W Iranie wygląda to trochę inaczej niż u nas. W Iranie, przynajmniej w miastach (bo nie wiem, jak to jest w konserwatywnych wsiach) młodych się swata. Czasem młodzi poznają się na przykład w szkole, w pracy czy u znajomych i mają się ku sobie. Mieli szczęście, oby im się powiodło,

ale na ogół wygląda to trochę inaczej.

Typowo zaczyna się od tego, że chłopak opowiada swojej matce i siostrze, o jakiej dziewczynie marzy. Oczywiście, jak to mężczyźni, pierwsze, co opowiadają, to swoje marzenia o jej wyglądzie, ale potem zaczynają snuć marzenia o wykształceniu, o tym, czy chcą, by pracowała, czy żeby właśnie nie pracowała. Czy ma być niezależna itd. Gdy w ten sposób dopełni się już obraz przyszłej synowej i bratowej, kobiety ruszają na łowy. Szukają w autobusie, na ulicy, w parku czy szkole. Czasem nawet w meczecie, ale tam jakoś nie wypada, choć wśród bardzo religijnych ludzi nie jest to wyjątkowe. Gdy już spotkają dziewczynę, która odpowiada opisowi brata i syna, oczywiście przede wszystkim pytają, czy jest zamężna, czy może jeszcze nie. Gdy zamężna — wiadomo, jest po rozmowie, ale gdy singielka, zaczyna się wywiad.

— A przepraszam, tak w ogóle to kiedyś wyjdiesz za męża?

— Hm. Jeszcze nie wiem, ale gdy spotkam dobrego chłopaka, to pewnie tak — to oczywiście oznacza TAK, ale w kobiecym języku. Nie ma się co dziwić — w końcu podchodzi jakaś obca kobieta i z grubej rury, choć bardzo grzecznie, pyta, czy chcesz wyjść za męża. Wiadomo, że ma na myśli swojego syna, ale nie wiadomo jeszcze dokładnie, co, kto i jak.

— A ile masz lat? Pracujesz? Uczysz się? — i pada cała reszta pytań o rodzinę, o przyszłość, o marzenia, o religijność i cała seria innych "głupich pytań", jak to podsumowała śmiechem Mariam.

Czasem, gdy ktoś stara się być bardzo grzeczny, podaje swój numer telefonu i prosi o spotkanie u dziewczyny w domu. Z rodzicami i całą rodziną. Bo dziś coraz więcej dziewczyn nie lubi takich przesłuchań na środku ulicy. Zwyczajnie odpowiadają, że oczywiście są zamężne, by mieć spokój.

Rodziny się spotykają. Dochodzi do przyjaznej konfrontacji, przy czym to rodzice sobie gawędzą, a młodzi siedzą cicho i tylko na siebie patrzą. Dziś telefony i tak zmieniły rytuały. Dziś można do siebie zadzwonić bez wiedzy dorosłych. Można wieczorami wysyłać sobie SMS-y i opowiadać o sobie, o swoich marzeniach. Dowiedzieć się o sobie więcej i szybciej.

Potencjalny ślub to interes rodzinny i na takie spotkania przychodzą nierzadko i dziadkowie, i wujkowie, i ważniejsi kuzyni. Przynoszą ze sobą bukiet róż i słodycze. Pamiętam, że gdy przywieźliśmy znajomym pudło drogich słodyczy, mama Mariam bardzo się ucieszyła i... schowała je "na jutro". Okazało się, że rodzina pewnej dziewczyny, przyszłej żony Hassana, jednego z braci Mariam, właśnie "jutro" przychodzi ich odwiedzić i ze słodyczami trafiliśmy w dziesiątkę.

W trakcie spotkania rodzice opowiadają, czego młodzi od siebie nawzajem oczekują. "Nasza córka lubi...". "Nasz syn chciałby, by jego żona...". Czego chcą od życia, co lubią, a czego nie itd. Jeżeli po spotkaniu rodziny się lubią,

a młodzi są sobą zainteresowani, mogą zacząć się spotykać. Chłopak daje dziewczynie w prezencie pierścionek i od tego momentu wszyscy traktują wszystkich bardzo serio. Taki pierścionek lub inny podobny prezent oznacza formalne zaręczyny i młodzi mogą sami iść na spacer itd. Po miesiącu mogą wziąć ślub, choć czasem czekają nawet trzy - cztery lata.

Gdyby młodzi poznali się sami, na przykład na studiach, zaczęliby się spotykać, chodzić na wieczorne spacerunki i robić wszystko to, co NAM się kojarzy z naturalnym biegiem rzeczy, jednak rodzice niemal na pewno nie będą zadowoleni. Dla tradycyjnej rodziny nie ma takiej możliwości, żeby młodzi sami się wybrali — rodzice, nawet dla zasady, nie pobłogosławiają takiego związku — i zaczynają się "schody". To starsi mają doświadczenie i wiedzą lepiej, a młodzi... cóż młodzi mogą wiedzieć o życiu, i to życiu RAZEM? Nie daj Boże, by w swym szaleństwie zamieszkali razem! Takie coś to może się zdarzyć w północnym Teheranie, ale nie w Isfahanie czy Kaszan — jednym z bastionów konserwatyzmu.

Kto może, ma ukrytą na dachu antenę satelitarną. Wieczorami ogląda BBC i CNN i dzięki temu wiadomo dokładnie, co świat myśli o Iranie.

"Jedź do domu — mówiła nam Mariam — i powiedz wszystkim, że Iran to spokojny kraj, gdzie mieszkają przyjaźni ludzie. Powiedz, że mamy bogatą kulturę, że nasze życie jest inne niż u was, ale nie żyjemy jak Azjaci, biedni i bez wykształcenia, jak już kiedyś słyszałam od kogoś. Chciałabym, by wszyscy wiedzieli, że kobiety w Iranie chodzą do szkoły, że pracują, mogą rozmawiać z mężczyznami, jeżeli chcą, mogą iść same do restauracji, mogą być kierowcami, mogą zajmować wysokie stanowiska w pracy. Iran nijak nie jest zamkniętym krajem i nie mamy żadnej wojny. Cokolwiek wasza telewizja opowiada o nas, to tylko propaganda. Macie nas nienawidzić, macie nami pogardzać. Macie wierzyć, że tylko wy i wasza wojna możecie nas wyzwolić. A ja kocham mój Iran. To jest MOJA ojczyzna i gdy ktoś na nas napadnie, będziemy się zawsze bronić. Jeżeli mamy problem, to jest to NASZ problem i sami sobie poradzimy".

Maszhad. Brama do Afganistanu. Drugie co do wielkości miasto Iranu. Gdyby nie mauzoleum Imama, pewnie mało kto by tu zajeżdżał. Pewnie tylko ci, którym z jakichkolwiek powodów spieszo do Heratu. Handlarze bronią, narkotykami czy chińskimi wieżami hi-fi.

W środku stoi olbrzymie mauzoleum. Pokryte złotymi kopułami, otoczone wielkim murem w kolorze irańskiego błękitu ozdobionym obrazami kwiatów. Kilkanaście minaretów i tysiące pielgrzymów. Nikt nie postawił tego mauzoleum w środku miasta, to raczej miasto obrosło równomiernie kompleksem świętych budynków. Pod mauzoleum wybudowano wielki podziemny parking. Pod budynkiem z XIV wieku parkują samochody i

autobusy pełne wiernych.

Nie ma w Iranie drugiego bardziej świętego miejsca. Niektórzy by chcieli, żeby Kom, leżące jakieś 80 kilometrów na południe od Teheranu, było bardziej święte, ale grób Chomeiniego nijak się ma do grobu Imama Rezy. Imam Reza był przecież wnukiem proroka Mahometa w siódmym pokoleniu i ósmym imamem — następcą proroka.



Do jego mauzoleum nie wolno wносить aparatów fotograficznych, a niewiernym wcale nie wolno tam wchodzić. Zdarza się oczywiście, że od czasu do czasu któremuś z turystów uda się wejść — gdy strażnicy są za bardzo zajęci lub zwyczajnie przymkną oko. Tak czy inaczej, by wejść na plac, który prowadzi do grobu Imama, trzeba przejść przez kontrolę.

Po wyjściu z mauzoleum ci, których na to stać, kupują słodycze i rozdają je żebrakom. Jednak nie jest to tak zorganizowane jak na przykład w Indiach, gdzie żebrzący siedzą rzędkiem u bram świątyni i czekają. W Maszhadzie wygląda to tak, jakby głodujący ludzie rzucali się na swój ostatni posiłek. Nagle przy człowieku z pudełkiem ciastek i pączków zbiera się grupka przepychających się ludzi i każdy stara się złapać jak najwięcej. Czasem ten, kto właśnie rozdaje słodycze, podnosi pudełko wysoko do góry, by zapanować nad sytuacją. Wtedy wszyscy cierpliwie czekają. Nikt nie podskakuje, nikt nie próbuje wyrwać całego pudełka. Tak samo było, gdy ktoś postanowił takim ciastkiem poczęstować nas. Przywitał się, porozmawiał, zapraszał, byśmy się nie krępowali i kilkoma się poczęstowali. W tym samym czasie grupka żebrzących kobiet czekała na boku na swoją kolej.

Od samego początku wizyty w Iranie, pomijając tych kilku oficjeli na granicy, wszyscy wydawali się zakochani w Benie, tylko dlatego, że był

Anglikiem. Zdarzyło się nawet, iż jakiś starszy mężczyzna mu podziękował, że odwiedził "ich kraj". Twierdził, że ogląda po cichu BBC, i wie dokładnie, co ludzie na świecie, a zwłaszcza w Wielkiej Brytanii, myślą o Iranie, ale na szczęście Ben sam zobaczy, jakimi ludźmi są Irańczycy.

Zanim dojechaliśmy do Maszhadu, Benowi skończyły się pieniądze. Nie te na podróż, ale gotówka, a w Iranie nie można użyć plastikowej karty, by wypełnić portfel. Zgłosił się, jak na dobrego obywatela przystało, do własnej ambasady po pomoc. Pani S., bardzo miła kobieta, powiedziała, że oczywiście pomogą i że potrwa to może ze trzy dni. Jedyne, co musi zrobić, to przelać im na konto swoje pieniądze, zapłacić 30 funtów opłaty manipulacyjnej i kiedy tylko pieniądze pojawią się na ich koncie, zaraz mu je wypłacą. Ben napisał więc e-mail do rodziców, zrobiono przelew i... przez trzy tygodnie urzędnicy w ambasadzie nie mogli znaleźć pieniędzy na koncie. Codziennie wszyscy byli przeprasający, ale stanowczy, i jedyną radą, jaką mieli, było, by pożyczyć od kogoś pieniądze. No tak, logiczne... tylko od kogo? Nie mieliśmy aż tyle gotówki, by wystarczyło na troje, ale trzeba było sobie radzić. Z pomocą przyszli nam nasi irańscy znajomi i bez problemu pożyczyli Benowi 200 dolarów. Do granicy by wystarczyło, ale Ben słusznie się uparł, że skoro już zapłacił za przelew, wydzwaniał codziennie do ambasady itd., to powinien doprowadzić sprawę do końca. Gdzieś w połowie pustyni Dasht-e Kavir zadzwoniła pani S., że Ben może przyjechać, bo są pieniądze. Były już zresztą ponoć od dawna, ale ktoś coś przeoczył. Ben złapał przy pomocy policji autostop i ruszył czym prędzej w stronę Maszhadu. Niestety, ten autostop okazał się tym z obowiązku, a nie własnych chęci (w końcu to policja załadowała Bena do tego samochodu), i po kilkudziesięciu kilometrach Ben musiał szukać następnej okazji. Błękitna półciężarówka odjechała w irańską stronę... z kurtką Bena, a w niej ze wszystkimi jego pieniędzmi. Z Maszhadu do Teheranu jest 12 godzin jazdy autobusem i oczywiście na takowy trzeba kupić bilet; co jednak można zrobić, gdy nie ma się ani grosza? Można wytłumaczyć jakimś cudem, nie znając lokalnego języka, że pieniądze są, ale w Teheranie, i... zostawić w zastaw rower i wszystkie bagaże. Chłopaki z kompanii autobusowej wszystko zrozumieli i na ten jeden raz... zatrudnili Bena jako pomocnika kierowcy! Skoro nie miał na bilet, to zabrali go jako chłopaka do podawania herbaty i kanapek. Tym sposobem zajechał szczęśliwie do Teheranu. Tam kierowcy dali mu parę groszy na taksówkę i odebrał pieniądze. Na koniec całej tej przygody w kompanii autobusowej nikt nie chciał od niego pieniędzy za bilet, bo przecież był w pracy, a nie jechał jako pasażer.

I tacy są właśnie ludzie w Iranie. Są też bandyci, złodzieje, kombinatorzy, oszuści, zbrodniecy i cała reszta. Niektórzy już z daleka na takich wyglądają, a znowu inni przebrali się za policjantów albo nawet duchownych. Normalnie. Jak wszędzie na świecie. Na nasze szczęście jakoś takich nie spotykaliśmy. Trzymaliśmy się raczej tych miłych i pomocnych. Tych, którzy tworzą pozytywny PR swojego kraju i o których jakoś nic się nie mówi w

europiejskiej telewizji.

Noc przyszło nam spędzić obok posterunku policji. Sprawdzili nasze dokumenty oraz to, czy mamy wystarczająco dużo wody. Chwilę potem zapraszali nas na transmisję meczu.

"Wy oglądać futbol?" — zapytał jeden z żołnierzy. Wyglądał na jednego z tych odważniejszych i z dużym poczuciem humoru. — "Anglia Niemcy dzisiaj. Ty Anglik, oglądać futbol!".

Chwilę potem na posterunku rozgorzała dyskusja, czy komendant pozwoli Anglikowi-cywilowi-cudzoziemcowi oglądać mecz. Sami żołnierze nie mogli dojść do porozumienia, więc po cichu się ulotniliśmy. Co prawda niedaleko, bo przyszedł czas na rozbite namioty i wybraliśmy pierwszy pagórek, za którym mogliśmy się schować przed ulicznym hałasem. Mieliśmy przed sobą wielką połąć zaschniętej po deszczu gliny zrytej śladami kopyt jakichś antylop lub jeleni.

Wystarczyło usiąść na ziemi, by ten mały pagórek wygłuszył uliczne grzmoty przetaczających się ciężarówek, ale kiedy się wstało, było się widocznym dla żołnierzy. Z tej odległości budynek wyglądał dość śmiesznie. Jakby ktoś porzucił betonową kostkę na środku pustyni. Kostkę i szlaban, przy którym sprawdzano ciężarówki jadące do Turkmenistanu.

"Wy oglądać futbol! Anglik nie ma problem" — rzucił do nas niespodziewanie wesóły żołnierz, który przyszedł specjalnie po to, by nas zaprosić. Widocznie bardzo mu na tym zależało.

Nie miał tu dobrego życia. Ciężkiego też nie, raczej było to życie nudne. To na pewno. Cały dzień pilnował, by ciężarówki się zatrzymywały, by kierowcy mieli wszystkie dokumenty, by odkrywali plandeki. Cały dzień to w słońcu, to w betonowej budce. W zniszczonych butach, które tak często nam pokazywał... i zachwycał się naszymi.

Ben zniknął wewnątrz budynku na dwie godziny, a my cieszyliśmy się z ciszy i spokoju. Opuściliśmy Maszhad z jego tłokiem i przerażającym smogiem i hałasem na rzecz idyllicznej ciszy.

"Żegnaj, mundial Anglia. Taka szkoda, panie Ben! — rozległo się nagle w naszą stronę. — Niemcy Anglia 4:1. Żegnaj, mundial Anglia. Khodafez football cup Inglstan!" [\[13\]](#).

Ben poszedł po cichu spać. Nawet nie wypił z nami naszej rytualnej herbaty, którą na ogół to on nam parzył. Jeszcze w Syrii, w Deir ez-Zor, kupił niewielki czajnik i trzy małe szklanki. Dzięki temu piliśmy kilka razy dziennie nasze własne Trzy Filiżanki Herbaty, jakby nam było jeszcze mało. Tym razem poszedł po prostu spać, ale żołnierze na pewno o niego zadbali. W końcu zaprosili go "do siebie" i "w gości", a w Iranie to dużo znaczy i traktowane jest poważnie.

Granica z Turkmenistanem leżała już niedaleko. Jakies kilkadziesiąt kilometrów stąd. Ustanowiono ją pod koniec XIX wieku na rzece Atrak. Rosjanie, choć początkowo zgodzili się na układ granic, wcale nie byli tacy głupi. Otóż 60 kilometrów przed ujściem rzeki do Morza Kaspijskiego jej nurt rozdwajał się i Persja z Rosją nie mogły się dogadać, który nurt jest nurtem granicznym. Rozmawiano, dyskutowano i odwoływano się do paktów, umów i zdrowego rozsądku. W tym samym czasie, trochę w tajemnicy, Rosjanie wybudowali tamę na rozwidleniu rzeki i... osuszyli tym sposobem północną odnogę rzeki. Skoro rzeka miała już tylko jedno koryto, nie było podstaw do dyskusji i sporów o granicę.

Gdyby na pomysł tamy wpadli Persowie, osuszyliby oczywiście koryto południowe. A tak musieli oddać Rosji jeszcze jeden kawałek swego terytorium.



Jakoś ciągle do nas nie docierało, że jechaliśmy drogą, która była Jedwabnym Szlakiem. Historycznie! Właśnie tędy jeździły karawany! Wielbłądy, muły, osły, ludzie tak jak my zmierzający do Samarkandy, do Kaszgaru. Dziś ta droga pełna jest tirów, ale wciąż w użyciu. Wciąż daje chleb tym, którzy przy niej mieszkają. Wciąż zależy od niej egzystencja małego sklepiku w nieznanym świecie irańskiej wioski czy siedziby pogotowia ratunkowego dla tych, którzy mieli mniej szczęścia.

Właśnie z lekarzami i sanitariuszami takiego pogotowia przyszło nam pić herbatę, czekając, aż dogotuje się ryż. Chcieliśmy jedynie nabrać wody, ale nie dało się tylko wejść-wziąć-i-wyjsć. Trzeba było dać się zagadnąć i choć chwilę ugościć.

Po Jedwabnym Szlaku pozostało tylko wspomnienie. Z tych czy innych powodów szlak niemal umarł, a wraz z nim karawanseraje — pustynne dworce, gdzie wymieniano się informacjami o drodze, o wojnach i innych niebezpieczeństwach czyhających na podróżnych. Pozostały krajobrazy opisywane przez podróżnych i handlarzy. Pozostała magia drogi, która przez setki lat łączyła Chiny z Europą, choć pewnie żaden z handlujących nigdy całej tej drogi nie przeszedł. Wymieniali się swoimi dobrami jeszcze na wielkich Jedwabnych Skrzyżowaniach. W Kaszgarze, w Samarkandzie, w Bagdadzie itp. ich drogę śledzili złodzieje, kaznodzieje, filozofowie i rządzący. Wśród handlarzy byli szpiedzy, filozofowie, kaznodzieje i różnej maści duchowni, którzy wraz z jedwabiem i przyprawami transportowali w świat własne idee. Spotykali się na bazarach, w świątyniach i właśnie na karawanserajach.

W ruinach jednego z takich właśnie pustynnych dworców-zajazdów-twierdz obronnych spotkaliśmy Negahbana i Rezę. Strażników historii żyjących nudnawo z dala od drogi, którą znów podążają transporty ze Wschodu na Zachód. Drogi, na której znów słychać języki świata, którą znów podróżują handlarze i żądni przygód podróżni.

Obok powstawał nowy szlak. Nowa droga. Metalowa rura, którą Turkmenistan będzie przesyłał gaz dla zaprzyjaźnionego narodu irańskiego.

Robat-e Sharaf. Karawanseraj wciśnięty pomiędzy stary i nowy Jedwabny Szlak. To, co z zewnątrz wyglądało jak zamek, w środku bardziej przypominało pałac. Wszystko zbudowane z cegły tego samego koloru co otaczające wzgórza. Sucha trawa, gliniaste pagórki i ściany karawanseraju zlewają się niemal w jedno. Delikatne światło pogłębiało cienie powstające w załamaniach ścian i placu ukrytego za murami. Na zniszczonym placu, w ukrytych w podcieniach pokojach, gdzie odpoczywały karawany, wciąż jeszcze można było usłyszeć odgłosy wielbłądów, poczuć zapach dymu i przypraw. Spod przymkniętych powiek wciąż jeszcze można było zauważyć wychwalających swoje towary kupców i śpiące pod ścianami zwierzęta. Zapragnęliśmy zostać tam na noc i choć za kilka godzin musieliśmy być na turkmeńskiej granicy, nic, żadne przepisy, żadne terminy, żadne prawo nie mogło nas z tego miejsca przegonić.

Jakby czytając w naszych myślach, podszedł do nas kilkunastoletni Reza, opiekun tego miejsca, i wydukał po angielsku: "Czy chcecie tu spać?".

Los postanowił za nas, pieczętując nasze marzenie tym właśnie pytaniem.

Nocą to czarne niebo daleko na wschodzie rozświetlała wielka luna.

Wyglądało tak, jakby tuż za horyzontem rozgorzała wojna. Wielka, czerwona, pulsująca i naprawdę przerażająca łuna. Była to łuna niedalekiej rafinerii. Palący się gaz rozświecił unoszący się w powietrzu pustynny pył.

Wojna człowieka z Ziemią.



[1] Lawasz — ormiański chleb pochodzący z Zakaukazia i Wyżyny Armeńskiej. Znany jest także w Iranie, Gruzji, Azerbejdżanie, na Krymie i w niektórych rejonach Turcji [źródło: Wikipedia].

[2] Z angielskiego dosłownie: "Twoje imię Japonia".

[3] Z angielskiego dosłownie: "Ty zrobiony w?".

[4] Amerykańska marka rowerów (właściwie: Cannondale).

[5] Z perskiego: "Do zobaczenia"; w dokładnym tłumaczeniu: "Niech Bóg ma was w opiece".

[6] Paramilitarna milicja obywatelska składająca się z młodych mężczyzn bezwzględnie oddanych rewolucji i duchowieństwu. W praktyce działają jako bojówki Strażników Rewolucji — oddziały armii odpowiedzialne za obronę muzułmańskiego porządku w Iranie.

[7] Czekałem właśnie na wydanie książki o podróży do Indii — *Rowerem do Indii* (wyd. Bernardinum) — i miałem ze sobą wszystkie zdjęcia z tej podróży.

[8] Patrz strona 54.

[9] Patron wędrowców będących w potrzebie.

[10] Przysłowie arabskie.

[11] Z perskiego: "Niemiec".

[12] 24 kwietnia 1980 roku armia amerykańska próbowała odbić zakładników przetrzymywanych w amerykańskiej ambasadzie w Teheranie. Z powodu pustynnej burzy i błędów część śmigłowców się rozbiła i operacja się nie udała. Irańczycy twierdzą, że śmigłowce zestrzelili.

[13] Wymieszany perski z angielskim: "Żegnaj, mistrzostwa świata Anglio!".

Turkmenistan



Rozpoczęła się zupełnie nowa podróż. Mimo tysięcy kilometrów od domu czuliśmy się tak blisko Polski! Na bazarach pojawiły się griczką, mineralka i syr [\[1\]](#). Do tego ludzie wyglądali jak "nasi", a wszystko przypominało biedniejszą wersję domu.

Jednak by dostać się do Turkmenistanu, musisz najpierw wydostać się z Iranu, a jeśli przejeżdżasz granicę na rowerze, słowo "wydostać się" to wcale nie przesada.

Najpierw musisz (oczywiście taszcząc rower) przeskoczyć przez głęboki, wybetonowany rów broniący budynek przejścia granicznego przed ulewnymi deszczami. Potem trzeba wspiąć się po chyba sześciu schodach, oddać paszport i... czekać. Hala nowa, można by powiedzieć, że piękna, bo marmurowa i chłodna. Kiedy tam się znaleźliśmy, wszyscy kierowcy czekali cierpliwie na krzeselkach i tylko my spacerowaliśmy trochę nerwowo. Po prostu nam się spieszyło, a oni byli już doświadczeni.

No, szybciej się nie da.

Nie dość, że właśnie przyszedł czas na "modlitwę o trzynastej", to jeszcze potem był czas na "przerwę obiadową".

Więc czekasz.

Głodny.

Patrząc, jak po drugiej stronie okienka urzędnik zajada smakowicie pachnący obiad i gestem ręki każe ci odejść. Okienka, do którego trochę na bezczelnego, a trochę w wyuczony desperacji wpychają się kolejni

kierowcy, rzucając swoje paszporty na sam wierzch rosnącej kupki. Ale ty jesteś Polakiem. Upartym, i na dokładkę nie lubisz, gdy ktoś tak cię traktuje. Bez słowa. Przecież czasy Przerw Obiadowych i Przyjęć Towaru już się skończyły. Teraz to ja, proszę szanownego państwa, mam swoje prawa. Konsumenta, obywatela i, jakkolwiek by patrzeć, turysty.

Prawo turysty upoważniało mnie do zajęcia jednego z kilkunastu plastikowych krzeseł, skorzystania w dowolnej chwili i z dowolną częstotliwością z bardzo czystej toalety i oglądania irańskiej telewizji bez dodatkowej opłaty.

Prawo turysty upoważniało mnie również do odczekania bliżej nieokreślonej ilości czasu w godnych warunkach.

Jakoś z tego ostatniego prawa nie miałem zamiaru korzystać i za wszelką cenę postanowiłem nie tylko pokazać mój pazur polskości, ale nawet go użyć. W końcu: jak się bić o swoje, jak być złośliwym bez złośliwości i jak zawsze postawić na swoim, to ja przecież wiem. Wychowałem się nad Wisłą. Mam za wzór pokolenia polityków i całą historię kraju, w którym niejednemu wydaje się, że Polska jest mesjaszem narodów.

Zły z głodu i nakręcony oczywistą niesprawiedliwością, stanąłem pod tym szklanym okienkiem i zacząłem sobie pogwizdywać i podśpiewywać. Jeszcze, gdyby ktoś przyszedł i powiedział grzecznie, że muszę poczekać, bo jest tak i tak, to pewnie bym zrozumiał, ale gdy ktoś pokazuje mi palcem poczekalnię i mówi do mnie stanowczo: "Czekać!", to wiadomo — włos mi się na karku jeży. Śpiewom i gwizdom nie było końca. Uparłem się. Zacząłem żartować z innymi czekającymi, a ci od czasu do czasu się śmiali. W końcu, po kilku minutach i piorunujących spojrzeniach urzędników, jeden z nich wstał, wygrzebał nasze paszporty z kupki innych, wbił pieczętki i kazał odjeżdżać.

A proszę bardzo.

Już nas nie ma.

Jeszcze Polska nie zginęła!

Po drugiej stronie rzeki czekali już turkmeńscy urzędnicy w liczbie trzynastu i każdy miał tu jakąś funkcję. Każdy przeglądał paszport, wypisywał jakiś papierek, by na koniec pobrać "opłatę za usługę obsługi granicznej w wysokości trzynastu dolarów amerykańskich".

Najpierw był lekarz, który patrząc na nas przez chwilę, stwierdził, że jesteśmy zdrowi.

Potem był Urzędnik Pierwszy, w mundurze, który po raz pierwszy spisał różne dane z naszego paszportu.

Potem był Urzędnik Drugi, który zrobił dokładnie to samo, tylko do innego zeszytu.

Wtedy Urzędnik Pierwszy wystawił za wstęp do tego wesołego miasteczka bilet i patrzył, uradowany, na nasze zaskoczone twarze.

Na ziemi niczyjej mój sposób "na dumnego Polaka" raczej nie działa i trzeba było pokornie położyć uszy po sobie. Wziąć udział w tej grze na uśmiechy i dolary.

Przy okazji Urzędnik Pierwszy zawołał dwóch młodych żołnierzy, by z paszportów spisali różne dane do zeszytu leżącego przy bramce wykrywacza metali. Szło im to strasznie opornie, więc po 10 minutach przegonił ich z głośnym fukaniem i sam wszystko wpisał przy pomocy Urzędnika Trzeciego, który tylko jakby po to się pojawił i zaraz gdzieś znikł.

Przeszliśmy przez bramkę i oddaliśmy się w ręce piątki Urzędników Siedzących za Stołami. Czułem się trochę jak na komisji wojskowej, tyle tylko, że nikt nie nosił lekarskich kitli, a ja nie musiałem rozbierać się do naga przed obcymi i udawać, że do wojska nijak się nie nadaję. Młodzi żołnierze nosili mundury dziwnie podobne do mundurów armii tajskiej lub khmerskiej. Takie same "rendżerskie" kapelusze, spodnie i wysokie buty.

Za nami weszło kilka kobiet przewożących po kilkanaście dywanów. Najpierw musiały przepuścić te dywany przez rentgena, a potem i tak je rozwijać. Ciekawe, co się przemyca do Turkmenistanu? Zwłaszcza w dywanach z Iranu?

Urzędnicy Siedzący za Stołami przybili kilka pieczętek (każdy swoją) na kwicie wjazdowym, którego "za żadne skarby nie możemy zgubić, bo w przeciwnym razie przy wyjeździe będziemy mieli problemy!". Zadali kilka tych samych pytań: skąd, dokąd, po co i, co najważniejsze, któredy. Otworzyli kilka z sakw i, już rozluźnieni, zaczęli rozmawiać. Znow w sumie o tym samym, czyli dokąd, po co i któredy, ale tym razem bardziej prywatnie niż urzędowo. W każdym razie treści tych rozmów już nie zapisywali w zeszytach.

Ktoś niemundurowy pomógł zapakować sakwy na rowery, sprowadzić rowery rampą w dół i... wjechaliśmy w turkmeńską pustkę. Jeszcze tylko Dwunasty i Trzynasty sprawdzili paszporty i wszelkie pieczętki przed wyjazdem z przejścia i... już nas nie było.

Zrobiła się 16.30 i pierwszy dzień Pięciodniowej Wizy Tranzytowej przez Kraj Turkmenów dobiegał końca. Pozostały nam cztery dni i prawie 500 kilometrów do pokonania.

Po sześciokilometrowej przeprawie przez płaski, pustynny "plac", łączący granicę z miasteczkiem Serakhs, przywitał nas jakiś tęgi mężczyzna. Z otwartymi ramionami i lekko alkoholowym oddechem. Odzwyczajeni od zapachu alkoholu, trochę się przestraszyliśmy, że wszystkie te "historie o wszechobecnym piciu" się sprawdzą, ale jakoś trzymaliśmy fason i

udawaliśmy, że w żadne legendy nie wierzymy. W końcu przejechaliśmy już kilka krajów, o których słyszeliśmy różne złe historie, a (z wyjątkiem kurdyjskich psów) mało co się z tych opowieści sprawdziło.

Postanowili nas nakarmić. Obsługa baru i noclegowni dla kierowców ciężarówek stwierdziła, że zjeść trzeba, i to dużo. Zrobili jajka, podali pierwszą w tej podróży lepioszkę [\[2\]](#) i dzbanek czaju. Ktoś wyjął z lodówki butelkę wódki i wymownie ją pokazał, ale gdy powiedzieliśmy, że dla nas na wódkę jest za gorąco... schował butelkę z powrotem i tylko szczerze się uśmiechnął.

Po drodze z granicy minęliśmy stację kolejową pełną wagonów towarowych. Patrząc na tę niepozorną stację, trudno sobie wyobrazić, jak ogromne znaczenie dla całej Azji Środkowej miała ta właśnie, wybudowana przez carską Rosję linia kolejowa. Po raz pierwszy wiele regionów i plemion, oddzielonych do tej pory przepastnymi pustyniami, stepem czy ogromnymi rzekami, mogło się "spotkać".

Kolej, niczym pajęczyna, oplotła sobą wszystkich. Nagle, w sytuacji kryzysowej, Rosja mogła wysłać wojsko do stłumienia rebelii czy buntu. Jak bowiem można było przeciwstawić się sile, która potrafiła wybudować taką drogę żelazną przez piaski pustyni, dotąd dzielącej odległe terytoria; która przerzuciła kilometrowe mosty przez rzeki, dotąd broniące dostępu?

Kolei Transkaukaskiej przestraszyli się Anglicy. W sposób oczywisty Rosja prowadziła swą ekspansję na wschód i zagrażała samemu imperium brytyjskiemu. Tereny te były tak nieznane, że potrzeba było lat, by któryś z inżynierów wreszcie wybrał się w podróż i naocznie sprawdził, którędy i czy w ogóle da się poprowadzić linię kolejową do Afganistanu.

Natura się broniła. Piasek zasypywał tory, wiosenne powodzie wyplukiwały ten sam piasek spod podkładów, a nowe, z braku lasów, trzeba było przywozić aż z Rosji. Wszystko to kosztowało mnóstwo czasu i pieniędzy, ale generał Annenkoff nie dawał za wygraną. W końcu dzięki tej kolei można było w 12 dni dojechać z Moskwy do Heratu. Pociągiem do Odessy, promem do Batumi, znów pociągiem do Baku, znów promem, i znów pociągiem prosto do Serakhs i dalej.

A wszystko w tajemnicy przed Anglikami.

Co myśmy o tym kraju wiedzieli? Niewiele. Na przykład, że wizę turystyczną dostaje się razem z przewodnikiem, który pilnuje nas na każdym kroku. Że Turkmenistan otaczają pustynie i kawałek Morza Kaspijskiego; że pod piaskami znajdują się drugie co do wielkości złoża gazu ziemnego. Wiedzieliśmy, że według najnowszych wykopalisk ludzie, którzy dziś zamieszkują Indie, przyjechali właśnie stąd. Wiedzieliśmy także, że w momencie odzyskania (lub też ogłoszenia) niepodległości w 1993 roku Saparmurat Atayevich Niyazov, znany na

świecie jako Turkmenbasza, czyli władca wszystkich Turkmenów, ogłosił się dożywotnim prezydentem Turkmenistanu. Kraj był wyjątkowo zrusyfikowany i nikt tak naprawdę już nie pamiętał, co to znaczyło być Turkmenem. Turkmenbasza postanowił to zmienić w dość specyficzny sposób.

Lotnisko w stolicy, Aszchabadzie, nazwał swoim imieniem.

Portowe miasto Krasnowodzk nazwał... swoim imieniem.

Styczeń nazwał... swoim imieniem, przy okazji kwiecień nazywając imieniem swojej matki.

Wiele szkół i ulic otrzymało imię... Turkmenbaszy.

W 1997 roku Turkmenbasza rzucił palenie i następnego dnia... zakazał palenia w całym kraju.

Ponad trzystukilogramowy meteoryt, który spadł w Turkmenistanie w 1998 roku, nazwano... Turkmenbaszą.

Lewy profil jego twarzy, podobnie jak profil królowej brytyjskiej, zdołał każdy zegar w kraju (i oczywiście wódkę Turkmenbasza).

W 2001 roku opublikował wielką księgę Ruhnama. Szczerze napisał w niej, że "duszę ma szaloną", ale jakoś nikomu nie dało to do myślenia. O dyktatorach się nie myśli, dyktatorów się słucha. Trzeba było ją nie tylko znać, ale odpowiadać z niej na wrywki nawet w trakcie egzaminu... na prawo jazdy!

W 2006 roku sam Turkmenbasza uznał i ogłosił, że bez znajomości Ruhnamy nie można wejść do nieba. Raz oznajmił w TV, że z tym rajem to pewniak, bo sam poprosił Allaha, by tak właśnie było.

W 2004 roku ogłosił, że na pustyni Kara-kum zbuduje wielki lodowy pałac, obok którego powstanie zoo... z pingwinami!

W 2006 roku przestał być prezydentem tego pustynnego kraju. Umarł. Na szczęście dla pingwinów; ani pałac, ani też zoo nigdy nie powstały.

Wszyscy spotkani Turkmeni dobrze go wspominali i tłumaczyli nam uparcie, że my, Europejczycy, w ogóle go nie rozumiemy. To co, że nie ma demokracji? To co, że stawiał sobie pomniki ze szczerego złota? Dał ludziom chleb, pracę i szkoły.

By ratować naszą wizę, podjechaliśmy 80 kilometrów taksówką. Załadowaliśmy rowery do minibusa i pojechaliśmy prosto do Hanhowuz, do głównej drogi, która miała nas zaprowadzić aż do Uzbekistanu. Chcieliśmy rozbić namiot nad wielkim, sztucznym jeziorem, ale mocno pijani policjanci przekonali nas, że się nie da, że to jest "militarną zoną" [\[3\]](#), i musieliśmy szukać noclegu gdzie indziej. Trochę było nam żal, bo mieliśmy przeogromną ochotę na kąpiel. W dodatku nietrudno

zrozumieć, jak działa na mężczyznę widok "plażującej kobiety", jeżeli spędziło się kilkanaście tygodni w świecie czadorów. Nagle kobiety w bikini wydają się nagie i epatujące seksapilem. Nagle zauważa się ich każdy ruch.

Noclegu musieliśmy szukać przy kafe, czyli zajeździe dla kierowców. Na żwirowym parkingu stało kilkanaście wielkich ciężarówek, a ochroniarz kazał nam rozbić namiot pod latarnią, żeby nas widzieć. Tyle tylko, że pod latarnią gromadziły się miliony komarów. Jakoś udało nam się postawić namiot "kompromisowo", czyli pod najmniejszą latarnią. Ochroniarz wciąż nas widział, ale komarów było jakby mniej. W końcu to on tu rządził, ale też nie chciał, żebyśmy go rano przeklinali. Właściciel zajazdu zaprosił nas na kolację. Ogórki, szaszłyk i wódka.

Znowu wódka? Czyli co, legendy postradzieckie są prawdziwe? Do samego alkoholu nic nie mieliśmy, raczej do jego legendarnych ilości. Po Syrii, tureckim Kurdystanie i Iranie taka ilość alkoholu i dziewczyny spacerujące w strojach kąpielowych nad jeziorem to już było dla nas dużo jak na jeden dzień. Właściwie: jak na kilka godzin.

Zanim zdążyliśmy się zastanowić, padła komenda. Oczywiście, jak zawsze w moją stronę.

"Robert, pij! Musisz. U nas, rozumiesz, urodziny naszego kochanego prezydenta! Napić się trzeba, a ty, jako nasz gość, musisz wznieść toast! Nie ma, że się nie napijesz!".

I nagle wszystko się wyjaśniło! Całe to pijaństwo było wielką imprezą urodzinową na cześć Gurbangulyego Berdimuhamedowa, którego portrety towarzyszyły nam już od granicy. Na dworcu kolejowym — w garniturze, na posterunku policji — w mundurze, na budynku szkoły — z gromadką dzieci. Portrety wielkości odpowiedniej do jego stanowiska. Nie jakies tam niepozorne, ale olbrzymie. Dwa na trzy metry. Co najmniej. I z każdego z nich bijepowaga, opiekuńczość i zrozumienie. Takiego prezydenta trzeba szanować. Za takiego trzeba się choćby i napić i życzyć mu zdrowia. Bo, jak wiadomo, zdrowie jest najważniejsze.

Jakkolwiek patrzeć, Gurbanguly Berdimuhamedow w porównaniu z Turkmenbaszą był istnym aniołem. Przecież pootwierał kina, balet, cyrki i nawet operę — wszystko to, co Turkmenbasza pozamykał, by ratować "narodową moralność".

Gdy już gospodarze byli mocno wstawieni — pisząc: MOCNO wstawieni, mam na myśli to, że już zaczęli się sprzeczać i nawzajem uciszać, a zarazem przekrzykiwać — gdy w powietrzu unosił się nastrój góralskiego wesela i tylko ciupagi brakowało, i zbitej żarówki, i... wszystkiego, co zwykle bywa zaraz potem, jeden z nich rzucił nieśmiało, byśmy zostali u nich jeszcze jutro.

"Weźcie taksówkę. Przecież nikt w domu się nie dowie, a wy nie będziecie się męczyli. No i zostaniecie z nami na kilka dni, a potem podwieziemy was do samej granicy!"

Na śniadanie dostaliśmy jajecznicę, a na drogę wodę. Dużo wody. Mieliśmy jechać przez przypominającą plażę pustynię, i to nie taksówką, a rowerami. Musieliśmy im podziękować za gościnę, za zaproszenie i trzymać się własnych dwóch kółek.

W drodze przez Turkmenistan trzeba przejechać przez Mary [\[4\]](#)]. Prowadzi przez nie droga do Uzbekistanu i nie da się go ominąć. Tak jak kiedyś, w czasach Jedwabnego Szlaku, była to ważna oaza, tak i teraz jest to jedno z największych miast Turkmenistanu. Mary było kiedyś jednym z największych miast świata. W XII wieku mieszkało w nim 200 tysięcy ludzi. Zostało niemal stolicą imperium arabskiego, gdy za czasów Abbasydów w IX wieku Al-Mamun postanowił przenieść stolicę z Bagdadu właśnie tutaj.

Dziś stoją obok siebie dwa miasta. Obok betonowego i pełnego bloków stoi stare — z budowlami z gliny. Obrócony w ruinę przez liczne najazdy i uciekający czas opustoszały szkielet miasta. Dziś życie toczy się już tylko w tym betonowym, i właśnie dlatego przyszło nam je odwiedzić.

Na bazarze wszyscy byli nami zainteresowani. Czasem zwyczajnie: "A wy z Ameryki? A nie, z Polski. A to szkoda". Czasem właśnie na wieść o naszym pochodzeniu pięćdziesięcioletni mężczyźni wspominali swój pobyt w armii w Legnicy, w Jaworze, we Wrocławiu czy w... Brześciu i na nic zdawały się tłumaczenia, że Brześć to na Białorusi. "No, może i tak, ale do Polski tylko kilka kilometrów, no i przychodziła do nas taka piękna Polka, Krystyna. Ta to była cud dziewczyna! A Jawor znacie?".

A znamy, mieszkamy może 20 kilometrów od Jawora.

"A bo ja tam kolegę miałem, Witek mu było na imię. Świetny kolega to był".

A kiedy to było?

"A gdzieś w 1976!".

W Zahmet przeżyliśmy szok. Kropka na mapie oznaczająca tę wieś okazała się większa niż sama wieś w rzeczywistości [\[5\]](#). Całość to dwa osiedla takich samych domków, o jednakowym kształcie, z jednakowej cegły i z jednakowymi dachami. Stacja kolejowa, wiadukt za torami, posterunek drogówki i kafe z lekka jakby zapomniane. Może dlatego, że nowa obwodnica wiedzie jakieś 100 metrów obok, a nią jeżdżą wszystkie tureckie i irańskie ciężarówki?

Kupiliśmy sobie coś zimnego do picia i wzięliśmy się za gotowanie. Trochę zrobiło się nam nieswojo, gdy właściciel bądź co bądź przydrożnej restauracji, zamiast nas pogonić, wyniósł nam plastikowy stół i krzesła.

Wytłumaczyliśmy mu, że jeżeli ma z nami jakiś problem, to my sobie pójdziemy. Ale problemu nie było. Była za to ciekawość. Głównie interesował się prymusem i rowerami oraz, jak zawsze, kim jesteśmy i co tu robimy.

Do końca ważności wizy zostało nam półtora dnia i nie dość, że 170 kilometrów do granicy, to jeszcze większy żal. Od Türkmenabat do granicy 130 kilometrów pustkowiec, a wciąż chcieliśmy kogoś poznać, zrobić coś więcej niż Tour de Turkmenistan i samo pedałowanie wśród wydym. Zwłaszcza po wizycie w Mary, gdzie czuliśmy tylko pośpiech wymieszany z wielką ciekawością. Tam po prostu przebiegliśmy przez bazar i nie mieliśmy czasu, by z kimś dłużej porozmawiać.

Musielismy podjechać autobusem. Pociąg odpadł od razu, choć była tu stacja kolejowa. Zawiadowca stacji wytłumaczył mi szybko, że pociąg zatrzymuje się tylko na dwie minuty i nie ma szans, by się zapakować z rowerami.

Podjechaliśmy na posterunek drogówki. Kakysh, chłopak z kafe, który wcześniej pojechał ze mną na stację kolejową, postanowił poprosić policjantów o pomoc. Specjalnie się do pomocy nie palili, ale też nie było kogo zatrzymać. Na nasze szczęście, po tym jak minęło półtorej godziny naszego czekania w cieniu ich posterunku, mieli nas na tyle dosyć, że postanowili coś zrobić i... zatrzymali autobus wiozący pracowników.

W autobusie siedziało ich siedmiu. Wracali do domu w Türkmenabacie po 25 dniach pracy przy wydobywaniu gazu.

Pasażerowie autobusu byli w różnym wieku, o różnych twarzach, ale jednym temperamencie. Jeden, ten najbardziej wesoły i rubaszny z wyglądu, mógłby śmiało robić za Hindusa. Przez pierwsze półtorej godziny naszej wspólnej podróży niemal cały czas się śmiali. Z siebie oczywiście. Jak dzieci robili sobie dowcipy i opowiadali o sobie coś śmiesznego, i jakoś nikt się nie obrażał, tylko każdy próbował się odgryźć.

W przerwach tej zaraźliwej wesołości oczywiście pytali o naszą podróż.

— A ile taki rower kosztuje? Bo u nas to taki na bazarze za 100 dolarów już kupisz.

— A ile wydajecie dziennie na taką podróż?

— A ile zarabia się w Polsce? Bo u nas to 200 - 300 dolarów.

— A mieszkanie? To ile u was kosztuje, bo u nas to za darmo.

— Bo u nas, widzisz, woda, gaz, prąd i sól to za darmo są. Nic nie płacisz. Najlepszy kraj na świecie! Jak u was wszystko takie drogie, to przyjeżdżajcie do nas! Widzicie! Śmiejecie się z Turkmenbaszy, a on nam to wszystko dał.

Wysadzili nas na przedmieściach, przy knajpce. Przy kolejnym kafe, którego właścicielka już tradycyjnie pokazała nam, gdzie jest woda, gdzie miejsce na namioty, z uśmiechem i jakby litością oznajmiając, że nie ma najmniejszego problemu, żebyśmy tu spali. "Za godzinę zamykamy, to wam światła zapalone zostawimy. Niczym się nie martwcie. Tutaj bezpiecznie!".

O szóstej rano obudziły nas dwie przechodzące obok parki. Młodzi chłopcy w samych spodniach i dziewczyny w kusych sukienkach i z ostrym makijażem. Lekko zachwiani, mocno objęci. Świat islamskiej pruderii zostawiliśmy daleko za sobą.



Turkmeńska pustynia więzi ludzi zbitych w miastach, ale te miasta trzyma z dala od siebie. Mało kto dokądś podróżuje. Droga zniszczona, z miasta do miasta daleko, telefony co chwila nie działają. Łatwiej ich wszystkich kontrolować, łatwiej wmawiać im, że żyją w pięknym kraju. Trójka rowerzystów okazała się "gwoździem programu" wśród drogowych opowieści kierowców tirów. Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że po drodze ludzie wiedzieli już, jak mamy na imię, skąd jesteśmy i że jesteśmy "Paljaki i Ingliczanin" [\[6\]](#)?

Gdy zaszliśmy na bazar, by zrobić kilka portretów, towarzyszyły nam uśmiechnięte spojrzenia, czuliśmy też niemal przymus picia herbaty i snucia opowieści. A jak to jest w Polsce? A z czego u was się żyje? A czy to jest dobry kraj do życia? I czy jest praca? A Robert, zrobisz nam zdjęcie? Zawieziesz do domu, pokażesz ojcu i matce i opowiesz o nas i o tym, jak my tu żyjemy?

Wyjeżdżaliśmy z wrażeniem, że im bardziej władza nie chce w kraju turystów, tym bardziej ludzie, ci zwykli ludzie, są ich ciekawi. Bardziej pomocni, uśmiechnięci.

Po drodze do Uzbekistanu zegnały nas plakaty i murale niczym z ZSRR, kraju, który już dawno nie istnieje, a który wciąż żyje w historiach wielu ludzi. Kombajny buszujące w bawełnie lub urodzajnym zbożu. Bazarowe stragany pełne pięknych, idealnych warzyw i owoców. Obrazek wypełniony wielkimi, kształtnymi arbuzami. Konie. Znow piękne i doskonałe, a tuż obok... rurociąg i gaz. W tle flaga narodowa albo cytaty typu: "Prezydent Turkmenistanu rzekł..." lub bardziej zwyczajnie: "Turkmenistan, nasz piękny kraj".



Ileż to obrazów roiłem sobie, gdy wypowiadałem słowa "Amu-daria"! Potężna rzeka, nad którą przechadzał się Aleksander Wielki. Rzeka-legenda. Jakieś nieistniejące coś, iluzja. Coś, co żyje tylko w książkach, opowiadaniach i legendach, lecz tak naprawdę tego nie ma. Mam takich miejsc w notatniku jeszcze kilka, choć jest ich coraz mniej. Życie mam szczęśliwe i powoli wykreślałem wszystkie te miejsca jako "zaliczone", odczarowane, urealnione i prawdziwe. Czasem przynoszą rozczarowanie, czasem okazują się dokładnie takie, jak je sobie wyobrażałem. Bo wyobrażenia są naszym wrogiem. Jedziemy w jakieś miejsce, wyobrażając sobie, jakie ono będzie, i rzadko takie jest.

A Amu-daria, legendarny Oksus, była dokładnie taka, jak ją sobie wyobrażałem. Potężna. Ogromna. Prąca do przodu, powoli, ale nieubłaganie. Majestatyczna w swej wielkości i dumie.

Nie do przejścia.

Jakim sposobem i z jakim strachem przekraczali ją żołnierze Aleksandra pędzeni szaleństwem swego wodza? Ilu z nich nie dotarło na drugi brzeg?

My, wiele wieków później, wjechaliśmy na wąski, pontonowy most,

przepuszczając wielkie ciężarówki jadące z przeciwka. Powoli, wśród szumu brązowej, mętnej wody sunącej z przerażającą mocą pod mostem. Tuż obok, po naszej prawej stronie, ciągnął się nad rzeką wielki, betonowy most kolejowy, duma inżynierii radzieckiej. Już w XIX wieku Rosjanie wybudowali w tym miejscu drewniany most, do budowy którego musieli przywieźć drewno aż z własnego kraju. Ustawiony na 3 tysiącach filarów, wbitych w piaszczyste i niestabilne dno, był konkurencją dla promu. Most wybudowano jako tymczasowy, ale przetrwał ponad 10 lat. Sami Rosjanie nazwali ten most "wariackim", bo chwiał się i skrzypiał tak mocno, że większość podróżnych wysiadała z pociągu i wolała przejść go pieszo, a kolejarze tracili nerwy i zamiast przejechać go spokojnie, przyspieszali, gdy tylko osiągnęli połowę długości.

Cały most był zbudowany z czterech mniejszych, opierających się na wyspach, i miał prawie 2000 metrów długości, a przejazd pociągu po nim trwał 15 minut. Gdy tylko niejaki pan Bieliński, inżynier carski (Polak, oczywiście) ten most wybudował, Rosjanie przecięli go w połowie i dobudowali ruchomą platformę, by most był zwodzony. Bardzo szybko okazało się, że przerwa w moście była za wąska dla parowców, i trzeba było wyciąć kolejny kawałek. Most ledwo to przetrwał i mało kto wierzył, że wytrzyma kolejne powodzie. Jak by tego było mało — każdy parowiec sypał z komina iskrami i tylko przypadek sprawił, że most nigdy nie spłonął.





[1] Z rosyjskiego: "kasza gryczana, woda mineralna i ser".

[2] Lepioszka — rodzaj chleba popularnego w Azji (m.in. w Kazachstanie, Kirgistanie i Uzbekistanie). Wyrabia się go z mąki, wody i tłuszczu, bez dodatku drożdży. Na wyrobionym cieście odciska się wzór i przykleja się je do wewnętrznej części glinianego pieca. Po kwadransie pieczywo jest już gotowe. Jeśli nie, ciężko odkleić je od pieca [źródło: Wikipedia].

[3] Z rosyjskiego: "strefa wojskowa".

[4] Inne nazwy to Merw, Merv i Margiana.

[5] Dopiero później, gdy już wyjeżdżaliśmy, okazało się, że właściwa wieś leżała 2 kilometry dalej. I tak jednak była mniejsza, niż na to liczyliśmy. Zbudowana z jednakowych kołchozowych domów.

[6] Z rosyjskiego: "Polacy i Anglik".

Uzbekistan

Buchara

Choć we wszelkich przewodnikach napisane jest, że na terenach przygranicznych nie wolno nocować, rozbiliśmy namioty ledwo ze dwa kilometry od płotu z kolczastego drutu oddzielającego Turkmenistan od Uzbekistanu. Nie byliśmy żadnymi chojrakami ani nie próbowaliśmy czegoś dowieść czy rzucić czemuś wyzwania, tylko najzwyczajniej zrobiło się późno. Trzeba było położyć się gdzie spać, a nie jeździć po nocy po obcym kraju. Wojskowi z przygranicznych koszar napełnili nam bukłaki wodą i o nic nie pytali, więc wzięliśmy to za dobrą monetę.

Rozbiliśmy się nad kanałem, którym wolno płynęła beżowa woda z niedalekiej Amu-darii. Ten beżowy kolor prześladował nas od początku podróży i powoli zaczął nudzić. Otaczająca na znów beżowa jałowość i walka o życie byle roślinki i byle zwierzaka nie była już nijak malownicza czy ekscytująca. Beż stał się wybitnie passé, jak to teraz mówią. Był już dla nas nie w modzie, pożąдалиśmy zieleni. Soczystej i takiej po horyzont, a nie przykrytej beżowym (!) kurzem i szczątkowej.

Rozbiliśmy się nie tylko nad kanałem, ale i pod drzewami, którymi ktoś kiedyś (i chwała mu za to) obsadził ten brzeg. Tuż obok stało kilka samochodów, a w cieniu drzew odbywała się impreza miejscowych. Kilku mężczyzn kąpało się w nurtach leniwego kanału, coś tam podjadali i popijali, a wszystko to przy dźwiękach rosyjskojęzycznego disco ryczącego z jednego z samochodów. Jeden z nich, gdy już wzięliśmy się za gotowanie makaronu, przyniósł nam kawałek melona.

"Na zdrowie — powiedział. — Witamy w Uzbekistanie! Tylko nie kąpcie się w kanałach, bo woda za mocna. Trzeba wiedzieć, gdzie można, i umieć też trzeba".

I wskoczył do wody, która choć spokojna, od razu zabrała go z nurtem. Żeby utrzymać się w jednym miejscu, musiał cały czas płynąć pod prąd. Gdy tylko zwolnił, od razu zniknął wszystkim z oczu. Przyszedł co prawda po niecałej minucie, ale nikt jakoś tego nie zauważył.

Nie od dziś wiadomo, że można być kobietą Podróżującą po Świecie, a i tak raz w miesiącu jest się po prostu kobietą. Już nie twardą i wytrwałą, ale zwyczajną, obolałą, małą kobietą. Mało co można wtedy zrobić, a w wielostopniowym upale i po kilkudziesięciu kilometrach można jeszcze mniej. Trzeba oddać się pod opiekę. Najlepiej innym kobietom, jak to zrobiła Ania. Pod przydrożnym sklepikiem położyła się na tapczanie,

zwinęła się w kulkę i zasnęła. Właścicielka, wielka kobieta, zapytała, co się stało, a jak tylko złapałem się za brzuch i powiedziałem: "żenszcinskije prabliemy" [1], ona już wiedziała, co robić. Przyniosła Ani poduszkę pod głowę, a sama usiadła obok i najzwyczajniej ugłaskała ją do snu.

Pod bucharskim Arkiem [2] rządzą cinkciarze, czy to się komuś podoba, czy nie. Dla turysty sytuacja jest jasna: jak trzeba wymienić dolary, to idzie się pod Registan [3], tam dwunożny kantor wymiany walut najpierw pyta, ile tych dolarów będzie, mówi swoją cenę, a następnie daje nam odliczone pieniądze, byśmy przeliczyli, czy aby na pewno wszystko się zgadza. Dopiero potem bierze od nas pieniądze.



Czysto, szybko i uczciwie.

Na sam Registan, wciśnięty pomiędzy medresę Mir-i Arab, meczet Kalyan oraz symbol Buchary — gigantyczny minaret Kalyan, cinkciarze nie wchodzą. Niech sobie turysta spokojnie poogląda. W końcu po to tu przyjechał.

Każda praca jest potrzebna, a praca cinkciarza w kraju, w którym nie ma bankomatów — bardziej niż gdzie indziej. Bankomaty tak naprawdę są, ale turyście, na jego kartę kredytową, i tak wydają dolary. Kiedyś podróżując po

świecie, martwiliśmy się, gdzie i jak przewieźć pieniądze. Niektórzy zaszywali banknoty w różnych miejscach, inni wozili czeki podróżne i spędzali nawet godziny (na przykład w Pakistanie), by je zamienić na gotówkę. Każdy po cichu bał się kradzieży, bo bez pieniędzy nie mógłby wrócić do domu. Dziś wszystko się zmieniło. Nawet strach. Dziś już nie martwimy się kradzieżą, ale tym, że zapomnimy PIN do karty kredytowej, albo faktem, że najbliższy bankomat jest 150 kilometrów dalej, w dodatku nie wiadomo, czy działa i czy przyjmie naszą kartę.

Każdy czas ma swoje lęki.

Nad wszystkim góruje olbrzymia kolumna minaretu. Jest wysoki na 46 metrów, a jego podstawa ma dziewięć metrów średnicy. Wieża zbudowana jest z cegieł i ceglami zdobionymi. Na jego powierzchni nie ma ceramiki jak na sąsiednich medresach. O nie! Ta powierzchnia zdobiona jest ceglana układanką, która ani razu w jego 800-letniej historii nie wymagała remontu. Wszystko stoi tak, jak stało w pierwszych dniach. Minaret oparł się nawet, jako jedyna w tym mieście budowla, najazdowi Mongołów.

A może Mongołowie, zauroczeni jego potęgą, nawet nie próbowali go zniszczyć? Oszczędzili go, bo nie mogli sobie wyobrazić, że można zniszczyć coś tak potężnego?





Trzeba być jednak realistą i przyjąć wersję, że zwyczajnie nie dali rady. Przecież oni niszczyli wszystko. Właśnie tak: WSZYSTKO.

Na bucharskim Registanie nie ma już wygodnych ławek, na których można by siedzieć i rozmawiać z Persami, Turkami, Rosjanami, Chińczykami, a nawet Hindusami i "ludźmi z Kabulu". Można by poznać kilku Turkmenów, Kałmuków i Kozaków. Zarówno ludzi z manierami godnymi królów, jak i grubiańskich ponoć Tatarów. Uzbeków bucharskich odróżnilibyśmy łatwo od Uzbeków z innych krain, a to dzięki wełnianym, wysokim nawet na 30 centymetrów czapkom.

Kiedyś, przed panowaniem Rosji, a później ZSRR, Rosjan łatwo było poznać po ich rudych brodach, szarych oczach i bladej skórze, ale przede wszystkim po ich biedzie. Żyli w Bucharze w zasadzie jak niewolnicy uciekający przed przeszłością pozostawioną w Rosji.

Od setek lat mieszkali tu ludzie z całej Azji. Wędrowali Jedwabnym Szlakiem, podbijali nawzajem swoje ziemie. Gdy w X wieku niejaki Abu Dolaf Al-Yanbui wydał w Bucharze książkę o swych podróżach, nikogo to nie dziwiło. Zajechał aż do Indii — mówili. Widział wspaniałe miejsca — czytali. Na skrzyżowaniu Jedwabnego Szlaku nie było to nic niezwykłego. Było to jakby... oczywiste. Lata później, gdy okazało się, że wszystkie te historyjki, opisy miejsc niestety nie trzymają się kupy, przestano mu oczywiście wierzyć. Jednak nikt przez chwilę nie sądził, że Abu Dolaf cokolwiek zmyślił. Wszystkie te historie były prawdziwe, tyle tylko że nie jego. Bucharą była

centrum Azji Środkowej i wystarczyło usiąść w tawernie, posłuchać opowieści karawaniarzy — i cały świat stawał nam przed oczami. Abu Dolaf tylko to wszystko spisał. Wszystko było gotowe, podane na tacy.

Pewnego razu Bucharę odwiedził nawet egipski faraon, ale to już zupełnie inna historia [\[4\]](#).

Wśród medres i meczetów ukrywał się kiedyś bazar. Od świtu do zmierzchu rozbrzmiewał mrużeniem tłumu. Stragany uginały się od winogron, moreli, jabłek, brzoskwiń, śliwek i arbuzów. Wśród straganów stały małe piecyki, na których parzyła się powoli herbata. Pito ją na wiele sposobów.

Z cukrem i bez.

Z mlekiem i bez.

Z masłem, z solą, jak kto lubił.

Na bazarze można było kupić tytoń i fajki, ale nie wolno było palić na ulicach. Gdy ktoś przyłapał nałogowego nieszczęśnika na paleniu, zaciągano go przed oblicze sędziego i zwyczajowo biczowano lub obwożono po mieście, z osmoloną twarzą, na osłe. Jeżeli ktoś nieroztropny puszczał w piątek, czyli muzulmański dzień święty, gołębie, objeżdżał miasto na wielbłądzie, z martwym ptakiem zawieszonym na szyi.

Pomiędzy straganami z herbatą z Chin, przyprawami z Filipin i cukrem z Indii można było spotkać zarówno możnych tego miasta, jak i żebraków ustawionych razem w kolejce do kopczyków śniegu, którym schładzali wodę czy sok z winogron. Śnieg był tak tani, że nawet żebraka było stać na jego zakup.

Dziś stary bazar zastąpiły stragany z pamiątkowymi nożami, pamiątkowymi figurkami, pamiątkowymi czapkami, kawałkami kilimów, plecionymi siatkami na plastikowe butelki i wszystkim, co turyści zabiorą ze sobą do domu.

Wieczorami, gdy ukryte w arkadach medres i meczetów stragany znikają, gdy ta pamiątkowa pozostałość po niegdyś wspaniałym bazarze chowa się, całe życie starego miasta przenosi się na plac Lyabi-Hauz. Dookoła niewielkiej sadzawki [\[5\]](#) poustawiane są restauracyjne ogródki, a na scenie, przy pomniku muły Nasreddina, zawsze coś się dzieje.

Na przykład odbywają się tańce albo jest jakiś koncert. Uzbecy turyści próbują zaprzyjaźnić się z tymi z Zachodu. Częstują się serem, somsami [\[6\]](#), ale przede wszystkim piwem, które wolno pić przy stolikach, ale na chodniku już nie. Dba o to policja.

Gdyby wierzyć legendzie, ogrodnik chana Buchary, Nodir Divan Begi, zapragnął pewnego kawałka ziemi, by wybudować na nim dom. Na jego

nieszczęście mieszkała już tam jedna samotna kobieta i za nic nie chciała ani się wyprowadzić, ani sprzedać ziemi. Wtedy ogrodnik postanowił wybudować pod domem biednej kobiety kanał i woda powoli zaczęła wymywać najpierw grunty, potem ściany. Nieszczęsna, nie mając się komu poskarżyć, sprzedała swój dom. Poddani chana potajemnie nazywali powstałą sadzawkę Khan Khauz, czyli "sadzawką przemocy". Jej brzegi zbudowane są z olbrzymich bloków żółtego wapienia, a oprócz restauracyjnych stolików sąsiaduje z nią betonowa karawana wielbłądów.

Dziś dookoła sadzawki tętni nocne życie. Dobre jedzenie, miłosne spacer, muzyka i śpiew. Totalna bez troska i wieczorne zapomnienie. Tak się złożyło, że z całej grupy napotkanych przez nas w Bucharze rowerzystów tylko ja dukalem coś po rosyjsku i to na mnie skupiła się cała ciekawość Uzbeków. Tylko ze mną można było porozmawiać i kiedy inni bawili się przy kolejnych piwach i we własnym towarzystwie, ja starałem się jak mogłem porozmawiać w improwizowanym rosyjskim.

Męczące to było. Bardzo. Nie tylko upał i zwykłe wieczorne znużenie, ale ta intensywność kontaktu i liczba rozmówców plus moja oczywista frustracja. Brakowało mi słów, a oni wierzyli, że rosyjski to ja mam w małym palcu i że rozmawiamy nie tylko o banałach, ale i filozofii życia, wszechświecie i całej reszcie. I nawet jakoś nam się to udawało. Pomagało piwo, bo przy nim zawsze rozwiązuje się język. W pewnym momencie podeszła do mnie starsza kobieta. "Bo ja jestem Żydówką, wiesz? — zagadnęła. — Ciężko nam się tutaj żyje. Zawsze tak się żyło, a teraz prawie wszyscy wyjechali. Do Ameryki i Izraela. Sami tu teraz jesteśmy. Tylko kilka rodzin zostało, a jak do Uzbekistanu przyjechał Clinton, to z nim była taka dziewczyna. Rachela. I ona tu do nas przyjechała i robiła nam zdjęcia. No i z nami też. Z całą rodziną. I do Ameryki zabrała. Rachela. Jak Clinton był. Dawno temu, ale pocztówkę przysłała".

Po raz pierwszy Żydzi zaczęli pojawiać się w Bucharze już w VII wieku p.n.e. Przybyli prosto z Babilonu i gdy trzysta lat później Aleksander Wielki przejeżdżał przez miasto, było ich tu tak wielu, że zauważyli to nawet historycy Aleksandra. Oczywiście Żydzi włączyli się w handel kwitnący wzdłuż Jedwabnego Szlaku, a było czym handlować.

Ze wschodu przywożono wonności, papier, atrament, siodła, filc, cynamon i oczywiście jedwab. Z zachodu srebro, złoto, lekarstwa, niewolnice, hydraulików i kamieniarzy umiejących obrabiać marmur. Z północy, rzeką Wołgą i Morzem Kaspijskim, bursztyny, skóry, futra, miecze i znów... niewolników.

Gdy Uzbeki, po czasach rządów arabskich, przejęli miasto, Żydów zaczęto prześladować. Musieli nosić żółto-czarne ubrania, by wyróżniać się z tłumu. Gdy płacili roczny podatek, na "do widzenia" otrzymywali

policzek od urzędnika. Oczywiście publicznie. Nie wolno im było przy muzułmanach jeździć nawet na ośle, więc po całym mieście dreptali pieszo. Bywało jednak i tak, że w meczecie Magak-i Attari, wybudowanym przy placu Lyabi-Hauz, modlili się i Żydzi. Historycy nie są jedynie zgodni, czy robili to po modlitwach muzułmanów, czy może razem z nimi. Gdy lata później do Buchary wkroczyła Armia Czerwona, Żydzi, wierząc, że komunizm przyniesie im równość, chętnie go poparli. Niestety, nowa władza szybko zapomniała o ich pomocy.

Na tę nocną zabawę, na tańce i śpiewy, na turystów, na dzieci spoglądała betonowa karawana wielbłądów i pomnik muły Nasreddina, którego miejscowi nazywają zwyczajnie: Hodża. Muła jest postacią legendarną, choć bucharczycy daliby sobie pewnie rękę uciąć, żeby był prawdziwą. Zasłynął w świecie islamu ze swych zabawnych historii i prostoty ducha.

Proste historie o prostych problemach.

Życiowe.

Nasreddin rozrzucił garściami okruszki wokół swego domu.

— Co robisz? — ktoś go zapytał.

— Trzymam z dala tygrysy.

— Ale przecież tutaj nie ma tygrysów!

— No właśnie, skuteczne, prawda?

O mułę walczy Iran, Afganistan, Turcja i oczywiście Uzbekistan. Jest nie tylko symbolem, ale i dojną turystyczną krową. Figurki, książki, obrazki, splendor miasta.

Problemem Buchary zawsze była woda. A ściślej: jej ciągły brak. Gdy Rosjanie zajęli Samarkandę, mogli łatwo męczyć niepokorną Bucharę, zakręcając jej wodę. Wystarczyło zablokować kanały łączące miasto z rzeką Zerawszan, by w Bucharze cierpieli ludzie. W najgorszych przypadkach (a zdarzały się one regularnie) świeża woda pojawiała się w mieście co cztery tygodnie. Zbierano ją właśnie w sadzawkach, w których rozwijały się choroby. Na przykład obrzydliwa ryszta [\[7\]](#), która bezlitośnie zbierała swe żniwo. Tej samej wody używano do picia, gotowania i mycia się przed modlitwami. Średnia długość życia w tym czasie nie przekraczała 40 lat.



W środku dnia placyki i uliczki należą do upału lub do dzieci. Już nie grają w Alak-Dolak, czyli coś, co w Polsce nazywano klipą [\[8\]](#), lecz w piłkę nożną. Jak na całym świecie, ustawiają dwie torby lub dwa kamienie, by oznaczyć bramkę, i grają tanimi, gumowymi piłkami made in China. Żeby jeszcze bardziej nabrało to wszystko uzbeckiego charakteru, te piłki mają kolory... arbuza.

Na nowym bazarze, oddalonym o pół godziny spaceru od starego miasta, niemal wszystko jest made in China. Tylko owoce, warzywa i lepioszki są jeszcze lokalne. Wszystko inne ma na sobie trzy najpopularniejsze słowa na świecie.

Samarkanda

Gorętszy znacznie wiatr czyni ducha hardym;
Dla żądy wiedzy, o czym się wiedzieć nie powinno,
Na szlak złoty weszliśmy aż do Samarkandy [\[9\]](#).

Ledwo wjechaliśmy do centrum starej Samarkandy, miniliśmy meczet Tamerlana [\[10\]](#) i Registan, gdy kilku mężczyzn zatrzymało nas tylko po to, by powiedzieć nam, że... jedziemy w złym kierunku. Tylko skąd oni wiedzieli, dokąd my jedziemy, skoro my sami tego nie wiedzieliśmy?

Szukaliśmy powoli hoteliku, ale żadnego konkretnego. Wiedzieliśmy, że w rejonie Registanu przycupnęło kilka i dopiero się rozglądaliśmy, ale oni dalej twierdzili, że jedziemy w złym kierunku, bo "do Bahodiru to musicie zawrócić i przy sklepie skręcić w prawo".

Bahodir?

"No tak, Bahodir. Przecież wszyscy rowerzyści zatrzymują się w Bahodirze".

Nie dyskutując, grzecznie zawróciliśmy i przy sklepie skrociliśmy w prawo, jak nam kazali. Zajechaliśmy do wspomnianego hoteliku Bahodir i od razu poczuliśmy się jak w domu. Już w korytarzu minęliśmy dwa motocykle, ale dopiero gdy weszliśmy na podwórko, prosto pod winogronową pergolę, zauważyliśmy, ile tu jest rowerów, ilu uśmiechniętych turystów, zobaczyliśmy ścianę pełną pocztówek i wszelkich ego-naklejek [\[11\]](#).

Właściciel, który przedstawił nam się jako... Bahodir, powitał nas serdecznie i najpierw kazał nam odpocząć na tapczanie, napić się herbaty i zjeść kawałek arbuza. Najpierw gościna, potem biznes.

Coś dziwnie przyjemnego wisiało w powietrzu. Jakieś lenistwo i zapach spokoju. Wszędzie dookoła siedzieli turyści różnej maści. Rowerzyści i z plecakiem. Ciekawi naszych rowerów i mitomani. Cisi i głośni. Tygiel potrzeb i wartości. Oczywiście większość z nich spotkaliśmy już w Bucharze. Tak to bywa, gdy przez kraj wiedzie tak naprawdę jedna droga. Trudno na siebie nie wpaść.

Holandia, Francja, Japonia, Niemcy i Izrael. Pary, małżeństwa i samotni jeźdźcy. Bez przerostu ego i z nadmuchanym "ja". Pełni historyjek i pytań.

"To wy też tylko 80 kilometrów dziennie? Ufff! I też takie ciężkie te rowery? A już myślałem, że to tylko my tacy głupi jesteśmy".

Ktoś potrzebuje klucza do kaset, ktoś szprychy, ktoś wie, jak wyregulować hydrauliczne hamulce, a ktoś inny pokazuje, jak podcentrować koło. Wspólne obiady, kolacje, spacery i... plany.

"Kto chce jechać z nami do Taszkientu? A kto wybiera Szosę Pamirską? Może wy? Byłoby świetnie! Ktoś do Kazachstanu? Nie chce mi się jechać samemu. Poczekam, aż załatwicie wizy. Nie ma sprawy!".

W Azji Środkowej dróg nie ma wiele i łatwo na siebie wpaść. Zwłaszcza gdy listę hotelików przyjaznych rowerowej braci podaje się dalej. Tu tanio, tu duże i dobre śniadanie, tam znowu darmowa pralka. W lipcu i sierpniu mało kto przyjeżdża do Uzbekistanu. Są jakieś grupy, jacyś rowerzyści czy kilku plecakowiczów, ale dla miejscowych "eta nie sezon. Sezon naczinajetsa w septiembrie" [\[12\]](#).

Bo jest za gorąco. Bo jest za sucho. Bo jest za wietrznie.

I my w samym środku tego niesezonu. Gdy wiatr wieje prosto w oczy, gdy o dwudziestej pierwszej bywa 36 °C.

Hotelik składał się z podwórka obrośniętego winogronem, tapczanów, stołu, jadalni, która ukryła się w cieniu, i pokoi, które bardziej przypominały pokoje starej ciotki niż hotelowe. Wszędzie stały stare meble, na podłogach leżały stare dywany. Rodzinne obrazy na ścianach i cała reszta bibelotów poustawiana na stolikach tylko wzmacniały wrażenie wizyty u rodziny, a nie pobytu w hotelu.

Sami właściciele też nie wyglądali na zmęczonych turystami. Raczej jakby się dobrze bawili powtarzalnością naszych zachowań. Najpierw herbata, ciastka i arbuz, oczywiście pite i jedzone wśród naszych podziękowań. Potem paszport i opłata. Potem oczywiście wielkie pranie i rozwieszanie tego wszystkiego wśród winogron. Każdy z nas, mniej lub bardziej podobnie, wpadał w te same podrózne schematy.

Gdy okazało się, że na obiad oczywiście będzie płow [\[13\]](#), nikt nie protestował wobec propozycji, byśmy sami sobie coś ugotowali. Tak jak pisałem: raczej byliśmy u znajomych w gościnie, a nie w hotelu.

Żeby to jeszcze przypieczętować, żona Bahodira usiadła obok mnie wieczorem i przyniosła ze sobą rodzinny album. "Tu zdjęcia ojca. Zabrali go na wojnę i nigdy nie wrócił. Nawet go nie znałam. Malutka byłam".

Samarkanda zawsze była dla mnie czymś magicznym. Błękitne kopuły meczetów, pochrząkiwania wielbłądów, nawoływania dobiegające z głębi bazarów. Wystarczyło, że przymknąłem oczy, wyszeptąłem: "Samarkaandaaa", a wszystko to stawało nagle przede mną.

Po Damaszku miało to być kolejne Ważne Miejsce na mapie naszej podróży. Wspomnienia o potędze Timura, zabytki i magia miejsca, które na stałe wpisało się złotymi literami w historię Jedwabnego Szlaku.

Samarkanda była jednym z tych miejsc, których nazwa budzi w sercu drżenie. Wyobraźnia podsyła dźwięki i zapachy. Stają nam przed oczami obrazy karawan, bazarów, wojowników i historii. Starej, bardzo starej historii. Mordujących wszystkich na swej drodze Mongołów, jeszcze przed nimi zdobywcy Aleksandra, a potem choćby Timura, nie bez powodu nazywanego Krwawym.

Miasto przetrwało wizytę wojsk Czyngis-chana lepiej niż inne miasta. Z pół miliona mieszkańców przetrwało co najmniej 50 tysięcy. Lepiej niż w Heracie, w którym ze stu tysięcy mieszkańców uratowało się szesnastu. Lepiej niż w Mary, gdzie wybito niemal wszystkich. Nawet psy i koty, a ci, którzy przetrwali, umarli na zarazę, żyjąc wśród zwłok.

Według chińskich spisów ludności, populacja północnych Chin zmniejszyła się o 42 miliony ludzi w ciągu 40 lat mongolskiej okupacji.



Niektórzy piszą, że Timur był kontrowersyjnym władcą. Myślę, że po prostu brak im odwagi, by napisać, że był chorym, sadystycznym draniem. Jak zresztą większość władców tamtych czasów w Azji Środkowej.

Nie wiem, czy to po mongolskich masakrach życie człowieka i zwierząt przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie, czy właśnie te masakry wyrosły z takiego przekonania. Faktem jest, że Timur potrafił wyróżnić co do jednego mieszkańców wielu miast, a z czaszek zabitych budować kopce. Ponoć ku przestrodze, ale tylko ślepy i głuchy nie bał się Timura, więc jakoś ten argument do mnie nie trafia. Łatwiej mi uwierzyć, że był pijany władzą i miał chore zachcianki.

Gdy zdobył Isfahan i wybił jego mieszkańców, kazał wybudować wieże składające się z tysiąca pięciuset głów. Pewnie zależało mu, by były tej samej wielkości.

W bitwie o Delhi, stolicę Indii, obładował wielbłądy drewnem i podpalił je, kierując przerażone i ryczące z bólu zwierzęta w stronę indyjskich słoni bojowych. Po wygranej w ten sposób bitwie kazał zabić 100 tysięcy jeńców.

Masakrując zdobyty Damaszek, kazał oszczędzić artystów i wysłać ich do Samarkandy. W ten sposób, w 35 lat, zbudował piękno Samarkandy, wymordował setki tysięcy ludzi i podbił tereny od Gruzji, przez Iran, Azję Środkową, pół Iraku, Kurdystan i dzisiejszy Pakistan po Chiny.

Grób Timura przykryty jest płytą z nefrytu. Przez wiele lat powodowała ona zdumienie nie tylko z powodu inskrypcji, którą nosiła ("Gdy powstanę, świat się zatrzęsie"), ale przede wszystkim ze względu na swój rozmiar. Większość nefrytów miała wielkość najwyżej pięści, płyta taka jak na grobie Timura była niespotykana. Zupełnie przypadkiem odkrywcą kopalni nefrytu tej wielkości został polski oficer w służbie carskiej, Bronisław Grąbczewski [\[14\]](#). Podróżując po Kaszgarii,

dzisiejszym Sinciang, w okolicach rzeki Pil spotkał myśliwego, który zabrał go do częściowo zawałonej już kopalni.

Chińczycy nie tylko cenili nefryt ze względu na piękno kamienia, ale też przypisywali mu lecznicze właściwości. Między innymi wierzyli, że neutralizuje wszelkie trucizny, i chętnie robili z niego filizanki i kielichy.

Według legendy na płycie znajduje się również druga inskrypcja, która przestrzega tego, kto otworzy grób. "Ktokolwiek otworzy mój grób, obudzi najeźdźcę strasznego ode mnie". Czy jest to prawda, czy też nie — nie wiadomo. Faktem pozostaje, że gdy grób otworzono w 1941 roku, dwa dni później Trzecia Rzesza rozpoczęła operację "Barbarossa" i napadła na ZSRR. Wiadomo, że planowali to trochę dłużej niż dwa dni, ale jakkolwiek patrzeć — klątwa się ziściła.

Do Samarkandy przyjeżdża się w jednym celu: zobaczyć Registan. Kwadratowy plac otoczony z trzech stron medresami.

Perła Islamu. Rzym Wschodu. Riu Zamin — Oblicze Ziemi, jak nazywali kiedyś to miejsce poeci i geografowie starożytnej Persji, Indii, Chin czy... Egiptu i Bizancjum.

Wszystkie te epitety i wyszukane nazwy powstały po to, by oddać piękno i wielkość miejsca. Placu, na którym odbywały się parady, festiwale, niedzielny bazar. Placu, na którym przyjmowano posłów i ścinano głowy skazanym.

Medresy przy Registanie w Samarkandzie to: medresa Uług Bega, medresa Sher-Dor i medresa Tillya Kari. Medresa to nic innego jak muzułmańska szkoła koraniczna. W dodatku tylko dla chłopców z bogatych rodzin. Oczywiście tak było kiedyś, kiedy edukacja była zarezerwowana dla elit.

W elitarnej samarkandzkiej medresie nauka trwała od dziesięciu do nawet dwudziestu lat. Wykładano tu nie tylko islam, ale też ówczesne nauki humanistyczne. A wykładał nie byle kto, bo w medresie Uług Bega nauczał sam... Uług Beg, który był wnukiem Timura, wielkim sułtanem, a przy okazji matematykiem i astronomem. Nawet Jan Heweliusz używał jego wyliczeń w swym *Atlasie ciał niebieskich*. Uługowi bardzo zależało na szybkim wybudowaniu medresy i wszystko zajęło dokładnie cztery lata, co zresztą widać do dziś. Ściany są w niektórych miejscach krzywe, zdobienia też nie są zbyt idealnie symetryczne.

Dwieście lat później, już w XVII wieku, powstały kolejne dwie medresy. Najpierw Sher-Dor, którą łatwo odróżnić po perskich lwach zdobiących frontową ścianę, i Tillya Kari, czyli "pokryta złotem". Ciekawe, że ta ostatnia była wybudowana według wszelkich zasad jako medresa, a służyła głównie jako... meczet.

W islamie zawsze ważny jest szacunek i posłuszeństwo. Samo słowo "islam" znaczy właśnie "posłuszeństwo" i aby młodzi — jak wiadomo, nierzadko

buntujący się — uczniowie nigdy o tym nie zapominali, w medresach budowano niskie wejścia. Każdy, kto wchodził, czy chciał, czy też nie, musiał się pochylić i tym samym przywitać wszystkich. Oczywiście mógłby ugiąć kolana, gdyby był bardzo uparty, i wejść bez kiwnięcia głową, ale wyglądałby wtedy... raczej głupio.

Dziś to miasto okazało się dla nas lekkim rozczarowaniem. Wzdłuż ulicy Newskiej, która ciągnie się od podnóży bazaru aż do Registanu, zagnieździły się sklepiki z pamiątkami. Istne salony, z których zza wielkich szyb nęcą nas dywany, tradycyjne ubrania i ceramika. Oczywiście, że taka jest kolej rzeczy i wcześniej czy później wszystko zamienia się w komercyjną atrakcję turystyczną, ale sklepiki poukrywane w krużgankach meczetów i medres po prostu złoścą. Przecież nie po to wchodzi się do takiego miejsca, by kupić sobie czekoladki pewnej korporacji.

Miastu zabrakło ducha, który zastąpiono materią. Ładnie ją uporządkowano, ładnie przystrzyżono trawniki i ładnie wszystko odmalowano. Właśnie: ładnie. Bez lokalnego charakteru, bez zachowania tego czegoś, co dodawałoby tej nowoczesności smaczku. Ot, zwykłe meleksy, zwykły betonowy bazar i betonowa, ładna kostka na deptaku.

Na Registanie policjanci pilnujący porządku i biletów namawiają turystów na wejście na jeden z minaretów. "Można zrobić świetne zdjęcia — mówią. — Za jedyne 5000 sum. Bez biletu oczywiście. Po co bilet? Bilet jest droższy".

Jeżeli im odmówisz, podziękujesz i spróbujesz jakoś ich zbyć, będą za Tobą krzyżeć, nijak nie przejmując się, że ktoś może usłyszeć.

"Tylko 5000! Bez biletu!" — odbija się od ścian starych medres.

Od kilku lat dręczy mnie pewna myśl. Idea. Niczym nieudowodniona hipoteza. Od kilku lat wierzę, że jakość miejsca, wydarzenia, przedmiotu itp. jest skończona. Stanowi pewną niepoliczalną, ale skończoną całość, a każda masowość tylko ją rozdrabnia na coraz mniejsze części i świat wypełnia coraz więcej okruchów tej jakości.

Coraz więcej pyłu.

Samarkanda to: masowy turysta, masowe sklepy, masowe pamiątki, masowy pył, który szczypie w oczy, przytyka uszy i pozostawia w ustach niesmak. Samarkanda — udeptywana masowymi stopami.

Hałas, tłok, strażnicy namawiający na wejście na minaret za niewielką łapówkę. Takie czasy. Szybkie. Jest nas wielu, to i stóp wiele. I głosów, i aparatów, i okazji do zarobienia kilku groszy.

Takie czasy.

Nieodwracalne.

Голодная



Kiedyś w rejonach pomiędzy Samarkandą a Taszkientem, wciśnięty pomiędzy dwa łańcuchy górskie, w dolinie nazywanej Bramą Timura, rozpościerał się nie byle jaki step. Wszyscy się go bali, bo woda wciekała tam w piach i nic po niej nie zostawało. Nic na nim nie rosło, tylko trawa. W dodatku nikomu do niczego niepotrzebna. Może dla kóz, ale już nie dla bydła. Rosjanie mówili na niego Голодная: Golodnaja — Głodny Step — i ludzie z radością powitali powstanie kolei. Można było teraz wsiąść w pociąg i i przeczekać ten przygnębiający odcinek drogi. Zapłacić za bilet i o nic się nie martwić. Wsiąść w Samarkandzie i wysiąść w Taszkencie. Bez trudu i strachu.

Zbudowano kołchozy. Nauczono ludzi, jak korzystać z melioracji, pestycydów i obsadzono wszystko bawełą. Postawiono w kołchozach nawet jej pomniki. Na wysokich słupach, kilkanaście metrów nad ziemią niczym latarnie albo sztandary zwycięstwa nad Golodną, stanęły pęki białego złota.

Ludzie jednak wciąż wiedzą, że łatwo nie było i nie jest. Wystarczy zatrzymać się przy sklepiku w kołchozie Gagarin, by ojciec właścicielki zaprosił nas do cienia pod winogrona. Kupiliśmy butelkę ajranu, czyli słonego, bardzo rozwodnionego jogurtu, a dwie kolejne dostaliśmy na drogę. "Bo wam potrzeba" — jak skwitował to nasz gospodarz. Poszliśmy do dzieci, które akurat moczyły się w niewielkim kanale. Gdy byliśmy zajęci rozmową z kąpiącymi się dziećmi, podeszła do nas młoda dziewczyna i bez słowa wręczyła nam plastikową torbę pełną pomidorów. Bez słowa przyszła, bez słowa wręczyła, a na pożegnanie rzuciła tylko: "Spasiba [\[15\]](#)". Ona nam, a nie my jej? Zwyczajnie nas zatkało i chyba nic nie powiedzieliśmy, a na pewno nic mądrego.

Dziś ten step pokrywa sieć kanałów. Takich większych, szerokich na kilka metrów, w których płynie stanowczo woda, oraz małych, betonowych rynien, w których można się spokojnie wykąpać i oczywiście podlać z nich pola bawełny i przydomowe ogrody.

Bawełna wygląda bardzo niepozornie. Zielony krzaczek, wysoki może na

metr, gdy już jest gotowy do zbiorów, obrasta białymi kłębkami. Na każdym niemal kroku widać tę bawełnę. Nie tylko na sięgających po horyzont polach, ale także jako wzory na bucharskiej porcelanie, jako obrazy na betonowych przystankach autobusowych, jako pomniki stojące niczym słupy w szczerym stepie zalanym wodą. Woda płynie kanałami z odległych rzek, które nie mają jej na tyle, by wystarczyło dla Morza Aralskiego. Jak mogłoby wystarczyć, skoro potrzeba 2 i pół litra na jeden kłębek bawełny, czyli 2000 litrów wody na jeden bawełniany T-shirt?

Upał, wilgotność, pestycydy i nawozy. Powietrze tak ciężkie, że przykleja się do płuc. Gęste, pełne oparów wody i chemii, która spływa powoli, dniami i tygodniami, w stronę Morza Aralskiego, trując rybackie plemiona. Daleko od bawełnianych pól, nad brzegami wysychającego Morza Aralskiego wciąż żyją Karakałpacy. Dopóki w morzu żyły ryby, wielu z nich zajmowało się właśnie rybołówstwem. Teraz musieli się wyprowadzić w inne rejony lub znaleźć pracę w fabryce. Nazywają ich rybakami — nomadami, gdyż migrują na inne łowiska i wracają do swoich opuszczonych domów wiele miesięcy później.

Badania przeprowadzone na konferencję w Kyoto w 2003 roku wykazały, że w ich ciałach odłożyły się takie pestycydy jak DDT. Mają problemy ze skórą, z płodnością, wiele zmian neurologicznych i oczywiście wiele zachorowań na raka.

Uzbekistan jest trzecim światowym eksporterem bawełny. W 2010 roku wyprodukowano jej tam prawie 3,5 miliona ton.

W czasach radzieckich mieli kombajny i większość bawełny zbierali właśnie nimi. Dziś już tylko 10% zbierane jest kombajnami, a reszta ręcznie. Każdego roku we wrześniu, gdy bawełna gotowa jest już do zbioru, w Uzbekistanie zamykają szkoły. To nie są dodatkowe wakacje czy jakaś sytuacja kryzysowa. Najzwyczajniej, tak jak kiedyś w Polsce ziemniaki, tak tutaj dzieci jadą zbierać bawełnę. Nie tylko nastolatki, ale i młodszy. Czasem i takie z pierwszych klas podstawówki. Te, które mieszkają niedaleko pól, wracają na noc do domów; te, które przywieziono tu autobusami z daleka, śpią w namiotach, starych budynkach lub szkołach. Nikt nie wie, w jakich warunkach, bo nie dopuszcza się do tych pól żadnych dziennikarzy, a autobusy mają zamalowane szyby. Jak w czasach łagrów lub jakiejś strasznej dyktatury.

Dzięki tym dzieciom, które zarabiają po dolarze amerykańskim dziennie, Uzbekistan zarabia rocznie jeden... miliard tychże dolarów.

A Uzbekistan to prezydent Karimow, a nie ludzie.

Rządzi wszechwładnie od 1991 roku jako "demokratycznie wybrany prezydent", a faktycznie jest dyktatorem. Mimo to nie spotkaliśmy w Uzbekistanie człowieka, który powiedziałby o nim złe słowo. "Daje pracę" — mówią. "Dzięki niemu nie ma wojny" — mówią. "Zabija islamistów w dolinie

Fergany" — chwałą i... jeżdżą samochodami daewoo, bo gdyby jeździli innymi, to odwiedziłyby ich policja i kazałyby się tłumaczyć, skąd na ten inny mieli pieniądze.

Na Stalina też nikt złego słowa nie powiedział. Chyba że po cichu, do samego siebie.

Karimow nie lubi, gdy turyści wałęsają się niekontrolowani po jego kraju. Da im wizę, wpuści do kraju, ale nie pilnuje, jak Turkmeni, tylko każe im się rejestrować co noc w hotelu. W wielu miejscach hoteli nie ma, to i turysta tam nie polezie, u ludzi się nie prześpi. Nawet żeby kupić bilet na pociąg, trzeba pokazać i paszport, i rejestrację z hotelu. Teoretycznie gdy taki turysta nie ma rejestracji przez trzy dni, to następny hotel nie tylko nie ma prawa go przyjąć, ale nawet powinien wezwać policję. Ta już sprawdzi, przepytą, hotelarza pochwali i turyście wypisze mandat do wysokości tysiąca euro.

Turysta sam się musi pilnować, kontrolować wszystkie dokumenty, bo jak nie, to... mandat. Na granicy trzeba te rejestracje okazać i biada temu, kto ich nie ma lub ma ich za mało. My wyjeżdżaliśmy uśmiechnięci, głośnym "Dzień dobry, co u was?" powitaliśmy wszystkich na granicy i nikt nas nawet o te małe świstki nie pytał, ale byli i tacy, którzy zapłacili kilkaset euro kary.

Europejczyka, człowieka wyrosłego w systemie konsumpcji i konkurencji, zawsze onieśmiela zwykła życzliwość. Wydawać by się mogło, że boimy się czegoś, co dla większości świata jest normalne, odruchowe. Ludzkie. Dwa lata wcześniej, w Serbii, niedaleko Suboticy, zatrzymaliśmy się w niewielkim miasteczku na obiad i suszenie namiotu. W nocy zastał nas szron nad samym Dunajem i czekaliśmy z utęsknieniem na południowy październikowy żar. Zamówiliśmy pide [\[16\]](#) i rozłożyliśmy na chodniku śpiwory i namiot. Niebo było przepięknie błękitne, słońce jeszcze wciąż mocne. Jakiś chłopak w dresie i z łańcuchem wokół szyi bardzo chciał nas zaprosić na piwo. Grzecznie mu odmówiliśmy, tłumacząc się, że nie trzeba, że za gorąco, że my zaraz ruszamy w dalszą drogę. Wrócił do baru i wyglądał co chwila na nas z nadzieją, że się skusimy. Nagle wyszedł dziarsko z budynku i bez pytania wręczył nam po butelce soku. "Nie możecie piwa? I tak napijecie się ze mną!".

Po chwili z zaparkowanego obok samochodu wysiadł mężczyzna koło czterdziestki. Przedstawił się jako Dragan i zaraz wytłumaczył, że to nie jest jego prawdziwe imię, ale jest Węgrem, a tu "Węgrów nie lubią", i przedstawia się właśnie tak. Zapytał, czy czegoś nam trzeba, i oczywiście zignorował naszą odpowiedź, że wyjątkowo niczego. Poglądał rowery i postanowił dać nam dwie nakrętki, które wyczarował z kieszeni. Niestety, jakoś do niczego by się nam nie przydały, więc zamiast je wziąć i zrobić człowiekowi przyjemność, dalej tłumaczyliśmy, że wszystko mamy. Poszedł

do samochodu i z wentyla odkręcił metalowy kapturek, wrócił do nas zadowolony i wcisnął mi go, pokazując na nasze, po czym z dumą oświadczył, że nasze "są plastikowe, więc gówniane".

Kilka tysięcy kilometrów od Suboticy wydarzyło się coś podobnego. Ktoś, kto konstruował rower Ani, postanowił, że tu i tam wstawi aluminiową śrubkę. Nagle, na środku stepu, okazało się, że pomysł z aluminium nie był dobry i śrubka pod Ani siodełkiem najzwyczajniej się zerwała. Wiele innych mogło zawieść i nie byłoby nagłego problemu, ale akurat ta awaria była dość... niewygodna.

Zajechaliśmy do warsztatu samochodowego do trzech uśmiechniętych Uzbeków.

— A ty, brat, skąd?

— A na długo tak?

— A co się stało?

I zaczęli szukać nakrętki w swych przepastnych skrzynkach i pod nogami. Ta za mała, ta znowu za duża. Normalnie w takich sytuacjach obcy człowiek powie: "No przepraszam, kolego, ale nie mam, i już".

Tym razem nie było normalnie, tylko "podróżniczo". Gdy jesteś w drodze, ludzie traktują cię inaczej. Czasem oczywiście oszukają i okradną, ale częściej pomogą, przygarną i zaopiekują się tobą.

Tym razem najstarszy z nich pobiegł do swojego zdezelowanego roweru i wykręcił potrzebną nam śrubkę.

"Ja do domu mam niedaleko, to jakoś dojadę. Wy z dala od domu i jedźcie szczęśliwie. Niech was Bóg prowadzi i zbóje nie napadną".

I tak powstał nasz kolejny dług wdzięczności. Do odpłacenia. Kiedyś.

Pod szkieletem z prętów, na którym płożyło się winogrono, dając lekki cień, siedziało przy stole kilku wesołych Uzbeków. Dziewczyny pracujące w kafe donosiły im kolejne szaszłyki, jakieś pomidory i czaj. Na niebie rządził stepowy błękit. Padać miało dopiero za kilka miesięcy. "Może w lutym" — jak powiedział nam inny właściciel innego kafe, innej nocy i przy innej herbacie.

Siedzieli może w pięciu: Ahmet — właściciel kafe i nasz gospodarz, Ilham o złotej płytce z frezowanymi szparami imitującej złote zęby i trzech ich przyjaciół.

Ilham tylko patrzył na nas alkoholowymi oczami i ze złotym uśmiechem opowiadał. Miał przecież wszystko już poukładane, miał Ideę i Receptę. Wiedział "swoje" i musiał się tym podzielić. Przecież nie po to dumał nad TYM latami, by umarło TO razem z nim na tym uzbeckim stepie.

Tam, gdzie mieszka Uzbek, tam musi być i somsa, i lepieszka, i czaj. Pieczone pierogi, płaski chleb i herbata. Zielona oczywiście.

I jeszcze szaszłyk.

I arbuź lub inny melon. Bez tego nie da się spokojnie usiąść i porozmawiać. Bez somsy jeszcze można, ale bez herbatników, na przykład w kształcie telefonu lub kostki mydła (!), kawałka arbuza i czaju już na pewno się nie da. Im rozmowa dłuższa, tym rozmówcy robią się bliźsi, a na stole pojawi się zrobiony w międzyczasie szaszłyk barani lub taki z samych pomidorów i cebuli, jeżeli kto "wegetarianiec". Jakaś wódka ze szklanej lub plastikowej butelki, płow i jeszcze więcej czaju.

Żyjąc w naszym europejskim kokonie, zapominamy, że w innych, odległych i różnych od naszego krajach ludzie mają podobne marzenia, tworzą podobną muzykę, malują podobne obrazy. Tak jak dla Amerykanów dziwny jest ursynowski hip-hop, tak dla nas, z zapomnienia, dziwne jest to, że jakiś Uzbek chciałby podróżować po świecie. Na przykład do Polski.

Nie chcieliśmy pić z nimi alkoholu, więc İlham dobrodusznie zaproponował piwo. Było makabrycznie gorąco, a ja trząsałem się z zimna. A on obdarowywał nas swoją tęsknotą za światem.

"Za Sajuza [\[17\]](#) można było wszędzie pojechać. Do Moskwy, do Rygi, do Kijowa, a nawet na Węgry czy do was — do Polski. Sajuź się skończył i wszystko się zmieniło. Łotwa się odłączyła i Ukraina, i nawet my. Świat wielki, ogromny. Pojechałby człowiek, pooglądał, poznał ludzi. Przecież wszyscy ludzie to bracia i Bóg na nas patrzy. Bóg jeden, choć religii wiele.

Powiedz mi, Robert, po co oni nam granice popostawiali? Przecież my wszyscy bracia. Siebie ciekawi i w oczach Boga tacy sami.

W świat bym pojechał. Pieniądze mam — to nie problem. Praca jest, to i pieniądze są. Ale nie mam do kogo pojechać, a samemu trochę strach.

Pojadę do Warszawy, na dworcu wysiądę i do kogo pójdę? Strach trochę i smutno".

Ahmet, właściciel kafe, który oddał nam jeden z pokoi, na pożegnanie napisał kartkę. Mieliśmy ją pokazać jego synowi, który gdzieś po drodze do Taszkientu miał inne kafe i miał nas nakarmić i przenocować.

Po historii dnia poprzedniego, kiedy termometr w kafe pokazywał 47 °C, a ja trząsałem się z zimna, nie było szans, żebyśmy dalej jechali rowerami. W jakiejś wsi stanęliśmy na placu, który służył wszystkim za przystanek autobusowy. Nie mieliśmy szczęścia do autobusu. Były co prawda dość duże, bo głównie stare, importowane z Francji setry i volvo, ale już w Samarkandzie wypchano je do granic możliwości. Nie było mowy, by na

70 kilometrów przed Taszkientem upchnąć jeszcze nas, dziesięć sakw i dwa rowery.

Ali był taksówkarzem, który nie miał za dużo szczęścia do pasażerów. Twarz miał przesympatyczną, uśmiechnięte oczy i cały był jakiś taki... sympatyczny, ale za samochód miał starą, podrdzewiałą ładę. Gdy inni zbierali pasażerów wysiadających z autobusów relacji Taszkient - Samarkanda lub Samarkanda - Taszkient i upychali ich do różnych daewoo i toyot, Ali spędzał czas na rozmowie.

Z nami.



"Ile kosztuje rower? Ile zarabia się w Polsce?"

A na lewo to ile można zarobić?

Jak na lewo? Jako nauczyciel to się nie da tak »na lewo«?

No, ale taksówkę można zawsze mieć. Coś się dorobi".

U nas po wsiach jeżdżą autobusy i takich taksówek jak u was to nie potrzeba. No i licencja droga.

"U nas też droga. Jak cholera, ale policjantowi 20 dolarów dasz i masz spokój. A od was na kontrolach drogowych to ile biorą?"

Od nas jeszcze żaden nie chciał.

"Jak będzie chciał, to mu powiedzcie, żeby spier****ł. Wam nic nie zrobią. Możecie śmiało powiedzieć. Złodziejom".

Po dwóch godzinach czekania i rozmów ktoś nas nareszcie poratował i doradził nam, byśmy poszli na... pociąg. Tam już nikt nie miał problemu z naszym bagażem. Mimo że pociąg stał tylko dwie minuty, a do wagonu trzeba było wejść po schodkach, znalazło się kilku mężczyzn którzy, jakby na wyścigi (który to robi szybciej i lepiej), wsadzili nasze rowery do wagonów.

Jeden brat, dwa braty, wsje braty

Gdy Uzbek poda ci rękę, drugą przykładą do piersi, patrzy ci prosto w oczy i mówi do ciebie: "Brat". Pyta o zdrowie, uśmiecha się i wciąż patrzy ci w oczy. Zagaduje po uzbecku, tadżycku, farski lub rosyjsku. Zależy, na kogo trafisz.

"Skąd? Dokąd? Ile to już w drodze? Jak długo jeszcze? Jakies problemy? Mogę wam jakoś pomóc? Wodę macie? To może herbaty? Zdrowi? A takie opony to się co ile zmienia? A ile one kosztują? Powodzenia, brat! Szczęśliwej drogi, brat! Niech was Bóg prowadzi!".

Policjanci, ubrani w mundury o trudnym do nazwania ciemnozielono-turkusowym kolorze wypełniają sobą chodniki, skrzyżowania, parki i stacje metra. Dodatkowo rządzą ambasadami. To od nich zależy, kiedy (i czy w ogóle) wejdiesz do ambasady. Niby wpisali cię na listę, gdy przyszedłeś, ale to wcale nie znaczy, że w takiej właśnie kolejności, jaka wynika z listy, wejdziemy. Są tacy, którzy tej listy pilnują, są i tacy, dla których 30 dolarów łapówki jest ważniejsze niż prawo i porządek.

Ale w którym innym kraju policjant na twój widok wyciąga do ciebie rękę, serdecznie się wita, pyta o zdrowie, o to, jak się masz i czy wszystko w porządku?

W którym innym kraju policjant uśmiecha się na twój widok?

W którym innym kraju odważyłbym się poprosić policjanta, żeby nas wpuścił do ambasady poza kolejką, bo "Ania ma dzisiaj urodziny i, brat, może by tak... w prezencie?".

W którym innym kraju ten sam policjant zaprosiłby nas na wódkę, "bo to przecież wasz miódowyj miesiąc!". A potem uśmiechnie się szeroko od ucha do ucha i po rumieńcu tylko można się domyślić, co sobie właśnie wyobraża.

Oczywiście język rosyjski te wszelkie zażyłości tylko pogłębia.

Po pierwsze — bo TY rozumiesz.

Po drugie — bo CIEBIE rozumieją.

I otwiera wiele drzwi.

I pomaga obejść drobiazgi.

Poszedłem do banku narodowego zapłacić za wizy do Kirgistanu. W Kirgistanie zamieszki, spalone domy, zabici ludzie. Nasz kolega musiał uciekać z Biszkeku, bo nie dość, że panuje tam strach, to jeszcze ktoś okradł w mieście wszystkie bankomaty i kolega został bez pieniędzy, czyli bez jedzenia i miejsca do spania. Straszne rzeczy — walka Kirgizów z Uzbekami. Uzbekami, których historia i zmiany granic zastały w "obcym kraju", nie "u siebie", i przyszło im za to zginąć. Często w płomieniach własnego domu.

Pomimo tego wszystkiego musieliśmy do Kirgistanu wjechać. Choćby na dwa dni, by Doliną Ałajską dojechać do Chin. Wiza turystyczna czy też tranzytowa — nieważne, trzeba stanąć pięć razy w kolejce i czekać.

W poniedziałek — do konsula po rachunek bankowy i aplikację. We wtorek — w banku do urzędnika, który wypisze "aplikację depozytu walutowego", czyli do kasy walutowej, w której można zapłacić za wizę. W środę — do konsula, by złożyć paszporty i wszelkie inne dokumenty. W piątek — do konsula, by odebrać paszporty z wizami. Przy odrobinie szczęścia oczywiście.

Poszedłem więc do tego banku, odebrałem aplikacje i dostałem się do urzędnika wypisującego rachunek zwany depozytem walutowym. Oczywiście depozyt tylko w dolarach amerykańskich. Euro jeszcze tu nie dotarło. Pan urzędnik miło mnie przywitał i... zapytał: "A gdzie Anna? Bo musi podpisać wszystkie papiery. Ja Panu wypiszę, a Anna podpisze, jak później przyjdzie".

Nie no! Staaaaary!

Anna przecież z powodów praktycznych została w hotelu, i jeśli ja dziś nie zapłacę za wizę i nie złożę rachunku, to wizę dostanę dopiero we wtorek! Czyli za tydzień, bo ambasada "nie jest otwarta codziennie + 2 - 3 dni robocze na wystawienie wizy"!

Tego mu oczywiście nie powiedziałem, za to teraz to ja kogoś zacząłem nazywać bratem i dukałem po rosyjsku, że Anna to przecież żona, że chora leży w hotelu w Samarkandzie, że jej nawet w Taszkencie nie ma, żeby zobaczyć inne wizy, które już jej załatwiłem bez jej obecności, że ja bardzo proszę, że my braty... że że że...

Brat Urzędnik tylko popatrzył, zadzwonił do kogoś w innym pokoju, uśmiechnął się, wszystko jak trzeba wypisał i życzył żonie "dużo zdrowia", a mnie powodzenia.

Ot co.

Taszkient to zupełnie niepotrzebny przystanek. Wielkie miasto, wielkie

blokowiska i wielka nuda. Przyjezdny, jeżeli nie ma tu czegoś do załatwienia, szuka na siłę jakiegoś zajęcia. Szuka jakichś atrakcji pomiędzy blokami, na wielkich ulicach, w jakichś muzeach i oglądając pomniki.

Przyjechać jednak trzeba. Po wizy.

Jeżeli planuje się szybką objazdówkę po Azji Środkowej, załatwia się wszystkie wizy w domu i potem tylko wystarczy trzymać się terminów wjazdów i wyjazdów. Na każdej wizie jest wyraźnie napisane, którego dnia można do kraju wjechać i kiedy trzeba z niego wyjechać. Nie ma, jak na innych wizach, "30 dni od daty wjazdu", i trzeba się cały czas pilnować z terminami.

Jeżeli jedzie się powoli, wizy wyrobione w domu tracą swą ważność, i wtedy trzeba je załatwiać po drodze.

A to kosztuje. Nie tyle chodzi o pieniądze na hotele, co o... czas.

Takim właśnie sposobem ląduje się w Taszkencie. Walcząc z nudą.

Koniec końców wszyscy turyści lądują na bazarze. Wiadomo, że tam się zawsze najwięcej dzieje i można znaleźć sobie jakąś rozrywkę. Można dać się zaprosić na herbatę lub szaszłyk. Co szczęśliwszych ktoś zaprosi nawet na wesele. Darmowe żarełko i... kolejny wieczór wypełniony nie tylko czekaniem, ale i zabawą.

Bazar taszkiencki znajduje się przy stacji metra Chorsu. Bazar to nie tylko stoliki i sprzedaż "prosto z samochodu", ale również olbrzymie betonowe kopuły. Pod nimi, pomalowanymi na błękitne, uzbeckie wzory, wybudowano betonowe stoły, na których sprzedaje się warzywa, owoce, herbaty i wszelkie lokalne cuda. Z woreczków, z butelek i plastikowych misek.

Zupełnie przypadkowo jeden z bardziej popularnych hotelików znajduje się przy tej samej stacji, więc wizyta na bazarze jest najłatwiejszą rozrywką. Można się najeść na jednym z kilkudziesięciu stoisk z szaszłykami, próbując dziwnie wyglądających kiełbas i wszelkich sałatek. Można się nawąchać różnych przypraw, które, tak jak w całej Azji, leżą usypane w piramidowe kopczyki. W zagrodach leżą arbuzy tak olbrzymie, że poukładane są bezpośrednio na ziemi, bo chyba żaden stół by nie utrzymał więcej niż kilku. Arbuzy wielkie, bo i pogoda ładna, i niejeden pestycyd i herbicyd płynął w wodzie, z której powstały. Piękny, zielony kolor skorupy i soczysty, ciemnoczerwony kolor miąższu kryją w sobie trucizny. Co roku kilkaset osób ląduje w szpitalach, a rząd i tak nie reguluje przepisów.

Najciekawsze jest jednak szukanie bazarowych "smaczków". Miejsc bardziej wyjątkowych niż na innych bazarach. Tym sposobem odwiedza się alejkę, na której kilkunastu mężczyzn ostrzy rozmaite noże, nożyczki, a nawet piły. Można przynieść im swój własny nóż do naostrzenia, ale można również kupić jeden z ręcznie robionych przez nich. Dookoła ostrzerek stoją drewniane konstrukcje, na których wisi cała gama tasaków, sztyletów, noży

do warzyw i noży do mięsa. Dookoła roznosi się dźwięk silników elektrycznych napędzających koła szlifierskie i latają iskry. Obok mężczyźni ostrzący piły, ząbek po ząbku, feeria iskier za feerią iskier, a wszędzie słyhać to charakterystycznie rytmiczne... bzzz-bzzz, bzzz-bzzz, bzzz-bzzz, bzzz-bzzz.

Niczym mantra.

Co bardziej zdesperowani turyści, bardziej znudzeni i potrzebujący prawdziwie mocnych wrażeń wybierają się na bazar mięsny. Po wyjściu z hoteliku, za pierwszymi sklepikami z żywnością trzeba zejść lekko po schodkach, by wejść w świat krwi i upalnego zaduchu. Słodkiego zapachu śmierci. Większe kawałki mięsa sprzedaje się wewnątrz budynków, ale biedniejsi sprzedawcy wystawiają towary na stolikach. Pod gołym niebem, w betonowej niecce, do której nie docierają podmuchy wiatru. Gdyby przyjść tu wcześniej rano, można by tuż na końcu schodów kupić krowie... głowy. Całe, nieoskórowane, z wywieszonymi językami. Wciąż lekko krwawiące, wielkie, olbrzymie krowie głowy.

Zaraz obok zalega wszystko to, co nie jest mięsem. Wnętrznosci, płuca, nerki i cała reszta. Ktoś to jednak kupuje, bo około godziny ósmej rano wszystko znika. Jest wyprzedane i do dziś nie wiem, do czego komuś może być potrzebna krowia głowa.





Człowiek w podróży wierzy wielu drobiazgom. Zauważa rzeczy, obok których przechodzi zupełnie bezwiednie, gdy porusza się po "swoim terenie", czyli w domu. Najpiękniejsze, najbardziej odkrywczе są właśnie podróże pierwsze. To ona, ta pierwsza, dzięki naiwności podróżującego pokazuje nam najwięcej świata. Jeszcze nie mamy głowy wypchanej znanymi rzeczami i na wszystko jesteśmy otwarci. Wszystko dostrzegamy. Od ludzkich twarzy po kształt i kolor kupki śmieci.

Wystarczy obejrzeć zdjęcia z pierwszej podróży, by stwierdzić, jak wiele wtedy zauważyliśmy.

W kolejnych podróżach dostrzegamy coraz to inne rzeczy i powoli, nieubłaganie zaciera się granica pomiędzy "naszym światem" a "ich światem". Powoli i nieubłaganie dostrzegamy świat jako jednolitą i powtarzalną całość. Różnice zanikają i wszystko staje się podobne. Te same strachy, te same obawy, te same marzenia i potrzeby.

Każdy z nas coraz częściej dostrzega w innym człowieku siebie samego. Tylko kształty i kolory się zmieniają, ale wewnątrz... wszyscy jesteśmy tacy sami.

W podróży trzymamy się dróg. Tylko najodważniejsi rzucają się w nieznane i ustanawiają drogi dla innych. Większość z nas idzie drogami już utartymi. Fascynujące jest nasze zaufanie do przetartego szlaku. W tym "przetarciu" kryje się obietnica, której wierzymy. Ktoś już kiedyś tędy szedł, a skoro droga jest tak szeroka lub tak dobrze wydeptana, znaczy to tylko, że doszedł i doszli też inni. Taka droga obiecuje nam bezpieczeństwo i dotarcie do celu. Droga obiecuje nam, że tuż obok, może za wiele kilometrów, ale zawsze, ktoś mieszka. Ktoś, kto być może nas przygarnie lub co najmniej nam pomoże.

Gdy droga jest wąska, to nawet i lepiej. Można śmiało podążać jej środkiem i obie jej strony są dla nas dostępne. Możemy śmiało przemieszczać się

zygzakiem z jednej strony na drugą i poznawać, podziwiać, podglądać. Co innego, gdy droga jest szeroka i ruchliwa. Pozostaje nam do odkrycia tylko najbliższa nam strona. Wielkość drogi jest zatem naszym "wrogiem". Wędrujemy uwięzieni kierunkiem ruchu.

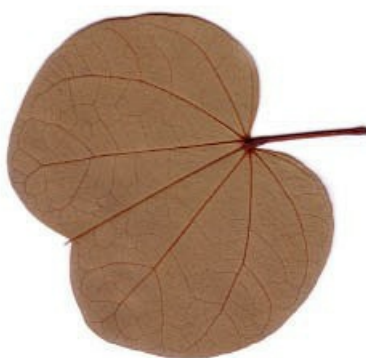
Akurat w Uzbekistanie to uwięzienie ma niemal fizyczny wymiar. Szeroka, ale mało ruchliwa droga ciągnie się od turkmeńskiej granicy aż do kazachskiej Ałma-Aty. Zaraz za granicą stoi wielki betonowy znak z wypisanymi kilometrami. Ile do Duszanbe, ile do Biszkeku, a ile do Ałma-Aty. Rozglądając się na wszystkie strony, możemy zobaczyć tylko piach i jakieś mizerne, zielone krzaczki. Znikąd śladu życia, tylko pustka.

Do Ałma-Aty 1476 kilometrów!

Gdyby w Zgorzelcu ktoś postawił znak "Gołdap 795 kilometrów", to wszyscy by się dziwili. Albo w Świnoujściu, że do Ustrzyk Górnych jest 1008 kilometrów.

Tyle tylko, że my mieszkamy w kraju pełnym życia, a nie piachu.

Na tej szerokiej drodze, której ktoś nadał symbol M37, a która tak naprawdę zaczyna się nad Morzem Kaspijskim, całe... 1240 kilometrów wcześniej, ktoś postawił mur oddzielający przeciwległe pasy. Pewnie dla bezpieczeństwa tych nadjeżdżających z przeciwka. Co kilkaset metrów w betonowym murze zostawiono przerwę, by kierowcy mogli zawrócić. Całe to betonowe uwięzienie przynosi nie tylko poczucie bezpieczeństwa, ale i poczucie... niebezpieczeństwa: we wsiach ludzie jeżdżą przecież pod prąd, by nie musieć nadkładać kilkuset metrów i zawracać. Po prostu ktoś odgrodził ich domy od sklepu czy nawet ich własnego pola, i nie ma się czemu dziwić, gdy ktoś wraca do domu poboczem, bo... w ten sposób zaoszczędzi drogi.



Co jakiś czas, co kilkanaście kilometrów, na prostych odcinkach drogi porządku i prędkości pilnują... atrapy policjantów. Przyczepione na stałe do betonowego murka, straszą już z daleka swym mundurem i wyciągniętą w górę policyjną pałką.

Tylko kogo one straszą?

Raz, że mało kto jeździ, a dwa, że... każdy wie, że to tylko atrapy.
A może atrapy pozorują porządek?



[1] Z rosyjskiego: "kobiECE problemy". Przy okazji muszę się wytłumaczyć — jeżeli ktoś dopatrzył się jakichś karygodnych błędów w tym moim "rosyjskim", to pewnie dlatego, że był to "rosyjski mocno improwizowany".

[2] Cytadela w Bucharze.

[3] Rynek, serce miasta. Właściwie nazwa "Registan" była zarezerwowana dla Samarkandy, ale od jakiegoś czasu również plac w Bucharze jest tak określany. To tutaj dokonywano egzekucji i ogłaszano obwieszczenia.

[4] Oczywiście w przenośni. Na pustyni otaczającej Bucharę kręcono polski film *Faraon*. Jako statystów trzeba było zaprosić radzieckich żołnierzy — skośnoocy Uzbegy nie nadawali się na Egipcjan. W Bucharze kręcono również *Pamiętnik znaleziony w Saragossie*.

[5] Lyabi-hauz w języku perskim oznacza: "brzeg sadzawki" lub "nad sadzawką".

[6] Rodzaj pieczonych pierożków. Najczęściej z mięsem.

[7] Właściwie drakunkuloza, wywoływana przez pasożyta o nazwie *Dracunculus medinensis*. Jest to jasnożółty robak dochodzący do metra długości, żywiący się ludzkim ciałem. Mieszka pod skórą, a zarazić się nim można, pijąc wodę, w której żyją oczliki. Robaki oddychają powietrzem atmosferycznym poprzez otwór wywiercony w skórze.

[8] Popularna kiedyś gra podwórkowa. Do gry używano dwóch kijów — dłuższego i krótszego. Dłuższym wybijano krótszy poza narysowane na ziemi koło. Kto złapał krótszy (kliję) i wrzucił go do koła, zajmował miejsce

wybijającego. Gdy nikt nie złapał klipy, odległość od koła, liczona w krokach, stanowiła liczbę punktów. Wygrywał ten, kto pierwszy zdobył ustaloną wcześniej liczbę punktów.

[9] James Elroy Flecker, *Złota podróż do Samarkandy*.

[10] Timura Krwawego.

[11] Ekspedycja taka, ekspedycja siaka. Jak to na skrzyżowaniu turystycznych szlaków.

[12] Z rosyjskiego: "To nie sezon. Sezon zaczyna się we wrześniu".

[13] Rodzaj lokalnego risotto. Więcej na stronie 204.

[14] Bronisław Grąbczewski (ur. 15 stycznia 1855 w Kownatowie w powiecie telszewskim, zm. 27 lutego 1926 w Warszawie) — polski topograf, etnograf, podróżnik i odkrywca w służbie rosyjskiej. Generał lejtnant armii Imperium Rosyjskiego. Badacz Azji Środkowej. Kierował ekspedycjami naukowymi w Hindukuszu, Kaszgarii, Tybecie, Afganistanie i Pamirze [źródło: Wikipedia].

[15] Z rosyjskiego: "dziękuję".

[16] Chlebowy placek z zapiekany w środku białym serem.

[17] Z rosyjskiego: "za Związku" (chodzi o Związek Radziecki, ZSRR).

Tadżykistan



Po co nam wolność?

Wymęczeni arbusową biegunką i upałem mieliśmy dosyć płaskich krajobrazów. Trzeba nam było przełęcz. Trzeba nam było do Tadżykistanu. Szybko. Jak najszybciej!

Jednak zmęczenie i choroba zmusiły nas do małego "oszustwa" i zamiast prosto z Taszkientu pomknąć w stronę Duszanbe i zaliczyć pierwsze przełęcz po 3000 m n.p.m., wsiedliśmy w pociąg do Samarkandy, by posiedzieć kilka dni w hoteliku Bahodir.

Pani w dworcowym okienku kazała mi pokazać wszystkie dokumenty i dopiero wtedy sprzedała bilet. Nam tak, ale rowerom już nie, "bo to zależy od konduktora". Na peronie: panika. Pociąg zaraz odjeżdżał, a konduktorzy (jeden na każdy wagon) nie umieli zdecydować, gdzie upchnąć nasze rowery. Ostatecznie ustawiliśmy je koło toalet.

"Musicie zapłacić 10 dolarów — skwitował konduktor. — Widzisz, brat, to nie dla mnie. Wy u nas w gości. Ja bym od was nigdy pieniędzy nie wziął. Ale wiesz, brat, rewizor w nocy przyjdzie, zapyta, co to za rowery, to ja mu muszę przecież łapówkę, złodziejowi, dać. Inaczej nie przepuści. Widzisz, brat? To nie dla mnie te pieniądze. To na łapówkę".

— A jak rewizor nie przyjdzie — spytałem — to te 10 dolarów nam oddacie?

"Kanieszna [\[1\]](#), brat. Wy dla mnie goście".

Kilka godzin później. Na dworcu w Samarkandzie nikt nie mógł znaleźć naszego konduktora. Tak to odebraliśmy naszą przedpłatę na ewentualną łapówkę. Frajerzy.

Tadżyckie przejście graniczne zbudowane jest z kilku barakozów stojących w szczerym polu. Wąska asfaltówka, lekko wznosząca się w górę, a po jej obu stronach baraki. Kazano nam spisać wszystkie swoje dane i wypełnić dodatkowo deklarację celną na wszelkie aparaty i laptopy. O dziwo, nikt nie oddał nam kopii, byśmy mogli pochwalić się listą elektroniki na granicy kirgiskiej, ale, jak nam wytłumaczył jeden z żołnierzy, do 5000 euro nie potrzeba.

Dostaliśmy pieczętki, były uściski dłoni i usłyszeliśmy pożegnalne "Powodzenia!".

Po kilku kilometrach zatrzymaliśmy się na pierwsze tadżyckie śniadanie. Nie tyle śniadanie w tadżyckim stylu, co nasze-pierwsze-w-Tadżykistanie.

Zatrzymaliśmy się w cieniu pomnika zapewniającego o wiecznej przyjaźni republiki tadżyckiej i uzbeckiej.

Betonowa płyta pokryta kolorową mozaiką, a na niej dwie zaciśnięte dłonie. Zaciśnięte mocno. Siłowo. Nie tak, jak robią starsi ludzie, którzy podają sobie dłonie z grzeczności. Tutaj dwie młode dłonie w geście siły i przyjaźni na tle słońca. Jakby się ze sobą mocowały.

"W imię przyjaźni młodzieży Samarkandy Uzbeckiej SRR i miasta Pendzikent Tadżyckiej SRR. Październik 1969".

Pomnik pozostał, ale przyjaźń już nie. Uzbegy nie ufają Tadżykom i niechętnie wpuszczają ich do siebie. Boją się przemytu heroiny i najzwyczajniej ich nie lubią. Zdarza się, że wyciągają młodych mężczyzn z pociągów i każą im robić pompki tak długo, aż ci ze zmęczenia zwymiotują. Uzbegy mają wtedy pewność, że Tadżycy nie przemycają w żołądkach heroiny. Tadżycy znów nie cierpią Uzbeków. Nie tylko za traktowanie, ale za swoje dwa wspaniałe i historyczne miasta: Samarkandę i Bucharę, ich były stolice. Właśnie za to, że dziś leżą w Uzbekistanie i nazywane są uzbeckimi miastami.



Na pierwszy nocleg w Tadżykistanie wybraliśmy pole słoneczników. Wszędzie ktoś się kręcił, ktoś coś zbierał, więc poszliśmy do niewielkiego domu, by zapytać o zgodę. Okazało się, jak zwykle, że żadnego problemu nie było, ale musimy razem z gospodarzami zjeść obiad i "nieważne, że chce się wam spać. Jesteście moimi gośćmi".

Gospodarz, potężny mężczyzna o wielkim brzuchu, wielkich dłoniach i dość bujnej siwej grzywie, przyniósł jakieś gotowane mięso o kształtach tak dziwnych, że nie mogliśmy stwierdzić, co jest co. Wyglądało to jak taca pełna mięsa — tylko tyle.

Nie obraził się, gdy mu grzecznie podziękowaliśmy i odmówiliśmy, tłumacząc się problemami żołądkowymi. Nie naciskał, zatapiając ręce w mięsnej brei, a my zajadaliśmy własne smakołyki. Z miękkiej, plastikowej butelki polała się szklankami wódka. Choć przez pierwszą chwilę myśleliśmy, że to przecież musi być woda, bo butelka przypominała taką, w jakich u nas jest zwykła mineralna, ale szybko przekonaliśmy się, że to woda, tyle że ognista. I tym razem gospodarz nie oponował, gdy zgodziliśmy się na drinka symbolicznego, i choć piliśmy ze zwykłych szklanek, uczciwie nalewał... do połowy. Nie tak jak sobie — do pełna. Na stakany ^[2] to my pić ani nie umieliśmy, ani nijak nie mieliśmy ochoty. On wciąż polewał, a coraz głębsza noc ukrywała przed nim, że wszystkie te jego drinki lądowały w piasku. Uśmiechaliśmy się do siebie i coraz lepiej się bawiliśmy. On z powodu pijaństwa, a my ze zmęczenia i z absurdu sytuacji. Tylko pomyśleć,

że gdzieś tam w świecie, na jakimś polu słonecznika, siedzieliśmy sobie z obcym człowiekiem i traktowaliśmy się nawzajem jak starzy znajomi. Nauczyliśmy się, że człowieka trzeba znać, by mu ufać, by być mu bliskim, a tymczasem po raz KOLEJNY życie pokazywało nam, że nie. Przeżywaliśmy takie sytuacje dziesiątki razy, a one wciąż nas fascynowały. Wciąż zadawały kłam telewizji i gazetom i wciąż miały w sobie tyle międzyludzkiej miłości, że aż zalaływały kiczem.

Gdzieś po godzinie grzecznie się pożegnaliśmy, a nasz gospodarz uparł się, że przywiąże nam do rowerów psa! Żeby przypadkiem nikt nam ich nie buchnął. I na nic zdały się tłumaczenia, że przecież wszystko będzie dobrze, że nie trzeba. Alkohol i gościnność bardziej działały na niego niż nasze słabe argumenty.

Kochany, poczciwy człowiek, i tyle.

O drugiej w nocy pies, przejęty swoją rolą, zaczął ujadać. Półtora metra od namiotu! Wierna psina oczekiwała jakieś cienie na niebie czy też odszczeniwała się innym wioskowym sabakom, a my nie mogliśmy spać.

Wstałem, odwiązałem psa i z ulgą zasnąłem jak dziecko.

Po chwili pies znów ujadał obok naszego namiotu.

Ktoś go najwidoczniej znów przywiązał!

Pies na swoją miskę psiego żarcia miał zarobić, pilnując nas i naszych rowerów, bez względu na to, czy była to prawdziwa, czy też niedźwiedzia przysługa. Gdy coś mnie bezsensownie obudzi, wściekam się, zanim jeszcze otworzę oczy. Niemal natychmiastowo. Jakby adrenalina czekała tylko na uwolnienie i radosne buszowanie godzinami po zmęczonym krwiobiegu. Chwila nieuwagi i dwie niepotrzebne godziny bezsenności z myślótkiem podane na tacy.

Zerwałem się do biednej psiny, powtarzając sobie w duchu, że wszystko jest dobrze, byle tylko się nie wściec. Byle tylko uśmiechać się do nocy i liczyć na cudowny sen.

Tym razem odwiązałem psa, odszedłem za dom i przywiązałem bestię do kikuta jakiegoś drzewa. Oczywiście z nadzieją, że nikt nie zauważy. Obudziliśmy się rano, a psa nie było. Ani obok namiotu, ani za domem, a ja postanowiłem nawet o nim nie wspominać. Nie pytać, gdzie jest pies, ani nie poruszać żadnego z tych tematów. Po co? Jeszcze ktoś by zaczął zadawać pytania, a tu pojawiło się śniadanie. Na ceracie, pod daszkiem z gałązek postawiono herbatę, wielkie kostki cukru, kilka talerzyków pełnych ciastek i kilka talerzyków pełnych cukierków. Do tego oczywiście lepioszka i zmęczony uśmiech gospodarza. Tym razem jedliśmy z całą rodziną, czyli wraz z drobną żoną i dwójką małych synów. Ani chłopcy, ani żona nie umieli po rosyjsku i nasz gospodarz się rozgadał. Opowiadał o swoich innych żonach. O jednej w Turkmenistanie, o kolejnej w Uzbekistanie i o innych

żonach w innych byłych republikach. Naliczyliśmy ich kilkanaście, ale patrząc na stan jego domu, jego samochodu, jego ubrań, nijak nie mogliśmy w nic uwierzyć. Ani w te wille, ani w rodzinne wakacje, "gdy pieką po kilka baranów dziennie" nad niedalekim jeziorem Iskander Kul.

Na "powodzenia" dostaliśmy trochę ciastek, cukierków, chleba i niedopitą wczoraj butelkę wódki, którą zostawiliśmy na ławeczce pod pierwszym sklepem. Pewnie ktoś się ucieszył z darmowego zapomnienia.

Byliśmy na dobrej drodze. Nie tylko wbijaliśmy się w przepiękne góry, nie tylko zbliżał się do nas daleki Pamir, ale przede wszystkim byliśmy na drodze pełnej gościnnych ludzi i wśród uśmiechniętych twarzy. Świat stał przed nami otworem i tak szeroko rozpościerał swe bramy, że nie byliśmy już w stanie się nim zachłystywać. Ogarnęło nas doskonałe nasycenie i czysta radość. Niemal przerażająca. Jakby szalona. Życie śmiało się do nas tak, jak dzieci i dorośli pod sklepami i na polach słoneczników. Nawet żwir i wyboista droga się śmiały, tylko wciąż nie wiedzieliśmy, czy śmieją się DO nas, czy Z nas, ale jakoś nie było to wcale ważne.

No i byliśmy z siebie dumni.

Od miesięcy otaczała nas życzliwość, a my wciąż jeszcze ją zauważaliśmy. Wciąż jeszcze nie byliśmy zepsuci, rozpuszczeni. Wciąż jeszcze gościnność nie była czymś tak oczywistym, że wręcz błahym i niedostrzegalnym. Wciąż każda z tysiąca szklanek herbaty smakowała tak samo dobrze i była tak samo ważna.

Po kilkunastu kilometrach dziurawej drogi, na której asfalt był tylko wspomnieniem Związku Radzieckiego i czasów, gdy "robotą była, to pieniądze były", zajechaliśmy wyczerpani pod jakieś drzewo. Drzewo rośnie na poboczu, obok wiejskiej ławeczki, na której przysiedli się dwaj starsi mężczyźni i zaczęli rozmowę od tradycyjnego już "Atkuda [\[3\]](#) wy, brat?".

Nie rozmawialiśmy o pogodzie, o stanie drogi ani o naszej podróży, ale o smutku wsi, z której każdy, kto mógł, wyjechał do Rosji do pracy. O smutku wsi pełnej starszych ludzi i dzieci. O smutku tęskniących rodzin i tych porzuconych "dla nowych żon w Moskwie".

"Wyjechał, za robotą, i drugą żonę sobie znalazł. Do domu mu było daleko, tęsknił. Sam tak daleko. Co zrobić? Stara żona w płacz, dzieci w płacz, ale on tu już nie wróci. Po co miałby wracać? Inny znowu żonę sobie znalazł dla papierów. Dla paszportu. Przyjechał, wytłumaczył, żona zrozumiała, a on zakochał się i teraz ta żona na niby to jego prawdziwa żona. Panimajesz? Wot żizn [\[4\]](#). Skomplikowane takie życie, gdy się w domu nie mieszka".



Jakby na złość wszystkiemu, prezydent, z troski, podniósł minimalny wiek legalnego zamążpójścia. Wszystko oczywiście po to, by dziewczyny chodziły dłużej do szkoły. Szybko okazało się, że nie był to najlepszy pomysł w kraju, w którym dwudziestoletnia panna to już... stara panna i nikt nie chce takiej za żonę. Kiedyś można było wydać córkę za mąż wcześniej i szybciej mogła zacząć dbać sama o siebie. Mówiąc prostymi słowami: nie kosztowała rodziców pracy i pieniędzy w tym, i tak już biednym, kraju. Kobiety szybciej zakładały rodziny i "szły na swoje".

Dopóki nie zaczęliśmy o tym rozmawiać, a właściwie dopóki oni nie zaczęli nam o tym opowiadać, jakoś do nas nie dotarło, że nie spotykamy po drodze młodych mężczyzn. Tłumaczyliśmy to sobie raczej tym, że jest środek dnia i środek tygodnia, czyli wszyscy, którzy mogą, są w pracy. Tymczasem młodych nie ma, bo wyjechali. Daleko. Do Moskwy.

Co to za wolność od ZSRR, skoro razem z niewolą skończyła się praca, prąd, lekarze, droga? Skończyła się współczesna cywilizacja.

"Taka ta nasza wolność, że nawet drogi nie umiemy wybudować. Widzicie tę drogę? Przecież to jeszcze sowiecka droga. My nic nie umiemy, nawet naprawić. Jak przyjadą Chińczycy, to ją naprawią, a jak nie przyjadą, to... nikt jej nie naprawi. Prezydent obiecał, że za rok ją na pewno naprawią, tylko że to było sześć lat temu. A powiedz mi, Robert, po co mieliby naprawiać? Tutaj mało kto mieszka. Tylko dzieci i starzy. U nas zimą nawet światła nie ma. Nie starcza dla nas, to wyłączają. W Duszanbe mają pieniądze i trzymają wszystko dla siebie. My żyjemy na peryferiach kraju, którego broni nam rosyjska armia, bo tego też nie

potrafimy. Po co nam to było?".

Wiejska ławka — jej spokój i niewzruszenie zawsze nastraja do rozmów. Stoi pod drzewem, jak zawsze stała. Takiej ławki można być pewnym i nie trzeba o niej za dużo myśleć. Po latach nogi same do niej zaprowadzą. Pod to drzewo, na ten murek czy tę ławkę. Są w życiu rzeczy stałe. Pewne. Niezmuszające do poszukiwań. Bezpieczne. Niejeden już na tej ławce siedział. Niejeden mądrą historię opowiedział. Niejedno ta ławka już słyszała i stoi mimo to. Dopóki nie spróchnieje, jak wszystko w życiu.

Niedaleko stamtąd, za kolejnymi zakrętami, zatrzymaliśmy się na skraju drogi. Na niewielkim trawniku. Na odrobinie zieleni w suchym, kamienno-żwirowym krajobrazie. Ledwo rzuciliśmy rowery, podeszła do nas starsza kobieta i zaprosiła na herbatę, kawałek chleba i jogurt.

Miała na imię Zoya. Miała 63 lata i trzech synów w Rosji. Usiedliśmy pod jej "letnim domem", czyli czymś na kształt prostego bunkra z szarej cegły. Mieszkała w nim latem, doglądając owiec, kóz i poletka. Prosto z wielkiego worka wiszącego na drzewie podała nam na talerzu jogurtu i wysłała wnuczkę po świeży chleb. Nie mieliśmy pojęcia, dokąd wnuczka pobiegła, bo wydawało nam się, że jechaliśmy przez pustkowie, ale wróciła po kilku minutach z olbrzymią, świeżą lepioszką.

Od kiedy wjechaliśmy do Tadżykistanu, zmienił się nie tylko krajobraz, ale i dieta. Chleb maczany w herbacie, chleb maczany w jogurcie, cukierki i herbatniki. Po owocowych i warzywnych straganach Samarkandy i całego Uzbekistanu pozostało tylko nikłe wspomnienie.

Zoya, od razu i jakby radośnie, zgodziła się, byśmy zostali u niej na noc. Rozbiliśmy obok namiot i nagle ta dziurawa i męcząca droga stała się błogosławieństwem. Im więcej było na niej dziur, tym mniej samochodów.

Rozmowa z gospodynią była wyjątkowo "sprawiedliwa", bo przez te lata wolności niemal zapomniała rosyjski i dukaliśmy do siebie oboje.

Ja oczywiście wyjąłem nasze rozmówki tadżyckie, by choć trochę porozmawiać z dziećmi, ale te tylko patrzyły na mnie jak na dziwadło i wcale mnie nie słuchały. Chyba że była to wina mojego akcentu albo wymowy. Tak też mogło być. Na co jak na co, ale na wymowę można dużo zrzucić. Niemal każde nieporozumienie. Ku mojej rozpaczy okazało się, że zacięcie lingwistyczne to jedno, a umiejętności to drugie, i z rozmowy nic nie wyszło. Trzeba było dukać z dorosłymi po "rosyjskiemu".

Zoya miała 17 lat, gdy wyszła za męża. Urodziła szóstkę dzieci i nigdy nie wyjechała ze swojej doliny. Mąż umarł jej kilka lat temu, więc pracuje latem sama w ogrodzie i zajmuje się wnukami, a synowie przysyłają im jakieś pieniądze i "tak pomału do przodu".

Od wjazdu do Tadżykistanu, inaczej niż w Uzbekistanie, jeszcze nikt nie

rozmawiał z nami o pieniądzach, wyjąwszy może temat tego, "że ich nie ma". Wszyscy pytali o nas, o Polskę, jak tam się żyje, czy lepiej jest teraz, czy było "wtedy"?

I czy jest praca?

I czy drogi u nas też takie?

A jak nowy prezydent?

I czy jeszcze tu wrócimy?



Kilka kilometrów wcześniej widzieliśmy dwóch młodych chłopaków łowiących ryby. W małym strumieniu jeden zagradzał siecią nurt wody, a drugi straszył ryby. Okazało się, że jednym z nich był najmłodszy syn Zoi i na kolację przyniósł ryby. Nie zadawaliśmy sobie pytania, czy je będziemy z Anią jeść, czy też nie. Dla nas to było coś bardziej honorowego niż nasza filozofia. Zoya i jej rodzina dzieliła się z nami obiadem, i to było najważniejsze. Chleb, jogurt i ryba. I czaj, i rozmowa, i te wpatrzone w nas oczy.

Język nie jest człowiekowi do niczego potrzebny, a czasem nawet może poróżnić. Porozumieć się można oczami, gestem, grymasem i jakąś kosmiczną intuicją, której ludziom w stosunku do nas nigdy nie brakowało. Zawsze, gdy jesteśmy w drodze, napotkani ludzie doskonale wiedzą, czego nam potrzeba.

Na krawędzi zniszczonej drogi przystanęło kilku starszych mężczyzn i spokojnie nam się przyglądało. Czasu mieli dużo, bo pod zakręt, na którym stali, jechało się ostro pod górę. Gdy zaczęliśmy ich wymijać, naszym oczom ukazał się zjazd i już mieliśmy mu się poddać, gdy jeden z mężczyzn rzucił w naszą stronę nieśmiertelne: "Czaj pijot? [\[5\]](#)" i... nie mogliśmy się ruszyć

dalej. Zaprowadzili nas do domu, do głównego pokoju obwieszonych dywanami, na środku którego leżała wielka cerata, a na niej słodycze, czaj, migdały, jogurt i lepioszka. Z herbaty zrobiła się mała uczta, a jej powodem była Bashik Tuyi, czyli "drewniana kołyska". To wielkie święto każdej rodziny. Siódmego, dziewiątego lub jedenastego dnia od narodzin po raz pierwszy kładzie się dziecko do jego własnej kołyski. Kołyskę dekoruje się, jak można najpiękniej, i goście wraz z muzykami paradują do domu rodziców. Najczęściej to do dziadka należą wszelkie obowiązki mistrza ceremonii. Dawniej twarze gości przed wejściem do domu bielono mąką, by pokazać wszystkim czystość ich duszy i intencji.

Na koniec wszyscy goście odwiedzają po kolei dziecko, zostawiając w kołysce wszelkie słodycze lub choćby kawałki cukru. Spokojny, cichy, bardzo religijny odpowiednik polskiego "pępkowego". Gdy powoli kończyły się cukierki i trzeci dzbanek herbaty, pokój wypełnił się kilkunastoma mężczyznami. Przyszli: wiejski lekarz, nauczyciel, rodzina dziecka i trzej "ze starszyzny" wsi. Wszyscy oni nie wiedzieli, co mają wybrać: tradycyjną rozmowę, uctowanie czy może rozmowę z nami. Na stole pojawiły się misy pełne płowu i znów szacunek do gospodarzy był dla nas ważniejszy niż nasza filozofia.

Płow to danie, bez którego nie byłoby prawdziwego wesela czy rodzinnego święta ani w Uzbekistanie, ani w Tadżykistanie. Wszystko, co do niego jest potrzebne, to ryż, starta marchew, cebula i oczywiście mięso. Gotowanie płowu to niemal rytuał. Ponoć najlepiej gotują go mężczyźni, i to na dworze.

Wszystkie składniki muszą być przygotowane, jeszcze zanim rozpocznie się gotowanie. Ryż trzeba płukać tak długo, aż woda będzie czysta. Należy pokroić drobno cebulę i mięso oraz zetrzeć marchew. Ryż w Uzbekistanie powinien być miejscowy, czyli z Fergany. W Tadżykistanie może być i chiński.

Do podsmażonej cebuli dołącza się mięso. Baranina, kozina, konina. Zależy, co akurat jest w domu. Po chwili dorzuca się marchew i gdy wszystko lekko zmięknie, dolewa się wody i dosypuje ryżu, który gotuje się w tej marchwiowo-mięsnej zupie.

Gdy woda wyparuje, a ryż zmięknie, płow jest gotowy.

Poskubaliśmy trochę baraniny, ale gospodarz kazał nam się nie przejmować ryżem, nie być skromnym, tylko wyjadać co lepsze kawałki. Na szczęście wytłumaczyliśmy się rewolucją żołądkową i wszyscy jakoś to zrozumieli. Pojedliśmy, popiliśmy herbaty, a starsi poszli do dziecka. Pomodlić się. Pobłogosławić. Jak od setek lat: oddawali Bogu kolejne dziecko w opiekę, a gdy się spojrzęło na otaczający ich świat, to takiej opieki właśnie trzeba mu było. Urodziła się dziewczynka, a kobiecie jest tu jeszcze gorzej niż mężczyźnie.

Gdy wrócili, wszyscy wstaliśmy, a mułła zaczął się głośno modlić. Wszyscy

coś pomrukiwali, a my staliśmy jak na tureckim kazaniu i czekaliśmy, aż skończą. Odprowadzili nas na drogę, na której jakiś chłopiec przez cały ten czas pilnował naszych rowerów, obdarowali nas chlebem, życzyli jak zawsze szczęścia i — znów zdaliśmy się na łaskę "sowieckiej drogi".

Zawsze mnie zadziwia i onieśmiela, gdy zupełnie obcy ludzie wykrzykują za nami: "Szczęśliwej drogi!" lub zwyczajnie przykładają sobie dłonie do twarzy i cicho się za nas modlą. O ile to "szczęśliwej drogi" jest zwykłym, przyjacielskim i radosnym okrzykiem, o tyle modlitwa jest pewnie czymś więcej. Jak wytłumaczyć zachowanie robotnika drogowego, który na nasz widok rzucił łopatę i rękawicę, stanął wyprostowany, przyłożył sobie dłonie do twarzy, jak czynią muzułmanie, i zaczął odprawiać krótką fatę [\[6\]](#)? W Evon, gdzie spaliśmy w ogrodzie u Zoi, zanim pozwoliła nam odjechać, kazała nam na chwilę przystanąć i powiedziała, że musi się teraz za nas pomodlić. Zoyę zdążyliśmy już poznać, zjedliśmy razem dwa posiłki i wypiliśmy u niej niejedną herbatę.

Ale ci obcy?

Otoczeni ogromem Gór Fańskich, pustką poprzecinaną wąwozem rzeki Zerawszan, wśród ośnieżonych szczytów i zielonych pól ukrytych na żwirowych placach, których jeszcze nie zabrała rzeka, wśród zakrętów poranionej drogi zajechaliśmy na chiński asfalt. Pożegnał nas mały pomnik z wrytymi nazwiskami, datą i przyczepioną kierownicą samochodu. W dole, głęboko w dole szumiała groźnie rzeka. Razem z drogą odbierały co roku życie. Droga porywała ludzi na zakrętach, rzeka — w czasie powodzi. Na skarpach, gdzie droga przegrywała z rzeką, na mostach, które przegrywały z czasem. We wsiach, gdy rzeka wzbierała zbyt szybko i nie było czasu uciec. Jechaliśmy pijani życiem po raz setny i po raz setny nie umieliśmy powiedzieć o nikim złego słowa, jakbyśmy byli jakimiś nawiedzonymi misjonarzami. Wciąż powtarzaliśmy rodzinie i znajomym, że jest dobrze, że wszyscy o nas dbają. Jak w tanim serialu o miłości.

Miasteczko nazywało się Dangara, co jakby z angielskiego prowadziło w stronę "Niebezpiecznie" [\[7\]](#). Jednak to był Tadżykistan i po angielsku mało kto tutaj umiał, więc i nazwa nijak się miała do atmosfery, choć Dangara leży w prowincji Khatlon, która słynie nie tylko z bawełny, ale i z radykalnego islamu oraz wpływów talibów.

Na noc przygarnął nas do domu młody chłopak. Najzwyczajniej podjechał do nas samochodem, i to nie byle jakim, bo jakąś wielką (czytaj: drogą) toyotą, zapytał, skąd jesteśmy i czy zostaniemy u niego na noc. Zapytaliśmy, czy aby na pewno, a on to tylko skwitował: "oczywiście, że na pewno. Jestem przecież muzułmaninem".

Tahir, bo tak miał na imię, zabrał nas do wielkiego domu swojego ojca. Na podwórku, za wysokim murem i wysoką bramą, leżał kopczyk ciemnej soli. Tak duży, że zwrócił naszą uwagę. Nie mogliśmy się domyślić, po co komuś aż tyle soli, w dodatku wilgotnej. Dopiero Tahir wytłumaczył nam, że niedaleko stoi góra soli — Khoja Mumin, która wznosi się na pół kilometra ponad dolinę i najzwyczajniej w świecie, gdy ktoś potrzebuje soli, wystarczy, by jej sobie nabrał. Jedyne problem to wilgotność, ale tadżyckie słońce ponoć szybko sobie radzi z suszeniem soli.

Wyliczono, że góra zawiera w sobie... 30 miliardów ton soli. Sam Marco Polo wierzył, że wystarczy jej "do końca świata".

Tahir posadził nas w przepięknym salonie, nie do końca odpowiednim dla rowerowych brudasów, ale przecież to nie on tu sprzątał, więc i nie było to dla niego problemem. Na stole pojawiły się gorące smakołyki. Jakieś frytki, sałaty i kawałki wołowiny, które kusily. Od kilku długich dni nie jedliśmy niczego, co dałoby nam siły.



My jedliśmy, a on opowiadał.

Z początku nieśmiało, ale już po chwili emocje rozpedziły jego język. Zaczął opowiadać szybko i z charyzmą.

"Zawsze chciałem pojechać do USA. Zawsze. Od kiedy pamiętam. Ojciec powiedział: »Jedź! Dam ci pieniądze na wizę i podróż. Jedź, zobacz świat, poznaj ludzi, naucz się języka«. I pojechałem. Za wizę zapłaciliśmy 3000 dolarów. Nie ambasadzie, tylko agencji, która wszystko załatwiła. Kilka tygodni czekania, i wreszcie jest! Wiza i bilet. Do Denver.

A tam... niespodzianka i szok. Właściwie to rozczarowanie, jakby ktoś mnie

kopnął prosto w żołądek albo niżej.

»Skąd jesteś? Tadżykistan? Zaraz! To jakoś obok Afganistanu? Muzułmanin? Ty też lubisz Bin Ladena?«. I tak raz za razem.

Pewnego razu sąsiad coś do mnie miał i zaczął się dobijać do drzwi i krzyżeć, że im tu nie trzeba obcokrajowców, pieprzonych Bin Ladenów. Przyjechała policja i... aresztowała mnie na kilka dni »do wyjaśnienia«. Na nic tłumaczenia, że jestem Tadżykiem, że mam paszport, wizę itd. Pchałem się do tego kraju, wydałem majątek, by tam przyjechać, i na koniec zrobili ze mnie terrorystę, Bin Ladena, bo byłem z »-stanu«.

Przez moją wiarę, przez kolor skóry, przez państwo - sąsiada.

Szok!

Potem wyjechałem do brata, do Waszyngtonu. Było lepiej. Bardziej międzynarodowo, ale i tak po trzech miesiącach wróciłem do domu. Angielskiego za dużo się nie nauczyłem, ale o USA dowiedziałem się bardzo dużo i do dziś mi przykro".

I dukał to wszystko po angielsku, zawieszając się czasem w swych myślach. Starał się, jak tylko mógł, i za nic nie chciał rozmawiać po rosyjsku. Nagle, pewnie po to, by zmienić temat, włączył telewizor, żeby pokazać nam, jak sam się uczy angielskiego. Wcale nie z BBC czy CNN, bo "tam mówią niewyraźnie i za szybko", ale z... Biblia TV, bo jest "powoli i bardzo wyraźnie". Tak oto muzulmanin z Tadżykistanu uczył się angielskiego z amerykańskiego chrześcijańskiego kanału TV.

Koniec świata

Pamir jest miejscem na peryferiach. Nie ma prądu, nie ma drzew ani tabletek od bólu głowy i setek innych rzeczy, bez których Europejczyk nie potrafi już żyć.

Przewrotnie śmiesznie jest być peryferiami, marginesem, w miejscu, które ktoś nazwał Azją Środkową. Jakież w tym szyderstwo i niezamierzona złośliwość!

Z Moskwy ponad 3000 kilometrów.

Z Pekinu prawie 4000 kilometrów.

I to w linii prostej.

Koniec świata.

Gdy jeszcze istniało rosyjskie imperium, stacjonowała tu armia. Zbudowano drogę, przywieziono lekarzy i inżynierów. Nie z miłości do Pamirczyków oczywiście, ale dla tej właśnie armii. Armia nie tylko tu, ot tak, "stacjonowała", ale przede wszystkim podbijała i szpiegowała.

Imperium brytyjskie leżało za kilkoma łańcuchami górskimi i nie było jeszcze rozstrzygnięte, do kogo będą należały te tereny. Szpiedzy, tacy jak na przykład Bronisław Grąbczewski, wyprawiali się nie tylko do Wachanu, ale nawet do Chitralu i Hunzy [\[8\]](#).

Brytyjczycy byli w panice. Armia rosyjska stacjonowała kilkanaście kilometrów od ich imperium!

Gdy państwo carskie przemianowano na ZSRR, komunistyczna władza, która dotarła tu dopiero trzy lata po rewolucji, zbudowała szkoły, pociągnęła linie wysokiego napięcia. Jakby dbała o ludzi. Zimową porą przywożono z Kirgistanu siano dla jaków, wzmocniono drogi i przede wszystkim wysyłano dzieci do szkół.



ZSRR umarł i skończyła się nowoczesność.

Skończył się prąd, dotacje, wszelka pomoc. Pamir po raz pierwszy od wielu lat został sam, dzierżąc swój los w swoich rękach, i skończyło się to wojną domową. Zdarza się.

Dla nowo powstałego Tadżykistanu Pamir stał się niepotrzebnym garbem. Daleko, zimno, bieda aż piszczycy, droga tylko jedna, i w dodatku w fatalnym stanie, a na dokładkę większość mieszkańców to Kirgizi, Wachowie i, żeby odebrać im resztkę godności, ismailici.

Władza w Duszanbe jest sunnicka, a ismailici to odłam szyitów, w dodatku bardzo liberalny. Ismailici głoszą, że prawo islamskie (szarijat) powinno zostać zniesione. Odrzucają sunnickie interpretacje Koranu i wszystkie formy modlitwy znane z tradycji sunnickiej. Interpretują naukę islamu w sposób duchowy, który uwalnia ich od bezmyślnego trwania przy modlitwach, poście czy pielgrzymce.

Dla ismailitów przetrwanie na dużych wysokościach jest ważniejsze od

ramadanu, czyli ścisłego postu.

Dla sunnitów w Duszanbe ismailici są grzesznymi lub "bezbożnymi Ruskimi".

Godzina nauki jest dla ismailitów ważniejsza od kilku godzin modlitwy.

Dla sunnitów są z tego powodu heretykami.

Rzeczą normalną dla ismailitów jest rozebrać się przy innych kąpiących się do naga.

Dla sunnitów to jakaś perwersja.

Teraz o te góry i o tych ludzi dbają przede wszystkim... Chińczycy i oczywiście, jak wszyscy wcześniej, wcale nie z miłości. Wybudowali sobie przejście graniczne, remontują drogę i rozwożą po kraju swoje dobra. Plastikowe krzesła, kalosze i kurtki na wacie.

Pamir to taki koniec świata. Miejsce, które udowadnia, że człowiek może liczyć tylko na siebie lub najbliższych. Nie na państwo, ale na sąsiadów. Nie na władzę, ale na mieszkańców sąsiedniej jurty.

Pamir to miejsce, w którym dobry sąsiad jest tak ważny jak rodzina. Od niego może zależeć przetrwanie kolejnej zimy, kolejnej choroby czy przednówkowego głodu. Im bardziej nieprzyjazne jest miejsce, tym bardziej przyjaźni są ludzie.

Dla człowieka podróżującego po tym Bamianie, czyli Dachy Świata, jak nazywali go Grecy, otwiera się droga pełna wyzwań. Nie tylko tych oczywistych, fizycznych, związanych z warunkami i własną słabością, ale i tych wewnętrznych — tych międzyludzkich, kiedy ludzie mający tak niewiele, a potrzebujący tak dużo, wciąż się z nami dzielą tym, co mają. Chlebem, którego może im zabraknąć; własnym dachem, pod którym jest ciepło i bezpiecznie; sercem i przyjaznym traktowaniem. Oni też musieli się nauczyć, że świat jest im przyjazny. Po latach krwawych wojen z sąsiednim Afganistanem, kiedy to wojska afgańskie wyrzynały nie tylko wojskowych, ale i grupy uchodźców, kiedy to Chińczycy nakładali na nich podatki, a Kirgizi porywali ludzi jako niewolników, przyszedł czas rosyjskich i radzieckich porządków. Spokoju.

Dziś inny świat przyjeżdża do nich. Świat zafascynowany Pamirem, wielkimi płaskowyżami otoczonymi jeszcze większymi górami. To świat, którego potrzebują, by o nich nie zapomniano, by im ktoś pomógł w dogonieniu reszty świata.

Pamir każe otworzyć serce i spojrzeć na ludzi mieszkających w jurcie i oddających ci chleb, jogurt i resztki smażonej ryby, i zapytać, dlaczego w ich oczach nie ma smutku, żalu i narzekania?

Skąd w nich tyle siły?

A może oni wyglądają na takich silnych tylko przy nas?

Przy nas, którzy jesteśmy rozpuszczeni dobrobytem?

Przerażeni stanem konta w banku?

Brakiem ubezpieczenia zdrowotnego?

A może ich siła bierze się z tego czystego powietrza i wody?

A może, żyjąc na końcu świata, żyją w jego najbezpieczniejszym zakątku? Może, nie wiedząc o konsumpcji, nie znają pożądania i co za tym idzie, smutku i rozczarowania?

Świat stoi przed nami otworem. Jest białą kartą, którą zapisujemy we własnych umysłach i duszach. Dodajemy mu imion i wartości. Dodatnich lub ujemnych. Nadajemy rzeczom imiona, tworząc z nimi więź. Człowiek jest tylko człowiekiem, brat to już relacja, jakieś zaufanie i nadzieja. Bliskość zaufania i przepaść rozczarowania.

Pamirska bieda przeraża swą ciszą.

Nikt z nich nie podnosi głosu.

Nikt za nich nie podnosi głosu.

Nikt nie demonstruje.

Nikt nie krzyczy.

Nikt nie wali pięścią w stół.

Nikt nie pali opon pod pałacem prezydenta.

Nikt nie narzeka.

Nikt nie kręci filmów dokumentalnych ani hollywoodzkich epei.

Nikt się nie przejmuje.

Pamirska bieda jest dla mnie czymś fascynującym. Nie tyle ona sama, co targani nią ludzie, którzy odpowiadają na wszystko ciężką pracą i uśmiechem. Pod jednym względem nas przewyższają: nikt im nie wmówił, że coś im się należy. Nikt im nie natłukł do głowy, że państwo ma wobec nich jakieś obowiązki. My będziemy się kłócić, burzyć, protestować, żądać. Oni pójda spokojnie paść jaki, bo i tak nikt im nigdy nie pomoże.

Chyba że rodzina lub sąsiad.

Na pewno nie jakiś tam abstrakcyjny rząd w mieście pełnym drzew, samochodów i pałaców.

Pamirska bieda to nie tylko brak pieniędzy, brak lekarstw czy takich abstrakcyjnych rzeczy, jak prąd albo... ubezpieczenie. Pamirska bieda ma całkiem życiowy wymiar.

Na przykład ludzi nie stać na zdjęcie do dowodu osobistego... w garniturze. Mężczyźni robią sobie zdjęcia gdzieś w mieście, a w fotolabie ktoś, używając komputera, wkleja ich głowy w zdjęcie garnituru. Koszula, krawat. Pełen szyc i splendor. Jak cywilizowany człowiek. Bogaty. Chociażby to miało być tylko w dowodzie stwierdzającym tożsamość. Oczywiście stwierdzającym wśród obcych, bo we wsi i tak go wszyscy znają i taki papier do niczego mu nigdy nie był potrzebny. Ale gdy upomni się o niego armia albo policja, to musi coś udowodniać. Na przykład swoje imię albo miłość do kraju i oddanie ojczyźnie.

Ślub. Wiadomo: dla pobożnych ludzi to jedyny taki dzień w życiu. Drugiego takiego już nigdy nie będzie. Warto zaprosić pół świata i niech się bawią, niech się cieszą z wielkiego cudu harmonii dwojga ludzi.

Czasem ślub to pułapka. Pieniądzy jest mało, a te pół świata czeka i wpycha się drzwiami i oknami na wesele i darmowy płow. W takich chwilach nie sposób odmówić. W końcu samemu nieraz się wpychało na podobne imprezy, to i głupio teraz narzekać. Na szczęście, z powodu tej właśnie tadżyckiej biedy, prezydent **Emomali Rahmon** w ramach troski o swoich "podwładnych" wprowadził... zakaz urządzania wielkich wesel. Tak do 150 osób to jeszcze wolno, a powyżej tej liczby już nie. Tak czy inaczej, sam płow będzie kosztował ze 150 dolarów, co przy zarobkach takiego choćby nauczyciela oznacza czteromiesięczną pensję. Jest przepis: można nieproszonym, nadliczbowym darmozjadom pokazać oficjalnie, gdzie są drzwi. Gdzie raki zimują, gdzie pieprz rośnie lub zwyczajnie — powiedzieć "paszoł won!". Można, i to oficjalnie. Prawie jakby sam prezydent im to mówił. Można też się grzecznie wytłumaczyć i przeprosić.

Ale tego, jak wybrać, kogo zaprosić, a kogo nie, prezydent już nie objaśnił. Tę odpowiedzialność za ewentualne wielopokoleniowe konflikty i zadry trzeba wziąć na siebie.

Tak jak ze zdjęciami do wszelkich dokumentów, dzieje się też ze zdjęciami typu "pamiątka ze ślubu". Pan fotograf robi młodym portrety i wkleja je komputerowo w piękną fotografię katolickiego (!) ślubu pełnego kwiatów i świec. Przede wszystkim jednak chodzi tu o ten wystrzałowy garnitur i przecudną suknię ślubną.

Bieda ma wiele twarzy.

Bieda to nie tylko dom - ruina czy obdarte ubrania.

A my?

My byliśmy bogaci jak krezusi.

Mieliśmy dla siebie cały nasz czas i żadnych obowiązków.

Nie biegaliśmy co rano do pracy.

Mieliśmy czas. Cały czas.

Nieprzebrane, przepastne i bezdenne zasoby czasu.

Takie to nasze nowoczesne bogactwo.

Wyruszyliśmy na podbój Szosy Pamirskiej. Jej nierówności, wylewającej się na nią rzeki i otaczających nas widoków. Ruszyliśmy ku Pamirowi, ku Końcowi Świata.

I stała się rzecz niebywała. Rzecz dla nas tak rzadka, tak zapomniana, że zamiast zatrzymać się i nasycić oczy i serce, pojechaliśmy powoli dalej, niczym intruzi.

Przed niewielki domek wyszedł młody muezin. Domek był tak skromny i niepozorny, że niemuzułmaninowi trudno byłoby dostrzec, że to może być coś więcej niż skromna chata — że to meczet.

Muezin stanął spokojnie na niewielkim murku wzmacniającym pobocze drogi, przymknął oczy, przyłożył dłonie do uszu i przejmująco czystym i spokojnym głosem zaczął śpiewać adhan. Powietrze wypełniło się dźwiękiem tak przejmującym, tak wzruszającym, że, zauroczeni, nie mogliśmy sobie znaleźć miejsca. Oczy utkwiliśmy w sobie nawzajem i powoli, bardzo powoli odjechaliśmy dalej, by nie przeszkadzać.

Od kilku już dni jechaliśmy wzdłuż i w górę rzeki Pandź, i rzeka ta była niczym przepaść. Niczym brama do czegoś tak bardzo innego, obcego. Nie ma już trzęsących się mostów z drewna. Czas zerwał sznurowe mosty, które przerażały swym rytmicznym bujaniem się na obie strony. Nikt nie buduje już mostów z gupsarów [\[9\]](#), po których przechodziły karawany jaków. Za sprawą historii i mediów tam, po drugiej stronie, piętrzyło się wmawiane nam przez wszystko i wszystkich Zło.

Dzielią nas ideologie, a łączą marzenia i obawy. Jak zawsze.

Po drugiej stronie rzeki toczy się życie, które znamy tylko z TV i gazet. Znamy na niby, bo nasze media wciąż bombardują nas złymi obrazami. Burkami, długimi brodami, karabinami i innymi synonimami zacofania i nienawiści.



Tymczasem w "tym Afganistanie", jakieś 100 metrów obok, po drugiej stronie rzeki, żyją ludzie bardziej zajęci zniwami niż czymś więcej. Co prawda pojawiają się kobiety w burkach, ale o wiele więcej kobiet chodzi w czerwieniach i ciężko pracuje przy snopkach i młocce. A młocka tu jest ciekawa. Nie taka jak w Tadżykistanie, czyli "na asfalcie", gdzie zboże młóca przejeżdżające po nim ciężarówki; tu odbywa się to "na klepisku", po którym w kółko chodzą krowy. Skoro pogranicznicy w Zigar śmiali się, że osioł to "afgański samochód", to czemu krowa nie miałyby być "afgańską ciężarówką"?

Po drugiej stronie rzeki fascynuje zieleni wypływająca jakby z górskich potoków. Kilometry skalistego pustkowia eksplodują zielenią wszędzie tam, gdzie pojawia się choćby niewielki potok. W tej zieleni powstają kamienno-gliniane proste domy, obsadzone dookoła drzewami, i sady. Jacyś mężczyźni podrzucają wysoko widłami zboże, z którego wiatr wywiewa plewy, i niemal wszędzie świeci się światło. Nawet w dzień. Może z rozpusty, a może dla kontroli? Jeżeli zgaśnie żarówka, wiadomo, że przestała działać jedna z wodnych turbin. Nie są znowu jakieś wielkie, ale w niektórych wioskach naliczyliśmy ich nawet po 7 - 9. W takim kraju jak Afganistan budować takie proste wodne turbiny musi być łatwo. W końcu w kraju, w którym jest tak niewiele, wprowadzanie czegoś nowego jest łatwe. Naturalne i proste. To my, zgnuśniali w tym, co już mamy i znamy, musimy zmieniać schematy myślenia. Dla nich wszystko jest technologicznie nowe i łatwe do przyjęcia.

Gdy podziwialiśmy krajobrazy, w afgańskim Badachschanie ktoś zamordował zagranicznych lekarzy pracujących w jednym z obozów. Kto? Nie wiadomo, ale pamirczycy tadżycy nie chcą mieć z afgańskimi do czynienia. Przynajmniej tak twierdzą. "Bo oni są niewykształceni, bo są fundamentalistami i nie szanują kobiet. A pamirscy muzułmanie tacy nie są".

Afganistan, ten niewielki skrawek "za rzeką", urzeka ogromem gór,

pięknem surowego krajobrazu i niewielkimi poletkami zboża w miejscach (wydawałoby się) tak niedostępnych, że trzeba desperacji, by je uprawiać. W krainie kamieni ziemia musi być czymś najcenniejszym. Pozwala przeżyć kolejny rok. Kolejną zimę. Dosłownie.

Dopóki nie stopnieją śniegi, nie można się ruszyć, wezwać pomocy, iść do najbliższego miasta do lekarza.

Po drugiej stronie rzeki ciągnie się niewielka dróżka, którą idą mężczyźni w szelwarach [\[10\]](#), z niewielkimi plecakami, czasem karawany prowadzonych przez kogoś osłów objuczonych workami albo jakiś motocyklista. W tym roku woda w rzece jest wyjątkowo wysoka i część z tej dróżki ciągnie się pod jej powierzchnią. Co bardziej odważni i zdesperowani brodzą po pas w rwącym nurcie. Ci z osłami i mniejszą desperacją wspinają się ścieżkami w górę, obchodząc złośliwą wodę.

I co chwila ktoś tę drogę naprawia. Nie maszynami, ale łopatami i kilofami. Czasem zupełnie za darmo. Zdarza się, że ktoś ma trochę pieniędzy, tyle, by kupić te łopaty i kilofy, a młodzi wyruszają w góry do pracy. Jakby w czynie społecznym, bo na ich pracę nie ma już funduszy, ale co to za charytatywność, skoro tę drogę i tak trzeba wyremontować. Nikt tu nie przyjedzie i jej dla nich nie wybuduje. Muszą o siebie zadbać sami. Tak samo jak przed setkami lat. Nad ich głowami latają od czasu do czasu amerykańskie drony z XXI wieku, a oni pracują, jakby czas się zatrzymał w XV stuleciu.

Gdyby na świat popatrzeć pionowo, to wszystko wygląda inaczej. Lecisz na przykład nad Pakistanem, siedzisz w samolocie i nie wiesz, czy chcesz się napić soku, czy koniaku, a 10 kilometrów pod Tobą żyją ludzie, którzy mają prawdziwe problemy. Takie związane z pełną miską ryżu, brakiem prądu i z toczącą się dookoła wojną.

Gdyby popatrzeć na to inaczej, to owo "pod" jest dokładnie "obok".



Co jakiś czas po drugiej stronie pracują grupy młodych mężczyzn. Pracują wytrwale i od czasu do czasu któryś z nich... do nas macha. Czasem jako pierwszy domaga się gwizdami i okrzykami naszego zainteresowania i trzeba mu odmachać. Czasem ktoś inny wcale nie reaguje na nasze zaczepki. Jest wesoło i smutno zarazem. Kiedy się patrzy na ludzi uwięzionych rzeką, historią i tradycją, nie jest łatwo się nie smucić i nie czuć choć odrobiny współczucia. Kiedy się patrzy na roześmianych, machających do nas robotników, trudno się do nich nie uśmiechnąć i można mocno wierzyć (i widzieć), że ludzki duch zniesie wszystko. Bez względu na przypadek rządzący miejscem naszych urodzin.

Pewnego dnia zatrzymała się obok nas ciemna wołga, w której siedziało dwóch staruszków i widać było... ładunek arbuźów. Kierowca przez okno wyściskał nam dłonie, zapytał tradycyjnie "atkuda?" i czy "wsjo w pariadkie". Uśmiechnął się i pojechał dalej. Spojrzeliśmy tylko na siebie i zmarszczyliśmy czoło. Hę? Jak to tak? Nie dał nam arbuza? No co jest?!

Okazało się, że doświadczane przez kilka miesięcy podróży gościnność i życzliwość przyzwyczyły nas do prezentów. Stało się to dla nas tak naturalne, że jakby... oczywiste. Zanim zdążyliśmy się zawstydić i zastanowić, usłyszeliśmy za sobą klakson i w oknie wołgi pokazał się znów staruszek-kierowca z wielkim arbuzem w rękach i... przeprosinami!

Wstyd! Jak mogliśmy w nich zwątpić?

Wstyd ponownie, bo czegoś od nich oczekiwaliśmy.

Podróże zmieniają człowieka na wiele sposobów.

Jak bardzo mały jest człowiek! Jak w swych mądrościach głupi! Ogląda, podgląda i wyjaśnia. Całe życie wyjaśnia, co, jak, gdzie, kiedy itp., a mało co z tego umie sobie wyobrazić.

Bo jak taka mała drobinka jak człowiek może sobie WYOBRAZIĆ i prawdziwie pojąć, co się działo w Pamirze, gdy te wszystkie góry się fałdowały i wypiętrzały?

Patrzyłem na górę. Litą niemal skałę, poprzecinaną z góry do dołu kolorowymi pasami różnych warstw. Wiedziałem, co te warstwy znaczą, ale nie umiałem sobie wyobrazić tej siły, potęgi, która zmusiła je do takiego kształtu.

We wszystkich większych wioskach, na ostrych zakrętach, podjazdach lub przy strumykach, przy których zatrzymywali się kierowcy, by nabrać wody, stały dzieci i próbowały sprzedać talerze pełne pomidorów lub papryki i wiaderka pełne jabłek. Cały dzień stały w grupach w różnym wieku. Wypatrując nadjeżdżających kamazów i taksówek. Zawsze miały czas na chwilę rozmowy, na pamiątkowe zdjęcia, ale wystarczyło, że usłyszały odległy ryk silnika, by porzucić nas i ruszyć biegiem w stronę ciężarówki. Talerz pomidorów kosztował 1 somoni, czyli jakieś 65 groszy. Za te pieniądze można było kupić lepioszkę, dzbanek herbaty, "szklanę" benzyny. Dla tych pieniędzy warto było stać pół dnia.

A droga? Droga była w takim stanie, że na moje naiwne pytanie w pewnym ze sklepów o jajka kochana Pani Sprzedawczyni odparła: "U nas jajek nie ma. Nie dojeżdżają. Drogę przecież widziałeś!". Zachodzimy do takich sklepów codziennie, a dużo ich tu nie ma. Niby w każdej wsi, ale często zamknięte, i trzeba szukać właściciela, by otworzył. Sklepek mały, często niby bunkier z małym okienkiem. W środku, na drewnianych półkach cukier, ryż, kasza gryczana, tani, rozgotowujący się makaron, puszki ryb i skondensowanego mleka. Repertuar zamykają herbatniki, cukierki i lepkie, ciepławe napoje. Po chińskiej stronie granicy półki uginają się od wszelkich smakołyków, ale tutaj to jest wszystko. Normalnie jakoś by mi to nie przeszkadzało, pewnie nawet bym nie zauważył, ale jeśli się je ciągle to samo, przez kilkanaście dni, na wysokości ponad 4000 metrów, nawet skondensowane mleko... brzydnie.

Z czasem człowiek staje się koneserem drobiazgów.

Z czasem zauważa różnicę między mlekiem z Rosji, z Kazachstanu czy Malezji.

Z czasem dywaguje z innymi, dlaczego to malezyjskie jest lepsze od kazachskiego. Które lepiej rozsmarowuje się na chlebie, a które leje się po palcach.

Takie było to nasze pamirskie filozofowanie nad puszką skondensowanego mleka, nad puszką makreli w pomidorach lub nad tureckimi batonikami. W pustce krajobrazu i żołądka.

Człowiek, gdy jest młody, to rzadko jest mądry. To znaczy, jak go zapytać, to wiadomo, co można by usłyszeć: zjadł wszystkie rozumy i wszystko wie. Ma na wszystko odpowiedź. Cudem przeżywa wszystkie eksperymenty z używkami, bunty, eskapady, skoki, wspinaczki. Jakimś cudem prawie nikt nie ginie i nikt nie zostaje inwalidą. Kilka osób kończy jako nastoletni rodzice, a ktoś inny jako narkoman. Nie każdy ma tyle szczęścia, ale na ogół tak jest.

Młody człowiek w tej swojej wszechwiedzy wie, co jest dobre, co złe, co mu potrzebne, a co nie. Każdy z nas przez to przechodził. Większość wyrosła, a niektórzy... jeszcze zdążą.

Miałem kiedyś taką nauczycielkę rosyjskiego, którą uważałem w swej ówczesnej "wszechwiedzy" zwyczajnie za głupią. Myślałem, że nie będę się za bardzo uczył, bo jej nie lubiłem. Wierzyłem przecież, że uczę się, bo mi każe, a nie — bo warto. W drugiej klasie technikum, z moim najlepszym wtedy kolegą Robertem (było nas w klasie aż pięciu Robertów), układaliśmy śmieszne dialogi. Śmieszne dla nas oczywiście, bo nauczycielka na początku się peszyła, a potem zwyczajnie wściekała. Z czasem przestała nas pytać. Jak zadała nam do domu "dialog u lekarza", to my z Robertem zrobiliśmy szybko dialog "u ginekologa". W końcu to też lekarz.

Po dwóch latach dałem dyla do liceum i trafiłem na małą, przesympatyczną i bardzo mądrą nauczycielkę. Do niczego nas nie zmuszała, wiedziała, kiedy kombinowaliśmy, i wbijała nam do głowy, że uczymy się dla siebie, a nie dla ocen. Oczywiście my tego nie rozumieliśmy i... szesnaście lat później stałem jak ten skończony kretyn w rosyjskojęzycznym kraju i dukałem.

Mówiłem po polsku i dodawałem do wszystkiego "-sja", żeby to przynajmniej brzmiało po rosyjsku.

A oni za wszelką cenę chcieli rozmawiać. Zadawali pytania i oczekiwali ZROZUMIAŁYCH odpowiedzi. Rosyjski wracał. Wielkimi krokami. Już nie tylko wykute na blachę i zapamiętane do grobowej deski wierszyki i piosenki o tym, że "zawsze niech będzie słońce i zawsze niech będzie mama", ale i słowa. Czasowniki!

Jakby tego było mało, jechaliśmy małą grupą. My, dwoje Niemców i troje Szwajcarów. No i gdy tylko ktoś z tubylców chciał pogadać lub o coś zapytać, to wszyscy rowerzyści pokazywali od razu na mnie.

Podszedł na przykład Ali i pyta szczerze, kto tu z nas po rosyjsku potrafi. Nie pytał o perski, uzbecki, kirgiski czy bardziej lokalny. Jeszcze tego by brakowało, żeby jakiś rowerzysta z dredami na głowie znał jeden z tych języków. Może i tutaj każde dziecko zna z pięć różnych, ale na turystę raczej nie ma co liczyć. Jak Bóg da — "inszallah", jak mawiają muzułmanie — to może po rosyjsku. No i wszystkie palce na mnie. Pan Ali, uradowany, zarzuca mnie pytaniami, no i po mojej przerwie na czekoladę. Przecież nie będę z nim rozmawiał z pełnymi ustami. Cwaniaki!

Pierwsze zawsze pada pytanie uniwersalne na całym świecie. Bo nie ma takiego miejsca, żeby ktoś nie pytał: "Atkuda wy?". Języki się może zmieniają. Może w niedalekim Pakistanie jest to "Which country mister?", w kraju Masajów zapytają "Unatoka wapi?", ale zawsze znaczy to to samo.

Skąd jesteś, kolego? Trzeba cię jakoś umiejscowić na mapie świata i historii. Walczyliśmy przeciw sobie czy ramię w ramię? Może nawet znam tam kogoś? A może nie?

Ali akurat znał. "Polsza, powiadasz. Jak studiowałem historię i archeologię w Taszkencie, to było tam wielu studentów z Sajuza. Wasi też byli. Słowianie to dobrzy ludzie. Widzisz, wszyscy Słowianie to — jak by nie patrzeć — bracia. Z tego samego plemienia muszą pochodzić. Tutaj wszyscy obcy. Tadźcy, Uzbegy, Kirgizi, Wachowie i cała reszta są sobie jakoś tam obcy. Wrodzy nawet. A my, Słowianie, to wszyscy bracia. Ty i ja. A ci twoi Niemcy tutaj to już Germanie. Wrogowie historyczni, ale dogadać się trzeba, bo koniec końców to my wsje braty, panimajesz?"



Nie wiem, dlaczego nigdy go nie zapytałem, co robi archeolog na afgańskiej granicy, pod tablicą ostrzegającą przed radzieckimi minami, które Armia Czerwona dobrodusznie zostawiła w trakcie odwrotu z Afganistanu (najpierw miny, a zaraz potem tablice). W niewielkiej wioseczce, na końcu świata. Pewnie uczył w lokalnej szkole historii. Albo wszystkiego — od matematyki po pięć lokalnych języków — i przy okazji "czatował" na turystów, by zagadać i sprawdzić, wpisać sobie na listę, skąd przyjechali.

Rozbiliśmy namioty obok posterunku policji. Nie mieliśmy siły, by przejechać głupie kolejne 6 kilometrów i spać już we wsi. Trzeba było wspiąć się 200 metrów w górę na tak krótkim odcinku, a wycie silników przypadkowych samochodów i szum spadającej w dół rzeki odebrały nam

resztkę sił.

Zapytaliśmy policję, czy możemy rozbić gdzieś namiot, a oni tylko wzięli nasze rowery i sakwy i zaprowadzili nas na łąkę. Kazali przyjść po wodę, na herbatę, a może i na coś mocniejszego, i przekonywali, że "tutaj nie ma się czego bać".

Jeden z nich, tak jak już i inni wcześniej, opowiadał nam o wypadku polskiego motocyklisty [\[11\]](#). Musiało to być dla nich coś naprawdę ważnego, skoro tak wielu ludzi nam o nim opowiadało. Sami policjanci z posterunku mówili, jak im przykro, i pokazywali nam kluczyki od motocykla, który musiał zostać na jakiś czas w Tadżykistanie. Opowiadali, że wcześniej nic takiego się u nich nie stało. Kilka dni później na niewielkim mostku zobaczyliśmy polską flagę i niewielki napis.

Garm Chashma leży pomiędzy Khorogiem a Iszkaszimem, ale nie przy głównej drodze. Żeby tam zajechać, trzeba odbić od M-41 kilka kilometrów ostro w górę. Jedzie się wzdłuż niewielkiej rzeczki i jej pieniąca się woda tylko dodaje wyrazu stromiźnie drogi. Ciężki oddech i słabość w nogach można śmiało usprawiedliwiać, kiedy się patrzy, z jakim impetem woda podąża w dół.

Wieś od dawna, nawet w czasach ZSRR, nazywano Shund (lub Żunt), a tylko rzeka nazywała się Garm Chashma Darya. Z czasem wieś zaczęto utożsamiać tylko z gorącymi źródłami i z oczywistych powodów przemianowano ją na Garm Chashma.

Wieś przycupnęła w niewielkiej dolinie zakończonej masywem sześciotysięcznego Piku Majakowskiego, którego śniegi widać na końcu horyzontu. Ludzie postanowili zbudować tu domy i z czasem powstała wieś obok gorących źródeł. Koniec końców "garam chashm" znaczy właśnie "gorąca woda". Nie są to jakieś wielkie źródła. W większości z nich woda ledwie bulgocze, a tylko kilka z nich może wyrzucić wodę, i to zaledwie na kilka centymetrów.

U podnóża wybudowano betonowy basen (zastępując stary, drewniany) i kabiny do przebierania, choć i tak większość mężczyzn przebiera się, gdzie popadnie, nie zwracając uwagi na innych. Gdyby nie był to kraj ismailitów, byłoby to nie do pomyślenia. W końcu Tadżykistan to kraj muzułmański i nagość jest tu tabu.

Część mężczyzn przyjechała nawet z Samarkandy, gdyż woda ta jest znana z leczenia problemów skóry. Tuż obok stoi nowy basen, zabudowany dachem, i ten przeznaczony jest oczywiście dla kobiet. Dach chroni je przed wścibskim wzrokiem mężczyzn, ale "za karę" tworzy zjawisko sauny. O ile zimą może być tu nawet przyjemnie, o tyle latem... Nie powinno być zaskoczeniem, że dzięki gorącej wodzie lejącej się ze skały nikt w domu nie ma prawdziwej łązienki, bo i po co.

Wieczorem wieś nabiera kolorów wesołego miasteczka, gdy rozpalają się wszystkie płaszące światła przyczepione do fasady jedyne go we wsi hotelu. Młodzież zbiera się na moście, a turyści w jednej z dwóch restauracji.

My, zamiast w kiczowatym hotelu, rozlokowaliśmy się na podłodze w sali od biologii w szkole podstawowej, która latem robi za schronisko dla rowerzystów i im podobnych podróżujących. Ulokowaliśmy się pod zielnikiem zrobionym przez dzieci i portretami Lenina i Gagarina.

Tym razem nie przyjechaliśmy tu tylko dla siebie, ale i z misją.

Akcja "Pocztówka" powstała z potrzeby zrobienia czegoś więcej. Jeździliśmy troszeczkę po świecie i oglądaliśmy wszystko, czy to z siodełka, czy z okien autobusu, ale zawsze tylko oglądaliśmy. Przestało nam to wystarczać.

Kiedyś szukaliśmy w internecie różnych informacji i odkryliśmy akcję "Pocztówka za 10 zł". Miało to polegać na tym, że za każde wpłacone 10 zł wpłacający otrzymywał pocztówkę z miejsca, w którym akurat organizujący tę akcję byli. Oczywiście z pozdrowieniami itp.

Nasza akcja różniła się od tej opisanej w internecie tym, że reszta z wpłaconych pieniędzy miała być przeznaczona nie dla nas i nasze potrzeby, ale właśnie na to "coś więcej". Tym sposobem zebraliśmy trochę ponad 1000 zł! I to głównie od nieznanomych (!), którzy nie raz i nie dwa wpłacali więcej niż wymagane 10 zł.

Zdecydowaliśmy, że jeżeli pojedziemy do afgańskiego Wachanu, kupimy ile się tylko da kredek, farb itp. dla szkoły w Iszkaszimie. Jednak do Afganistanu nie pojechaliśmy i całą tę sumę przeznaczyliśmy na szkołę w Garm Chashma. Dlaczego akurat tutaj? Przez przypadek: poznaliśmy tam ludzi, Polaków, którzy wcześniej poznali Malika, dyrektora tej szkoły, i bardzo go polubili.

Nie chcieliśmy czekać w nieskończoność z wykorzystaniem zebranych pieniędzy i zajechaliśmy do Garam Chashm. Poznaliśmy Malika i okazał się on przesympatycznym człowiekiem, który emanował jakąś miłością do dzieci, pomimo że połowa szkoły była trzydziestoletnią rudera, a on sam zarabiał 300 zł miesięcznie. Nawet pomimo niedawnej rodzinnej tragedii jakoś ciągnął wszystko do przodu.



Oczarowywał nas swymi roześmianymi oczami i po półgodzinie czuliśmy się, jakbyśmy znali go całe życie. A on nas.

Pojechaliśmy razem z nim do Khorogu na zakupy. 1500 somoni to nie lada sumka i można za to dużo kupić. Układ był prosty: nie chcieliśmy dumać nad zakupami, zdaliśmy się tu na wiedzę Malika. Powiedzieliśmy: "Ty wybierasz, my płacimy, i o nic się nie martw".

Zamiast kredek i innych drobiazgów Malikowi zamarzyła się drukarko-kopiarka. Takie 3 w 1, czyli i skaner, i ksero, i drukarka. A najważniejsze w tym było ksero.

Gdyby nie jego kolega Dawid, pracujący jako "chłopak od komputerów" w Fundacji Agi Khana, nie wiedzielibyśmy, gdzie się ruszyć, ale on kazał nam tylko usiąść i wziął się za obdzwanianie tych kilku sklepów (Khorog to jakieś 30 tys. mieszkańców), i znalazł pięknego samsunga w jakimś sklepiku z telefonami. Malik tak się tym przejął i ucieszył, że nawet nie zrozumiał mojego dowcipu o tym, czy podoba mu się czarna drukarka, czy może jednak kupimy zieloną.

Niby zwykła drukarka. Niecałe 1000 zł, a na twarzy tego czterdziestoletniego mężczyzny pojawiły się wzruszenie, przejęcie, nerwowy uśmiech i znów wzruszenie.

W starym budynku szkoły, tam, gdzie odbywa się nauczanie początkowe, jest podłoga z płyty pilśniowej, piece-kozy w klasach ("bo zimą bywa -20°C "), poobdzierana tapeta i tylko jedna żarówka na całą klasę. Wszystko poprzystrajane dziecięcymi pracami, które aż żal zdjąć, bo dopiero wtedy widać, jak brudne są tapety. No i pensja dyrektorska to tylko o 70 somoni (16 dolarów) więcej od zwykłej nauczycielskiej.

Dla mnie, jako nauczyciela, to trochę za dużo, by przejść obok i nic nie poczuć. Nie pomyśleć o tych wszystkich rozpuszczonych dobrobytem dzieciach, "którym się nie chce", gdy tutaj wszystko jest na wagę złota.

Na szczęście świat nie jest tylko ponury. W Garam Chashm jest spokojnie, cicho, świeżo i zawsze można pójść się wykąpać w gorących źródłach albo napić mocno żelazowej wody mineralnej, której źródło bije po drugiej stronie wsi.

Albo można liczyć na kilku Polaków: czy to Darka "Elwooda", czy ekipę wspinaczy Afganistan2010, czy takich dwoje z fundacji Ku Słońcu, którzy się zbiorą i ich tu odwiedzą, by jakoś pomóc. Obdarować książką, mapą, drukarką, dobrym słowem.

Patrząc na mapę świata, na kilka niepozornych miejsc na niej, w których pozostawiłem kawałek serca. Na mapę, na której możemy pokazać palcem miejsca, o jakich niemal nikt "zwyčajny" nie słyszał, gdzie żyją ludzie, którzy otworzą nam drzwi o każdej porze dnia i nocy i ugoszczą przynajmniej herbatą.

Podróżowanie jest najcudowniejszym sposobem zmniejszania świata.

Dobry homestay [\[12\]](#) to prawdziwy skarb. Ktoś dzieli się z nami swoim domem, swoją życzliwością i robi wszystko, by czuć się u niego jak w gościach. Oczywiście, że robi to dla pieniędzy, ale w świecie, gdzie turysta i tak nie ma za bardzo wyboru, wystarczyłoby dobrze i dużo ugotować i dać komuś spać. Jednak DOBRY homestay to coś więcej niż biznes. To wizyta u kogoś w domu. To nic innego jak odpłatna gościna, zorganizowana życzliwość i opieka. Nie tylko obrona przed pogodą, "wilkiem złym" i wszelkimi trudami podróży, ale chyba najbardziej przed głodem. W kraju, w którym trawa dorasta kilku centymetrów, czasem urośnie dziki szczypior, a w sklepikach jest tylko "niewiele więcej niż nic", dla podróżnego takie miejsce to opieka i pełny żołądek.

I za to się płaci. Za objadanie tubylców, którzy specjalnie dla nas kupują dodatkowe jedzenie.

W Langarze, wsi na końcu Korytarza Wachańskiego, zatrzymaliśmy się właśnie w takim homestay. Jako małżeństwo dostaliśmy sypialnię właścicieli, a reszta turystów spała pokotem w głównej sali.

Oczywiście, że można dyskutować, czy 15 dolarów za nocleg i wyżywienie w kraju, w którym nauczyciel zarabia 50 dolarów miesięcznie, to dużo. Ważniejsza byłaby chyba dyskusja nie o tych 15 dolarach, ale właśnie o tych 50. Czy te 15 to niedorzecznie, czy te 50 to nieprzyzwoicie mało?

Jeżeli nauczyciel musi obok szkoły uprawiać grządki, hodować kury i jakąś kozę, to może to uwłaczać jego wykształceniu i latom spędzonym na nauce.

Jeżeli nauczyciel rezygnuje z pracy w szkole i woli wypasać czyjeś jaki, bo wtedy "zarabia więcej pieniędzy i ma więcej spokoju", to nie zapowiada to świetlanej przyszłości tego kraju. Ani żadnego innego.

Jeżeli spojrzeć na pamiński dom z zewnątrz, nie ma w nim niczego szczególnego. Wygląda na prosty, szary, prymitywny i najzwyczajniej brzydki. Taki bunkier. Nic ciekawego. Jedynie z dachu wystaje coś na kształt szklanej piramidy. Tymczasem w środku taki dom to cud architektury i realizacja zaratustriańskiego symbolizmu.

Według legendy to aryjski król Janshid Vara, po serii bardzo ciężkich zim, postanowił pomóc swoim ludziom i wymyślił rodzaj gospodarstwa, które mogłoby łatwiej bronić się przed zimą. Oryginalne "vara", czyli osiedle, zbudowane było z kilku domów, które stały tak blisko siebie, że faktycznie stanowiły pewną całość i pomimo głębokich śniegów ludzie nie byli odcięci całkowicie od innych mieszkańców danego osiedla, choć byli odcięci od innej wsi. Dzięki temu mogli sobie łatwo pomagać, dzielić się wodą i jedzeniem. Dziś "vary" istnieją już tylko jako zabytkowe ruiny.

Co innego pamińskie domy. Te przetrwały kolejne zawieruchy historyczne i cywilizacyjne.

W każdym domu główna sala zbudowana jest według tego samego wzoru. Znajduje się w niej pięć filarów, na których wspiera się sufit. Dziś muzułmanie przekonują, że kolumny te symbolizują pięć filarów islamu: Mahometa, jego żonę Fatimę, Alego, Huseina i Hasana. Ale według tradycji zaratustriańskiej, z której pochodzi dom pamiński, symbolizują Pięciu Strażników.





Surush jest strażnikiem wiedzy, i jeżeli w domu jest dziecko, łózczo stawia się właśnie obok tego filaru. Mehr jest strażnikiem wszystkiego, co ma związek z miłością, czyli szczerości, przyjaźni i dobroci; w trakcie ślubów to właśnie pod tym filarem siada młoda para. Anahita dba o przeżycie i jest strażnikiem wody i pożywienia. Dwa filary otwierające pokój i jako jedyne połączone ze sobą to Zamyod i Azar — strażnicy ziemi i ognia.

Właśnie pomiędzy takimi filarami, pomalowanymi na błękitno, postawiono stół, przy którym przyszło nam jeść obiady w Langarze. Nad nami otwierało się niewielkie okienko, właśnie to, które z zewnątrz wyglądało jak szklana piramida, a platformy, które otaczały środek pokoju, te, na których spali pokotem turyści, symbolizowały powietrze i wodę.

Dla kogoś zmęczonego drogą, dla kogoś, kto przyjechał w to miejsce tylko dla samego siebie i dla podziwiania widoków, zaliczania przełęczy, to tylko drewniane filary i podesty. A tymczasem za wszystkim tym czai się tajemnica i mistycyzm. Mało co jest ot, takie sobie, po prostu. Wszystko jest symbolem. Domy, cedrowe drzewa czy choćby gorące źródła w Bibi Fatima (innej wiosce w Korytarzu Wachańskim) mają pomagać kobietom zająć w ciążę. Nie tyle same źródła oczywiście, co kąpiel w nich. Malik, kochany Malik, niemal kazał Ani dobrze się w nich wykąpać, by urodził nam się silny i zdrowy "pamirski riebionek [\[13\]](#)".

Wyjechaliśmy w stronę przełęczy Khargusz. Nie studiowaliśmy mapy zbyt dokładnie, bo i po co? Przecież nie po to, by dowiedzieć się, jak bardzo droga będzie prowadzić pod górę, ani nie po to, by odkryć, że po drodze żadnej wsi i znikąd pomocy. Gdybyśmy oczywiście tej pomocy potrzebowali.

Ruszyliśmy dziarsko. Zrobiliśmy najpierw zakupy (makaron i cebula) w przydrożnym sklepiku. Nie byliśmy fanami skromnej diety cebulowo-makaronowej, ale w małym kiosku nie było wiele więcej do kupienia. Tak.

Na szczęście zostały nam zapasy ryżu i soczewicy i mieliśmy okazję dowiedzieć się, jak długo gotuje się ryż na wysokości 4000 m n.p.m. Dla pewności i tak zalaliśmy go wodą w plastikowej butelce kilka godzin wcześniej. Ponoć powinien się szybciej ugotować.

Ruszyliśmy z uśmiechem i już na peryferiach wsi, przy ostatnich domach, zaczęliśmy pchać te nasze obładowane rowery. Przybiegły jakieś dzieci i z wesołym okrzykiem "one somoni! one somoni!" zaczęły wpychać nam rowery.

Zamiast pieniędzy dostały po zdjęciu. Zrobiliśmy im kilka portretów.

Portret z Siostrą.

Portret z Babcią.

Portret z Mamą, Siostrą i Babcią.

Wydrukowaliśmy kilka na naszej przenośnej drukarce i rozdaliśmy je na prawo i lewo, a wtedy... zbiegło się z kilkadziesiąt kobiet. Każdy chciał taką fotkę.

Dla nas, Europejczyków, takie zdjęcie, trochę większe od wizytówki, przeszłoby pewnie niezauważone, ale dla ludzi, którzy nie mają szans na jakąkolwiek fotografię, to wielka sprawa.

Musieliśmy po chwili skłamać, że "karteczki się skończyły", i udało nam się pojechać dalej. Całe kilkaset metrów.

Droga, nie dość, że była stroma, serpentynowa, to jeszcze powykładana była kamieniami wielkości ziemniaków. Nie byliśmy w stanie po niej jechać i powoli zaczęło nas to coraz bardziej bawić.

Zamiast kląć, na czym świat stoi, zaczęliśmy śpiewać. Że czujemy się dobrze, że nie mamy już siły.

Spotykaliśmy dzieci, chłopców, którzy na osiołkach znosili siano i gałęzie. Jedni bardziej zmęczeni, inni znów raczej uśmiechnięci. Zmierzali w dół do Langaru. Były jeszcze wakacje, czyli czas dla dzieci, by pomóc dorosłym. By nie jako dziecko, ale już mały człowiek, mały dorosły pomagać w przygotowaniach do morderczej zimy.

Jeszcze w drodze do Langaru spotykaliśmy dziesiątki takich dzieci. Nie tylko tych, które wypasały bydło, ale i maluchy noszące snopki trawy (które to snopki były niewiele mniejsze od nich samych), dziewczyny sprzedające śliwki, ziemniaki, czasem pomidory.

W środku dnia, gdziekolwiek spojrzeliśmy, pracowały dzieci. Wystarczyło, byśmy zatrzymali się obok, zagadali i "zaczepili", a dzieci zawsze rwały się do zabawy. Chciały przejechać się na rowerze (co im się nie udawało, bo za ciężki), pogadać, wypytać o wszystko i obowiązkowo prosiły, by zrobić im zdjęcie. OBOWIĄZKOWO. Raz zdarzyło się, że dwoje dzieci, rodzeństwo,

rzuciło się z daleka w pogoń za nami. Pewnie byśmy ich nie zauważyli, gdyby nie ich donośne krzyki. Niemal przerażające. Jakby coś się stało. Gdy tylko się zatrzymaliśmy, przestawali nas gonić i krzyczeć. Ruszyliśmy — znów krzyk i pogoń. Stwierdziliśmy, że coś się musiało stać, że trzeba im będzie w czymś pomóc. Poczekaliśmy cierpliwie, a oni spokojnie podeszli i... poprosili o zdjęcie.

Dzieci w innych krajach spędzają wakacje z konsolą gier, na zabawie albo totalnym lenistwie. Bo mają trochę więcej szczęścia. Inne, na przykład wachańskie, szukają czasu na zabawę i wesołe drobiazgi w przerwach pomiędzy jedną pracą a drugą. Bo mają trochę mniej szczęścia niż inne.

Nagle, zza zakrętu tej opuszczonej drogi, wyszło dwoje turystów. Z plecakami podążali szybko właśnie do Langaru. Nie mieli namiotu, nie mieli jedzenia i musieli zdążyć przed nocą do wsi. Jakoś ich to nie przerażało, wierzyli, że dadzą radę, choć przed nimi wciąż było jakieś 20 kilometrów. Nas jednak nurtowało oczywiste pytanie: skąd oni się tutaj wzięli?

"A to bardzo proste, bo, widzicie, jechaliśmy wynajętą taksówką i tu niedaleko jest bród. Tak głęboki, że nasz taksówkarz stwierdził, że on dalej nie jedzie. I basta. No i musimy jakoś dojść do najbliższej wsi".



O świcie obudziły nas ściskające za gardło widoki. Genialne. Tak niesamowicie piękne, że aż niemożliwe do opowiedzenia. Słowa nie oddadzą przecież piękna gór. Są za płaskie, za blade. Nie umieją objąć tak wielkich przestrzeni i ludzkiej w niej nicości.

Człowiek ciekawie opisuje takie puste przestrzenie. Przede wszystkim nazywa je pustymi, bo naturalnie przypisuje wszystko sobie.

Dookoła otaczały nas gigantyczne góry, a nam się wydawało, że

zajechaliśmy na pustkowie.

Pustkowie wypełnione potężnymi górami, czyli nie takie znowu puste. W dole szalała rzeka Pamir, na piaszczystej drodze zostawił po sobie ślady leopard śnieżny z małym, po afgańskiej stronie rzeki pojawiło się małe stado baktrianów. Wszędzie buczały pszczoły i jakieś muchy. Kwiliły ptaki.

Wkradliśmy się cichutko, niemal niesłyszalnie w ten świat, który człowieka nijak nie potrzebuje. Który bez człowieka żyje sobie spokojnie i radośnie, zajęty własnymi sprawami. Świat, który ma dosyć własnych problemów, a człowiek jest z nich tym najmniejszym.

"Macie chwilę?" — zapytał nas żołnierz z posterunku w Khargusz. Posterunku, przy którym mieści się baza strzegąca przed czymś tadżyckiej granicy.

"Ja wiem, że wy pewnie zmęczeni, ale my nie mamy z kim pogadać. To może macie chwilę? A papierosy może macie? Albo gazetę jakąś z dziewczynami? Bo my tu sami. Zimno, prądu nie ma, a do końca służby jeszcze pół roku". A kiedy ostatnio byłeś w domu? — zapytaliśmy. "No, zanim mnie tu przywieźli. 18 miesięcy temu. Naprawdę nie macie papierosów? To powiedzcie innym turystom, że gdyby ktoś jechał, to niech przywiezie. I jakieś gazety".

Rozbiliśmy namiot zaraz przy koszarach. Na malutkiej łączce, na której zmieściły się raptem dwa namioty. Nasz i Andrzeja, który przemierzał świat na motocyklu, a którego spotkaliśmy jeszcze w Langarze.

Ryż gotował się jakieś 45 minut i nie powiem, żeby był z tych najlepiej ugotowanych. Podobnie soczewica, ale jakie to miało znaczenie? Trzeba było jeść, i to dużo. Bardzo dużo.

Żołnierze po chwili wrócili do swojego zajęcia, czyli zbierania krowich placków na opał. Wielka Armia Tadżycka ma prąd w kantynie tylko przez kilka godzin dziennie i opał z krowiego nawozu. Pilnuje granicy. Przed kimś, kogo nie widać, i trudno sobie wyobrazić, by w kraju pełnym gór, przełęcz i pustkowi ktoś postanowił się przedrzeć z jednego kraju do drugiego akurat pod nosem żołnierzy. W końcu mógł to zrobić kilka kilometrów w lewo lub w prawo i nikt nigdy by się nie dowiedział. Żołnierzy, by zupełnie się nie nudzili, ich dowódcy nie tylko wysyłali z krowami na pastwisko, ale i na spacer wzdłuż drogi. Ich ulubionym i jedynym zajęciem była kontrola paszportów przygodnych turystów. Żołnierzy w takich chwilach nie opuszczał humor. Musieli go mieć dużo, i to dobrego, bo inaczej, w takich warunkach, z dala od domu i innych ludzi pewnie wszyscy by się powybijali albo powywieszali. Ewentualnie mogli zostać jedną wielką rodziną — i kto wie, czy tak nie było.

Turysta był zawsze jakąś rozrywką.

Można było z nim pogadać, sprawdzić paszport, zapytać, czy ma wizę. To bardzo ważne pytanie, bo przecież bez wizy nie wolno wędrować, a mogło być tak, że przebiegły turysta, na przykład na rowerze, jeździ od tygodni po Tadżykistanie, i to bez paszportu i bez wizy. Gdyby mu wierzyć, że wizę ma, można by zapytać: "Gdzie w paszporcie masz wizę?", a skoro się pyta: "A wiza u was jest?", to co to znaczy? No właśnie chyba, że mogłoby nie być.

Wydawało nam się, że jeśli będziemy jechać w połowie sierpnia, w prószącym mocno, mokrym śniegu, to będzie wyzwanie. Coś ciężkiego. Mało co było widać, śnieg sypał lekko, ale stale i namolnie w oczy, a nam się wydawało, że jest ciężko. Wyjątkowo marzły mi dłonie, bo na śnieg nijak nie byłem przygotowany. Miałem już dosyć tej jazdy i przygodę przysłoniła mgła i zniechęcenie, kiedy nagle z tej śnieżnej mgły wyłoniło się dwóch chłopców, którzy na tych 4200 m n.p.m., w tym mokrym śniegu, wypasali jaki.



Nie byli ubrani tak jak my — w wełniane skarpety ze specjalnej wełny.

Nie mieli na sobie kurtek z najnowszych włókien.

Nie mieli nawet prawdziwych butów, a co dopiero takich ze specjalną podeszwą.

Stali we dwóch, ubrani jeden w stary płaszcz, a drugi w kurtkę, i obaj w jakieś bluzy i buty, które w zasadzie składały się z podeszwy i sznurówek. Opatuleni szalikami i nieśmiało do nas uśmiechnięci.

I naszemu własnemu poczuciu nieszczęścia i trudu zrzedły miny. Natychmiast. Nagle wcale nie było nam ani ciężko, ani zimno. Przy okazji zrobiło nam się głupio i nie wiem, czy to z tej chwilowej słabości i śniegu, czy jakoś tak z głębi serca, po ludzku, zwyczajnie — zdjąłem odruchowo przemoczone buty i jedną z par skarpet ze specjalnej wełny i oddałem temu bardziej nieśmiało, któremu z butów została tylko podeszwa, sznurówki i jakaś szczątkowa tkanina. Ania zaczęła szukać skarpet dla tego drugiego, ale oczywiście zgodnie z zasadą złośliwości sakw okazało się, że leżą na dnie tej ostatniej. Zanim je jednak znalazła, wyciągnęła wszystko z kolejnych sakw prosto na tę śniegową mżawkę.

Fascynujące jest nasze zaufanie do drogi.

Ktoś powiedział kiedyś, że drogi to żyły kraju, i chyba trudno o lepsze porównanie, kiedy się jest w Pamirze. Ktoś już tędy podróżował. Ktoś odkrył przejścia, przełęcze, brody. Podążały kiedyś tędy karawany i armie, a teraz jedziemy my.

Gdzieś na poboczu tej drogi leży wieś, osada, miasto lub zwykła gromadka jurtt i wiemy, że ktoś nam tam pomoże. Nakarmi, sprzeda chleb, kaszę gryczaną, skondensowane mleko, rybę w puszcze i tani, glutowaty makaron.

W drodze pokładamy tyle nadziei.

Droga prowadzi nas do ludzi, a oni nas tu raczej nie zostawią. Pomogą, ugoszczą. Zaopiekują się, "bo my wsje braty", i tak po prostu trzeba. I nie wolno mówić "nie".

Wjechaliśmy na asfalt. Stary, lekko zniszczony i tak bardzo przyjazny.

Czarna nitka. Obietnica.

Tymczasem dojechaliśmy właśnie do asfaltu i nic nie mogło wyrazić piękna i ogromu pustki w dolinie, do której dotarliśmy. Przed nami rozciągał się Aliczurski Pamir. Dolina niczym wycięta z księżyca. Pusta, jałowa, ukryta w większości pod zasłoną niskich chmur, z których wciąż prószył obrzydliwy śnieg. Stanęliśmy nad krawędzią krateru wypełnionego twardym pyłem i dwoma zieleniącymi się od minerałów jeziorami. Obłądana cisza dodawała tylko niesamowitości krajobrazowi. Mimo tej obcości, mimo tego wyjałowienia, które wołało do nas śmiercią, a bardziej brakiem życia, wszystko to połączone było ze światem realnym nitką asfaltu i... poczuliśmy

się bezpiecznie. Jakby w domu. Wiedzieliśmy, że ten właśnie asfalt zaprowadzi nas do ludzi, a oni dadzą nam coś zjeść i pozwolą ogrzać się przy piecu.

Jakby sobie na złość, nie wybraliśmy najkrótszej drogi do Alichur, ale ruszyliśmy w drugą stronę. Za górą królującą na końcu krateru leżała wioska. Niewielka. Otoczona zieloną trawą i przylegająca do jeziora. Oaza jeszcze większego spokoju otoczona jeszcze większą pustką. W topniejącym na twarzach drobnym śniegu zjechaliśmy z asfaltu i wjechaliśmy kolejny już raz na pofałdowany żwir. Na tę męczącą rękę "afrykańską tarkę", która tak wiernie nam towarzyszyła.

Ukryliśmy się na dwa dni na Końcu Świata. W małej wiosce Bulun Kul, na wysokości około 4000 m n.p.m., której 200 mieszkańców łączyło ze światem radio meteorologa i żwirowa droga. Ich nie obchodził świat, ich obchodziła nadchodząca zima i wciąż trwające sianokosy. Hm... słowo wielkie, a trawa może na 10 - 14 cm.

Dom udostępnił nam miejscowy meteorolog, Sharob, który za kilkanaście dolarów przyjmuje pod swój dach i, co najważniejsze, żywi turystów. Z czegoś trzeba żyć, a z pensji 40 dolarów miesięcznie ciężko jest przetrwać nawet na takim pustkowiu.

Dookoła nie było żadnych drzew. Już od bardzo wielu kilometrów. Brak drewna nadrabiano jakimś nawozem. W wielu miejscach na świecie jest to podstawowym paliwem. Nie tyle nawóz jaków, co krów, ale zasada jest ta sama. Zbiera się go, miesza na przykład ze słomą lub (jak w Pamirze) z resztkami owoców, i ugniata się z tego małe placki lub brykiety. Układa się je na dachu do wyschnięcia. Czasem przylepia się je do ścian i widok takiego domu jest jeszcze bardziej żałosny.

Brykietów nie używa się tylko do ogrzewania, ale i do gotowania. Na początku trudno się przyzwyczaić, że ktoś gotuje obiad na krowim nawozie. Źle się człowiekowi kojarzy takie gotowanie, ale nam akurat kojarzy się bardzo dobrze. Z podróżą. Od lat lubimy ten zapach i towarzyszy nam on w miejscach, które lubimy. Indie, Nepal, Pakistan. Teraz Pamir.

Na tyłach jednego z domów stoi dość duży piec, w którym wypieka się buchankę, czyli chleb z foremki, a obok leży hałda suchego nawozu czekającego na wymieszanie z torfem i przerobienie w brykiet.

Obok wsi, za wielką "muldą" stworzoną przez trzęsienie ziemi, leży wielkie jezioro Yashil Kul, w którym według legendy żyją "tuya suu" (lub "tyuya-su") — wodne wielbłądy. Nad jego brzegami stoją ruiny chińskiej twierdzy, w cieniu kolorowych nagich gór leżą ruiny zaratustriańskiej wsi. Ludziom od dawna zależało, by tu mieszkać. Może dzięki tej zielonej trawie, której kolor rozświetla rudo-beżowe szczyty smukłych gór, a może dla tego powietrza pełnego słodkich zapachów?

Po drugiej stronie bagnistych łąk, których środkiem meandruje niewielka rzeczka, leży jezioro i oprócz tych łąk to ono żywi mieszkańców. Nie jest ani za zimne, ani za słońce i dzięki temu, na szczęście tubylców, żyją w nim ryby! Co prawda niewielkie, ale gdy tylko przestaje wiać wiatr, ktoś ze wsi wypływa po ryby łódką. Gdy wieje wiatr, na jeziorze tworzą się niebezpieczne fale i nikt nie odważy się wtedy na łowić.

W samym Yashil Kul, które jest niemal odcięte od świata, można spotkać pstrąga tęczowego, i to przez cały rok, ale żeby takiego złowić, trzeba by mieć prawdziwą łódkę i prawdziwe sieci.

W małym pokoju meteorologa stały wszystkie instrumenty i radio. Różne tabelki, wykresy i radio. W tabelkach różne rekordy. Na przykład najgorętszego lata, kiedy pogoda tak się rozszalała, że temperatura osiągnęła 27 °C, albo najzimniejszej zimy, gdy zamarzała rtęć bo zrobiło się -63 °C.

Książki, raporty i... radio. Bez tego radia wieś byłaby odcięta od świata. Nikt nie wiedziałby, co się dzieje, czy ktoś potrzebuje pomocy. Do asfaltowej drogi jest 16 kilometrów zniszczonej żwirówki. Sam asfalt prowadzi do Murghabu lub Khorogu. W jedną stronę 160 kilometrów, w drugą prawie 200.

Kolejny na naszej trasie Koniec Świata.

Życie w Pamirze jest pełne kontrastów. Szybkie zwalczą się z powolnym i wciąż pozostaje jego nieodłączną częścią. Serce wali ci jak oszalałe, a kroki pozostają powolne. Krew krąży tak szybko, że zawsze szumi ci w uszach, a ty sam ledwo się ruszasz. Oddech masz szybki, płytki i urywany, a kroki powolne i ślamazarne. Krajobraz puszy się pięknem i malowniczością, a trudno w nim żyć.

Człowiek, mieszkając w mieście, staje się głuchy na pewne dźwięki, które non stop go otaczają — szum autobusów, syreny policyjne czy karetka. Z czasem nawet głosy rozgadanych sąsiadów zanikają w ogólnym murmurando miasta. Te wszystkie dźwięki stają się stopniowo naszą miejską ciszą i gdy się wyjeżdża na prawdziwe pustkowia, na którym nie ma niczego poza kilkoma zwierzętami, ta prawdziwa cisza piszczy w uszach. Przeszkadza i denerwuje. Nie pozwala skupić myśli, a nawet zasnąć. W dodatku wszystko leży na wysokości ponad 4000 m n.p.m. i staje się przez to bardziej wyraźne.



Nagle okazuje się, że cisza dla mieszczucha jest czymś nienaturalnym i człowiek podnieca się jak dziecko, jeżeli ją zauważy. Cieszy się z kąpieli w rzece zamiast w basenie, ze spaceru po stepie zamiast po trawniku. Takie to nasze miejskie życie. Nienaturalne.

Ciekaw jestem, czy ktokolwiek wie, z ilu elementów składa się jurta. Ile jest tych wszystkich pasków, taśm, plandek, kawałków skóry, elementów stelaża i całej tej przepięknej reszty? Czy to się da policzyć? Ciekawe, czy Ubbaid wiedział. W końcu to była jego jurta i sam ją rozstawiał.

Poznaliśmy się przypadkiem: jego jurta stała właśnie przypadkiem najbliżej asfaltu i rzeczki, z której przyszło nam nabrać wody.

Oczywiście nasza wyprawa po wodę zakończyła się godzinną wizytą. Była zwyczajowo herbata, masło z jaka, które śmierdzi jak żadne inne, i chleb.

Jurta jest genialnym wynalazkiem. Niby to "tylko namiot", ale tak wielki i solidny, że tak naprawdę to dom. Prawdziwy, choć można go z łatwością przenosić.

Zanim Ubbaid został pasterzem nie swoich jaków, był nauczycielem w szkole. Szybko okazało się że wypasanie zwierząt da mu więcej pieniędzy. Mógł łatwiej i spokojniej wyżywić żonę i trzy córki, a jego brat "jak głupi dalej uczył dzieci za te kilka dolarów".

Jak to fascynujące zwierzę.

Ma większe serce i większe płuca niż na przykład krowa, a to za sprawą wysokości, na jakich żyje. W dodatku wystarczy 15 - 20 °C, by zwierzakowi zrobiło się wybitnie gorąco. Mocno śmierdzi, ale za to pocziwie wygląda. Właściwie to niemal pokracznie.

Zdarza się, że w Indiach, na przykład w Manali czy w Sikkimie, tubylcy stroją jaki i je siodłają, ku uciesze turystów.

Jak jest płochliwy, ale ponoć do czasu. Gdyby dobrze go wystraszyć, to zamiast uciekać, potrafi się rozpędzić, ale w naszą stronę. Poza tym — za co chwala go Kirgizi — potrafi sam obronić się przed wilkami. Nie jest to zresztą jedyne, za co pasterze cenią te wielkie zwierzęta.

Nie tylko obrastają one w tłuszcz, przez co z wiekiem ich mięso drożeje i kosztuje nawet do 3 dolarów za kilogram. Gdy trzeba przenieść się ze stadem i z jurta, jaki można obładować skrzyniami i bez problemu poradzą sobie z ciężarem.

Mieszkańcy Pamiru bardzo sobie chwala zwierzęta, które na swych barkach dźwigają życie ich właścicieli. Z mleka robi się jogurt, kajmak i szircza [\[14\]](#). Odchody zbiera się na opał. Ze skór robi się ubrania lub kolejne warstwy jurty. Wszystko zależy od jednego zwierzęcia. Od jego siły, chorób i spotkań z wilkami.

By jaki miały co jeść, trzeba wędrować dwa - trzy razy do roku nawet po 50 kilometrów. Na zimę, gdy wszystko zamarza, gdy wieją potworne wiatry, a na zewnątrz temperatura spada do $-60\text{ }^{\circ}\text{C}$, trzeba karmić jaki sianem. Sianem z kilkunastocentymetrowej trawy, bo tylko taka tu urośnie. Lato jest tu krótkie, a ziemia... to raczej żwirowy piasek, a nie "gleba". Wiatr mocny i oczywiście dmie w oczy. Jak to zawsze.

Siano jest drogie. 80 dolarów za ciężarówkę, a wystarczy go ledwie dla dziesięciu jaków.

Życie w Pamirze jest ciężkie dla wszystkich. Zarówno dla ludzi, jak i dla zwierząt, a i maszyny nie mają lekko. Kurz, pył, mało tlenu w powietrzu. Wszystko rdzewieje, zgrzyta, zapycha sobie różne filtry i pali dwa razy więcej paliwa niż na nizinach. Paliwo... ktoś przywiezie w beczce. Sprzeda po półtora dolara za litr, i to ledwie za benzynę 76 oktanów.

I jakoś nikt stąd nie ucieka. Pojedynczy ludzie — to oczywiste, ludzie zawsze będą szukać szczęścia w obcych krajach, ale masy, te niewielkie, pamirskie masy wciąż żyją wśród jałowych gór.

Wolni od informacji.

Wolni od światowych problemów, od giełd, konfliktów, karier, huraganów w USA i problemów z inwestycjami w Polsce.

W Pamirze życie ma prawdziwy smak. Słodko-gorzki, ale bez polepszaczy i benzoesu sodu. Smakuje intensywnie i prawdziwie, a nie jak "identycznie z naturalnym".

Chleb smakuje, bo jest darem.

W takim kraju trzeba się modlić do jakiegoś boga. Trzeba wierzyć w istotę ponad tym wszystkim. Inaczej człowiek by zwariował, patrząc na to surowe piękno i czekając na wiosnę.

Po obu stronach drogi ciągnącej się przez Pamir, na wielkich łąkach krótkiej trawy krzątali się ludzie. Całymi grupami kosili trawę i wrzucali ją na stare radzieckie ciężarówki, które z jakiegoś powodu wszystkie pomalowane były na niebiesko. Może jeszcze "za Sajuza" właśnie taki kolor obowiązywał w kołchozach? Wcale by nas to nie zdziwiło, bo jakkolwiek patrzeć, ZSRR wciąż nas otaczał. Na zniszczoną drogę ludzie mówili, że jest "sowiecka", wielkie góry wciąż nosiły nazwy Marksa, Engelsa i choćby Lenina. Co jakiś czas natrafialiśmy na pomniki ofiar II wojny światowej, które wciąż i wciąż udowadniały nam, że wojna zaczęła się w 1941, a nie w 1939 roku.

Gdzie jest takie miejsce, w którym człowiek nie odważy się żyć? Jaka pogoda złamie ludzkość? Jaka wysokość? Jakie upały czy mrozy? Czy jest miejsce, które okaże się niedobre na dom?

Człowiek jest uparty mimo wszystko. Wie, że kiedyś i na pewno nieodwołalnie umrze, tymczasem prze do przodu. Nigdy się nie poddaje. Co to za różnica, czy umrze w obozie pracy, czy we własnym łóżku? Koniec końców przecież i tak umrze.

Różnica leży w godności. W honorze. W ludzkim uporze.

Człowiek jest fascynującym zjawiskiem. Jego walka o każdy kolejny dzień życia zadziwia. Z jakiegoś powodu nie położymy się wszyscy na trawie i nie poczekamy na szybką śmierć. Nie! Coś nam każe wstawać i zмагаć się z życiem.

To jest dopiero cud!

Na nieludzkiej wysokości 4600 m n.p.m. ktoś postawił betonową tablicę, że to niby już przełęcz. Oto stoimy na szczycie Białej Kobyły, jak ją ktoś nazwał, i od teraz powinno być już lekko w dół. Jak na dłoni widać jednak, że do przełęczki jeszcze kilka kilometrów, a tablica to zwykłe "oszustwo". Może popsuł się samochód, który wiozł tablicę na sam szczyt? Może monterom się zwyczajnie nie chciało jej tam donieść? Fakt faktem, że tablica stoi, gdzie stoi, i nie ma się z czego cieszyć, bo trzeba jeszcze trochę popracować.

Te 4600 m n.p.m. wciąż były wysokością, na której żył człowiek. Zaraz przy drodze, po lewej stronie, mieszka rodzina, która, oprócz tego, że hoduje jakieś 300 owiec, odśnieża wielkim sypchem tę drogę.

Bez prądu, bez sąsiadów. Sami ze sobą. Zawsze. Dzieci nie chodzą do szkoły, bo kto by je zawiózł te 70 kilometrów do najbliższej szkoły? Tak... siedemdziesiąt kilometrów pustkowia. Absolutnego.

Wieś Kara Kul ujrzeliśmy już z daleka. Wioska zbudowana z nieskładnie porzucanych domów, wciśnięta pomiędzy wielkie jezioro a radzieckie

zasieki oddzielające ludzi od niedalekiej granicy z Chinami. Małe, białe domki stojące w lesie drewnianych słupów elektrycznych przypominających przyjeźdnym o przeszłości tego miejsca.

To były kiedyś rubieże ZSRR. Granica państwa, które istnieje już tylko w pamięci tych ludzi i w kolczastym drucie zasieków.

Wyjeżdża się z za zakrętu jedynej tu drogi i na końcu 20-kilometrowej prostej widać zarysy domów. Gdyby nie wypisana na mapie odległość, trudno byłoby uwierzyć. W tym przezroczystym powietrzu i ciszy łatwo zatracić perspektywę, wyczuć czas i odległość. Po lewej otworzyło się przed nami Kara Kul — Czarne Jezioro lub Jezioro Smocze. Powstało po uderzeniu meteorytu i na nieszczęście mieszkańców wsi jest tak słone, że nie było w nim ryb ani innego życia. Zimą rzadko zamarza, lecz niektórzy wierzą, że to nie przez sól, a za sprawą smoka, który żyje pod wodą. By nabrać powietrza, musi połamać lód; i gdy nocą słychać huk pękającego lodu, to właśnie jego zasługa. O dziwo, na dnie jeziora znajduje się wieczny lód i nikt nigdy nie wyjaśnił, jak to się dzieje. Są tacy, którzy twierdzą, że to resztki lodowca. W końcu jezioro ma prawie 240 metrów głębokości. Może kryć nie tylko lód i smoka, ale kto wie, jakie jeszcze tajemnice.

Również trzęsienia ziemi, które nawiedzają te tereny, mają oczywiście swoje mitologiczne wytłumaczenie. Nauka nauką, geologia geologią, ale czy nie romantyczniej jest wierzyć, że Ziemia oparta jest na rogach wielkiego bawoła, który znów stoi na rybie, a ta pływa w wodzie utrzymywanej w powietrzu? Jeżeli gież lub komar przeszkadza bawołu, ten trzęsie swoją głową i mamy trzęsienie ziemi.

Na dalekim brzegu widać monumentalny Pik Kaufmana, który po rewolucji przemianowano oczywiście na Pik Lenina. Całe 7134 m n.p.m.!

Jechaliśmy z nadzieją na jedzenie i jakiś wygodny nocleg. Tylko te słupy elektryczne nie dawały nam spokoju. Czy oni mają prąd? Tak bardzo by nam się przydało naładować baterie do aparatów, by móc dalej fotografować pamirskie twarze i przytłaczające ogromem i pustką krajobrazy.

Ale prądu w Kara Kul nie było. Były tylko te słupy, niczym pomniki umarłego państwa, którego Pamir był kiedyś częścią. Państwa tak ogromnego, że z dalekiej elektrowni, gdzieś w Kazachstanie, przesyłało prąd swoim obywatelom w zapadłe dolinki Pamiru. Dziś, gdy stolicą nie jest Moskwa, tylko Duszanbe, nikt o Kara Kul nie dba.

Kara Kul jest pełne Kirgizów, których w Tadżykistanie się nie szanuje. Zresztą kto miałby ich szanować, skoro bliżej tu do Chin czy Kirgistanu niż do Khorogu, stolicy całego regionu?

Wybrzeże jeziora z tyłu za meczetem wyłożone było czaszkami i

porożami *Ovis ammon polii* — owcy Marco Polo. Oczywiście, że Czerwone Księgi Zagrożonych Gatunków to są dobre dla urzędników w ONZ, a nie dla głodujących ludzi. Natura obdarowała ich stadami tego zagrożonego zwierzęcia, a zimą nie ma co jeść, i oczywiście do nich strzelają, i oczywiście je jedzą. Każdy by jadł.

Tym razem dom, w którym się zatrzymaliśmy, nie był prawdziwym homestayem. Raczej nabierał kształtu hotelu lub guest house'u z prawdziwego zdarzenia. Rodzina ulokowała nas w lepszej części domu, a sami spali w niewykończonym budynku.

Wieczorem przyszedł do nas w odwiedziny ktoś ze starszyny. Twarz miał tak czarną i tak porytą zmarszczkami, że nie sposób było powiedzieć, ile miał lat.

"Widzisz, Robert — zaczął — wy głupio robicie, że na rowerach to tylko po asfalcie jeździcie. Ja to bym was za parę groszy w takie miejsca zabrał, że by wam szczęki pospadały. Dookoła jeziora jest droga, tylko że nie po tej stronie, po której wy jedziecie. Takie cudne jeziora i ruiny. Może byśmy nawet śnieżną panterę spotkali".

Ale, widzisz — bronilem nas ostro — jak droga byle jaka, to rowerem trudno nią pojechać. Motorem można.

"Ale motor to gówno. Wszystko wystraszy. Po co motorem?"

Tak naprawdę to przyszedł z nami pogadać o czymś innym. O turystach i o tym, jak ich do Kara Kul ściągnąć. Cieszył się, że z nami "można chociaż pogadać, bo inni przyjeżdżają, naszej mowy nie znają. Nawet rosyjskiego, i nic, tylko zdjęcia porobią, w homestayu zostawią jakieś pieniądze i jadą dalej, ale o nas nic nie wiedzą. Po co oni przyjeżdżają, jeśli z nami nie rozmawiają?"

Zapytał ostatecznie wprost, co trzeba zrobić, by przyjechali do nich turyści. Pokazać jest co, bo mogą ich zabrać na foto safari. "Pojadą końmi do doliny, prześpią się, a rano zabiorę ich w miejsce, gdzie całe stada owiec Marco Polo przychodzą się paść. Fotografowałiby sobie aż do znudzenia, a my mielibyśmy pieniądze na przetrwanie zimy. Bo u nas jak kto ma pieniądze, to do Kirgistanu ucieka. U nas zima taka, że nie ma co jeść. Patrz tylko, u nas nawet jabłoń nie urośnie".

Agha [\[15\]](#) — powiedziałem. — Jak do was turyści mogą przyjechać, jak u was prądu nie ma, telefonu, żeby się umówić, i nikt po angielsku nie mówi? Musicie dogadać się nie ze mną, ale z jakąś firmą z Duszanbe. Oni turystów przywożą, ale z nimi trzeba się będzie podzielić pieniędzmi.

"No właśnie. Podzielić się. Niestety".

Ktokolwiek miał generator, ładował baterie. Ponoć wieczorem miał być "amerykański film" w telewizji i cała wieś się szykowała. Litr benzyny na

końcu kraju, w którym od dawna nie było stacji benzynowych i paliwo po prostu "ktoś przywoził", kosztował 7 somoni, czyli 5 zł lub siedem bochenków lepioszki. Nam samym zdarzało się chodzić od domu do domu i pytać o litr benzyny do prymusa. Zawsze znalazł się ktoś, kto w szopie lub obórce trzymał beczkę i odmierzał benzynę litrowym słoikiem.

W pełnym słońcu, mimo chłodu, dzieciaki bawiły się na żwirowym placu, na którym stało coś na kształt placu zabaw i urządzeń gimnastycznych. Wszystko wykonane było z solidnych metalowych rur. Podobnie jak wszystkie słupy i kable — pochodziły z czasów ZSRR. Zadziwiały nas te słupy. W miejscu, w którym wszyscy palili jaczym nawozem ubitym w brykiety i jakimiś krzaczkami, nikt nie rozkradł drewnianych słupów. Wydawały się one oczywistym źródłem drewna, a mimo to nikt ich nie ruszał. Stały jak suchy las w tym przerażająco suchym i kamiennym krajobrazie i przypominały wszystkim, że kiedyś, bardzo dawno temu, w innej epoce, był we wsi prąd.

Tak samo jak słupów, nikt nie rozkradł kabli. Od lat wisiały niepotrzebne, a mimo to nikt ich nie ruszał.

Cała wieś Kara Kul wyglądała, jakby ktoś poustawiał te kilkadziesiąt domów na chwilę, tymczasem na placu. Gdzieś istniał porządek i można było dostrzec ulice i może nawet jakiś plan tego wszystkiego, ale przez to, że ten sam żwir leżał na uliczkach i dookoła jeziora, trudno było oprzeć się wrażeniu, że to nie jest prawdziwa wieś. Że to tylko na chwilę.

Po drugiej stronie asfaltowej Szosy Pamirskiej stała jednostka wojskowa, której budynek nie wyglądał na używany. Ponoć kiedyś, w lepszych czasach, żołnierze dzielili się prądem, ale dziś już to się nie zdarza i ze sprzedaży młodego jaka można sobie kupić chiński panel słoneczny z prostownikiem i akumulatorem.

Wizyta w sklepie nierosyjskojęzycznych Szwajcarów, których akurat spotkaliśmy, wymagała naszej pomocy. Nie wiem, czy nie umieli sobie poradzić, czy też starsza pani nie miała do nich cierpliwości, ale ostatecznie udało mi się wytłumaczyć, że dziewczyny wejdą sobie za ladę i wszystko same powybijają. Po prostu wydawało się to logicznie łatwiejsze niż ciągłe wypytywanie, czy jest to, czy jest tamto. Pani trochę podejrzliwie, ale zgodziła się. Co prawda, gdy Andy postanowił dołączyć do dziewczyn, rozległ się głośny protest właścicielki sklepu, która stanowczo stwierdziła, że to "nie teatr!", i zapytała "gdzie leziesz?".

Może bała się zamieszania?

Co jak co, ale sklep jak na warunki pamirskie był duży i nieźle zaopatrzony. Już nie tylko puszki z rybą, mlekiem, ciastka i makaron, ale i piwo, i napoje, i ryż, a nawet... papryka!

I właśnie tę paprykę jedliśmy później (nadziewaną ryżem) na kolację.

Aby opuścić Tadżykistan, musieliśmy nie tylko przebrnąć przez szpaler znudzonych biurokratów na granicy, którzy w metalowych, podobnych do rur barakach oglądali chińskie filmy i tylko szukali okazji do pogrzebania w naszych sakwach. Nie tylko musieliśmy przeczekać, aż ten element ludzki poprzegląda sobie nasze paszporty, leniwie wbije pieczętki i odeśle do leżącego jakieś 20 kilometrów dalej posterunku kirgiskiego.

Musieliśmy jeszcze wjechać na kolejną przełęcz i prosto w dolinę Markansu, nazywaną Doliną Tornad. I nagle jakby stało się coś magicznego. Czuliśmy się nie tak jak Magellan, przed którym Ocean Spokojny pokazał swą nietypową twarz, bo nam prawdziwie, w pełnej krasie i z pełnym impetem, ukazała się cała dolina. Stojąc na przełęczy Ul Bulaik, ujrzeliśmy suchą rynnę i tańczące po niej z lewa na prawo sześć olbrzymich tornad. Niosły w sobie tyle pyłu i rwały się tak wysoko w górę, ochronione szczytami gór przed rozwianiem, że aż trudno było nam uwierzyć, iż patrzymy na dzieło przyrody, a nie geometrii. Były tak wyraźne i tak idealnie proste, że aż wydawały się sztuczne.

Karawany przemierzające Jedwabny Szlak nie bały się pustyni Gobi tak bardzo jak tej 30-kilometrowej pustyni Markansu. Nie jedna i nie dwie zaginęły tu na zawsze, ciśnięte pomiędzy góry i rzucone na pastwę kolejnych trąb powietrznych. Gdy Rosjanie budowali tu drogę, niecałe 80 lat temu, najpierw postanowili pozbierać wszystkie walające się po całej dolinie kości i mumie.

Dolina Śmierci.

Umarła Dolina.

Dolina Tornad.

To samo miejsce i żadnego przyjemnego tłumaczenia nazwy.



Jak szybkie i przerażające musiały być tu burze piaskowe, skoro znajdowano kości owiec i wilków wymieszane ze sobą? Jak nagle musiała spaść na nie śmierć, skoro nie potrafiły nie tylko uciec, ale nawet się rozbiec? Czy w strachu przed śmiercią w ostatniej chwili postanowiły zbić się w jedno stado, by przeżyć?

Ale o tym wszystkim, o tym strachu podróżnych, o kościach, o przerażających historiach dowiedzieliśmy się później. Dużo później.



[1] Z rosyjskiego: "oczywiście".

[2] Z rosyjskiego: "szklanki".

[3] Z rosyjskiego: "skąd?".

[4] Z rosyjskiego: "Rozumiesz? Takie życie".

[5] Z rosyjskiego: "Napijcie się herbaty?".

[6] Modlitwę.

[7] Z angielskiego: "niebezpieczeństwo".

[8] Doliny w dzisiejszym Pakistanie.

[9] Słowo "gupsar" pochodzi z języka perskiego i oznacza "prom". Gupsary robione były ze skóry całego zwierzęcia. Ściągano ją tak, by jak najmniej ją nacinać — w ten sposób powstawał worek. Najczęściej gupsary robiono ze skóry wilków lub kóz. Kiedy przez rzekę chciał się przedostać pojedynczy mężczyzna, po prostu pompował gupsara i trzymając go lewą ręką, rzucał się na wodę, a prawą wiosłował na drugi brzeg. Jeżeli na drugi brzeg trzeba było przeprowadzić kobiety, dzieci lub małe zwierzęta, budowano z gupsarów mały prom. Wiązano kilka razem, a na górze rozkładano skóry, by utworzyć platformę. W takim przypadku promem sterowało kilku płynących mężczyzn.

[10] Długa do kolan męska koszula noszona przez muzułmanów od wschodniego Iranu po Bangladesz.

[11] Robert Gałka, znany wszystkim jako Izi, zginął w wypadku motocyklowym 26 lipca 2010 roku w Tadżykistanie, w Korytarzu Wachańskim. Miał 37 lat.

[12] Homestay można przetłumaczyć z języka angielskiego jako: pobyt u kogoś w domu.

[13] Z rosyjskiego: "pamirskie dziecko".

[14] Słona herbata z dodatkiem mleka. Chleb moczony w takiej herbacie to podstawowy posiłek w Pamirze.

[15] Z języka perskiego: "proszę pana", ale dużo bliższe, bardziej osobiste niż polskie.



Chiny

Kaszgaria

Chiny wzbudzają emocje. Nieważne jakie, ważne, że tych emocji jest dużo. Dla Jensa, którego spotykaliśmy na naszej drodze już kilka razy, było to coś cudownego. Wyjechał "spod domu w Dreźnie", jak sam mówił, oddał klucze właścicielowi mieszkania i ruszył w drogę. Jens to człowiek, który pali paczkę papierosów dziennie, ma dość sporą nadwagę i wiecznie tryska dobrym humorem. Kiedy dojechał rowerem do Chin, nie mógł się nacieszyć: "Stary, zjechałem do Chin na rowerze. Czujesz? Ale numer! Ja, na rowerze, do Chin!".

Góry zostały za nami. Niemal nagle i niemal "tak po prostu" wjechaliśmy w amfiteatr doliny rzeki Kizil-Su. Choć były to Chiny, nazwa rzeki wciąż była kirgiska. Po lewej stronie rozpościerał się niewidoczny dla nas Tien-szan, daleko po prawej Muztagh Ata, czyli sięgający nieba Ojciec Wszystkich Lodowych Gór, i Karakorum ukrywające przed nami Pakistan.

Za nami został Pamir. Przed nami rozpościerała się brama wiodąca doliną rzeki w stronę Kaszgaru i pustyni Takla Makan, która przerażała już samą nazwą.

Cóż to musiało być za miejsce, którego nazwa opisywała albo twoją własną słabość, albo potęgę natury! Nazwano je Takla Makan — Labirynt, co tłumaczy się często jako: "wejdiesz żywy, ale już nie wyjdiesz" lub bardziej zwyczajnie: "miejsce łuków, miejsce wydm".

Nie bez powodu podróż z Kaszgaru na drugą stronę pustyni mogła trwać

nawet rok. W końcu karawana obładowanych wielbłądów, i to przy dobrych dniach, gdy sprzyjała jej pogoda, mogła przejść 45 kilometrów dziennie. Nawet dużą karawanę ciągle prześladowała groźba głodu, utraty wody, zgubienia drogi w pustynnej burzy czy zwykłego napadu. Życie codzienne karawany dalekie było od przygody i romansu, a najważniejszym pytaniem wcale nie było: "Ile się na tym wszystkim zarobi?", ale: "Czy wróci się kiedyś do domu?".

Niebo było ciężkie od pustynnego pyłu, wiatr wiał prosto w twarz.

Betonową drogę wciśnięto pomiędzy góry z gliny i kamieni. Rzeźbione deszczem i wiatrem.

Co jakiś czas droga przecinała koryto sezonowej rzeki. Chińczycy, zamiast walczyć z rzeką, puszczali drogę w poprzek jej koryta. Umacniali twardym betonem i stawiali znaki drogowe przestrzegające przed wodą, która okresami mogła być bardzo groźna. Byliśmy zaskoczeni genialnością tego rozwiązania.

Zanim jednak to wszystko stanęło nam przed oczami, musieliśmy znów przejść przez rytuał przekroczenia granicy. Po kirgiskiej stronie zegnały nas wesołe dzieci i miasteczko przygranicznych hotelików i restauracji zbudowanych ze starych autobusów. Chaotycznie porozstawiane metalowe "domki", które kiedyś przewoziły pasażerów, rozróżnić można było tylko po tabliczkach wiszących nad drzwiami. Gdzieś, na kawałku deski, ktoś napisał "Hotel", gdzieś indziej "Restaurant". Urbanistą był tu raczej przypadek i ukształtowanie terenu, choć i tak wszystko wyglądało, jakby za porządek uliczek odpowiedzialny był jakiś wybuch, a nie myśl ludzka. Mógłbym pomyśleć, że to na chwilę, że to prowizorka, ale tymczasowości tego osiedla przeczyła trawa obrastająca budynki.

Za nami rozpościerała się nowa, asfaltowa droga, którą żeglowały wśród trawiastych stepów chińskie ciężarówki. Niczym niewzruszone rozwoziły chiński dobrobyt po całej Azji Środkowej. Wielkie kontenery z dospawanymi "brzuchami", zwisającymi między tylną a przednią osią, ukrywały w swych metalowych trzewiach jeszcze więcej. Inaczej wyglądały kirgiskie czy tadżyckie kamazy, które skromnie rozwoziły chiński import po małych miasteczkach. Chińczycy wybudowali tę drogę, aby łatwiej było im podbijać świat, natomiast drogi we własnym kraju zamknęli dla cudzoziemców.

Do Chin było mocno pod górkę. Wąską, krótką serpentynę zatkały całkowicie potężne ciężarówki czekające na wjazd, ale rowery mają w takich momentach pierwszeństwo i wszędzie się wcisną, i nikt nigdy nie zwrócił nam uwagi. Czasami lepiej jest być mniejszym. Można sobie taki rower przeprowadzić pomiędzy wyczekującymi ciężarówkami, dla których tak naprawdę jesteśmy tylko jak komary. Kierowcy widzą w nas

jedynie ciekawostkę, pozwalamy im wyrwać się z apatii granicznych kolejek.

Przed wjazdem na teren przejścia granicznego przeszliśmy pierwszą kontrolę. Tym razem było nas pięcioro: Ania, ja i trójka Szwajcarów. Podszedł do nas młody żołnierz i sprawdził paszporty, zobaczył, że jesteśmy na rowerach, że wiza jest, i zaraz zapytał, czy mamy dla niego jakieś pieniądze. Łapówka? W Chinach? Przecież za to grozi łagier albo nawet kara śmierci! "Chodzi o jakieś pieniądze na pamiątkę! No wiecie, monety z Polski albo Szwajcarii, bo ja zbieram" — rzucił szybko w odpowiedzi na nasze osłupiałe miny. Nikt z nas oczywiście nie wspomniał o tym, o czym przed chwilą myślał, tylko wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem i odparliśmy: "No, niestety. Skończyły się, przyjacielu!".

Dobry humor dopisywał nam przez następne kilkanaście sekund, aż do czasu, kiedy to inny oficer donośnym i trochę jakby wrednym, władcym krzykiem kazał nam wracać i wykladać wszystko na stół.

— Wszystko? To znaczy co? Dokumenty?

— Wszyyyystko! Opróżniamy sakwy, pokazujemy laptopy, wszystkie mapy i książki.

Na pierwszy ogień poszli Szwajcarzy. Ubrania, śpiwory i oczywiście laptopy i książki. Wszelkie książki!

"Jakieś zdjęcia Dalajlamy? Mapy Tybetu? Książki o Tybecie? Cokoolwiek o Tybecie?".

My w zaparte, że nic nie mamy. Nikt z nas nie spodziewał się aż takiej kontroli i nie każdy z nas mówił prawdę. Dla świętego spokoju. Po trójce Szwajcarów przyszła kolej na nas, ale, na nasze szczęście, żołnierze zdążyli się już trochę znudzić i nasze sakwy przelecieli "na szybko", ograniczając się w zasadzie do pytania o mapy i książki. Mapy mieliśmy, ale Pamiru. Książki też, ale kryminały. Oficer zapytał, czy są dobre, i kazał się pakować. Ruszyliśmy z ulgą i zaczęło schodzić z nas napięcie. Martin "nagle sobie przypomniał", że ma na twardym dysku przewodnik po Tybecie, Andy, że w wewnętrznej kieszeni sakwy ma śliczną mapę Tybetu, a my, że przecież mamy jakiś film i dużo tybetańskiej muzyki. Zaczęliśmy się nerwowo śmiać i jakoś nam ulżyło, do czasu kiedy zupełnie bez sensu rzuciłem, że słyszałem kiedyś, iż Chińczycy montują na przejściach granicznych mikrofony i podsłuchują. Po raz kolejny w życiu pomyślałem, że trzeba było trzymać język za zębami. Zapanowała cisza i ogarnęła nas lekka paranoja.

Po kilku kilometrach, już w budynku kontroli paszportowej, poszedłem na pierwszy ogień. Na głęboką wodę. Trzeba było się nie odzywać.

Pierwsza kontrola, druga, jeszcze pieczętka, jakiś podpis i ostatni oficer sprawdzający paszport tuż przy drzwiach wyjściowych. Nagle ktoś zawołał do mnie z głównej hali: "A bagaże mieli już państwo sprawdzane?"

Oczywiście! Tam przy bramie wjazdowej! "Na pewno? A, to wszystko gra. Do widzenia i witamy w Chinach!".

Zajechaliśmy do kraju wieprzowiny i dziwnych potraw. Smażonych bambusowych szcurów, kurzych łapek, zupy z gęsich języków i kurczaków smażonych... w całości.

Im dalej od granicy, tym więcej otaczało nas oznak życia. Osiedli ludzkich, wałęsających się wielbłądów, które na początku robiły na nas wielkie wrażenie, ale po setnym przestaliśmy niemal zwracać na nie uwagę. Dojechaliśmy do Chin, od miesięcy czekaliśmy na te baktriany znane nam z obrazów o Jedwabnym Szlaku, a na koniec, kiedy były, nie robiły na nas większego wrażenia. Pierwszym robiliśmy zdjęcia, szczęśliwi jak dzieci, zatrzymywaliśmy się i przyglądaliśmy się, jak jedzą, jak na nas spoglądają, by po godzinie przejeżdżać obok i tylko sobie żartować: "O, patrz, wielbłąd! Jeszcze takiego nie widziałem! A ty? Też nie? No to patrz. Tutaj spaceruje z dziesięć, tam ze dwadzieścia. Dobrze się napatrz!".

W niewielkiej wiosce zbudowanej ze smutnych domów przyozdobionych transparentami i obwieszonych megafonami spacerowało trzech zomowców w pełnym uzbrojeniu, jak przy zamieszkach. Był w końcu ramadan. Czas muzułmańskiego postu, który za kilka dni miał się skończyć wielkim świętem, i trzeba było co krnąbrniejszych muzułmanów wystraszyć. Przytrzymać za mordę, by nie powtórzyły się zamieszki i lincze, takie jak kilka tygodni wcześniej w Urumczy. Ciężkie jest życie okupanta. Zawsze musi straszyć, zawsze spoglądać do tyłu, czy ktoś nie mierzy w jego plecy. Nie może reagować na dowcipy i docinki dzieci, bo przecież ich nie zastrzeli. Świat by się oburzył, no i dorosłym mogłoby nawet przestać zależeć na życiu i jeszcze by ruszyli do ataku. Ciężkie jest życie okupanta: z obowiązku przejechał kilka tysięcy kilometrów do ziemi, której nie rozumie, i tylko domyśla się, o czym mówią miejscowi, patrząc na niego i wybuchając rubasnym śmiechem. Oderwany od domu, sam, w obcym świecie, którego coraz bardziej nienawidzi, bo i jego tutaj nienawidzą. Świat, który propaganda "sprzedała mu" jako gorszy, jako potrzebujący pomocy i opieki, a który od dziesiątków lat wciąż "nie rozumie", że tej pomocy potrzebuje.

W niewielkiej wiosce na końcu Chin spacerowało trzech zomowców z frustracją ukrytą pod surową maską władzy i bezwzględności, a Kirgizi pozdrawiali się nawzajem i pokrzykiwali wesołe "salam alejcum" do mijających ich turystów.

Wystarczyło spojrzeć na ten łagodny, smukły krajobraz, by wiedzieć, że to Chiny. Takie jak z obrazka przedstawiającego karawanę. Od pustyni Iranu nie było jeszcze tak doskonale "jedwabnego" krajobrazu. Znowu poczuliśmy się tak jak na granicy tadżycko-kiргiskiej kiedy krajobraz

zmienił się nagle i dosłownie po przekroczeniu linii wyrysowanej na mapie. Tutaj było to samo. Poprzednim razem pustkowia Pamiru nagle się zazieleniły. Nagle zaczęła wszędzie wyrastać trawa, na której pasły się konie i poustawiane były namioty. Tym razem trawa została w Dolinie Ałajskiej, a u naszych stóp pojawił się rzeczny żwir i gliniane góry. Jakby brama do Chin była bramą do innego świata wypełniającego się rozpędzonymi ciężarówkami. Wjechaliśmy do miasteczek pełnych owoców, warzyw, wszelkiego chińskiego dobra i ciekawskich ludzi zbierających się dookoła nas.



W Azji Środkowej nauczyłem się obcym ludziom odruchowo na dzień dobry podawać rękę. Nagle nikt nie rozumiał, o co mi chodzi. Czy my się znamy? Spotkaliśmy się już wcześniej? Podanie ręki było zarezerwowane dla starych znajomych lub dla notabli, a nie dla turysty, który pojawił się w sklepiku nie wiadomo skąd i po co. Jak głupi wyrwałem się z tą ręką raz za razem i raz za razem widziałem po ich stronie zakłopotanie, ale też radość. Każdy podawał mi swą rękę, ale nikt nigdy nie wyrwał się z tym pierwszy. Mnie jednak samo "Nín ha'ǎo" czy "Salam alejkum" nie wystarczało. Nie było aż tak bliskie, nie przełamywało lodów. Ta bliskość z kolei dla nich była obca.

Po prostu nie potrzebowali jej.

Byliśmy w innym świecie. Był tak inny od tego, który opuściliśmy, że wydawało nam się, iż nasza podróż rozpoczęła się na nowo. Pierwszy raz przeżyliśmy taką różnicę w Turkmenistanie, który, choć leży tysiące kilometrów od Polski, był nam bardzo bliski i (jak cała Azja Środkowa) totalnie inny niż Syria i Iran. Teraz przyszedł czas na kolejną zmianę. Podróż na kolejny Księżyc. Znowu musieliśmy odświeżyć nasze umysły i przewietrzyć je ze wszystkiego, co wydawało nam się, że już wiemy. Po pierwszych dwustu kilometrach dotarło do nas, że wszystkiego musimy się uczyć od nowa. Mowy, diety, podejścia do ludzi, rozmów z policją.

"Chyba oszaleję! Po wczorajszej baraniej głowie jestem w kulinarnym raju!"
[\[1\]](#).

Po pamirskich makaronach i szirczaju przyszedł czas na biesiady i uczty. Na przyprawy, orzechy i inne drobiazgi pływające w bok czojach [\[2\]](#), najlepsze na świecie jajecznicze z pomidorami i sosem sojowym, miski smażonego tofu, ryżowy makaron z grzybami czy oberżyna podsmażona tak wspaniale, że nie można było się jej oprzeć. Wizyta w sklepie przypominała wizytę "biednego dziecka z prowincji w cyrku". Jak byśmy nigdy nic nie jedli — tak powiedziałyby moja babcia. Dorośli ludzie niemogący się zdecydować, który sok kupić, bo każdy kusił, a półki supermarketów nie pomagały w wyborze.

Trzeba było nadrobić kilogramy zgubione w Pamirze, a zewsząd nęciły smaki i kolory na pudełkach. Jak dzieci szukaliśmy dziwactw. Jakieś suszone owoce o smaku niepodobnym do niczego znanego. Nasi mięsożerni znajomi podjadali za to kurze łapki, jakieś mięsne plasterki zapakowane szczelnie w plastiki. Zwoje, kulki, nitki, których pochodzenia można się było domyślić tylko po obrazku. Na wariata, najwyżej się nie zje. Odda się komuś te dziwne pestki, jeżeli okażą się niesmaczne lub obrzydliwe Orzeszki lotosu? Paskudne! Może ktoś w hotelu się połasi, najwyżej zostawi się na stoliku w holu. Pewnie jakieś dziecko się nie oprze. Nie to co my.

Po trzech dniach pobytu w Kaszgarze przyszedł czas, by za to wszystko zapłacić rozstrojem żołądka. Trzeba było przejść na dietę owsiankową, ale nie był to żaden problem, żadne wyrzeczenie. Musieliśmy się tylko zdecydować, którą z kilkunastu (!) rodzajów owsianki kupimy, które mleko, które masło orzechowe i który dżem.

W 1957 roku Mao Zedong stwierdził, że bez chińskiej biedy i analfabetyzmu nigdy nie doszłoby w tym kraju do rewolucji. Jeżeli Chiny osiągnęłyby standard życia Zachodu, Chińczykom żadna rewolucja nie byłaby potrzebna.

Dziś, kiedy patrzy się na uginające się półki supermarketów, na samochody, domy, wspaniałe szkoły, parki i ogólny dobrobyt w miastach, trudno sobie wyobrazić, by doszło tu kiedyś do kolejnej rewolucji. Masom nie jest ona potrzebna. Po co komuś wolność poglądów, skoro miska jest pełna dobrego makaronu? Po co komuś wolność podróży, skoro bazarowe stragany uginają się od warzyw? Po co komuś opozycja, skoro władza dba o nasze zdrowie, edukację i pełne brzuchy? Okupowane regiony zaludni się Chińczykami, innych się "schińszczy" i Nowe Cesarstwo przetrwa kolejny tysiąc lat.

Nikom nie będzie się chciało walczyć z systemem, który go obficie karmi. Chleb jest, jest go dużo i jest tani, a igrzyska właśnie były, gdyby brać to powiedzenie dosłownie.

Jest taki japoński serial filmowy o Jedwabnym Szlaku. W jednym z odcinków prezentowany jest (właśnie w Kaszgarze) Eid, czyli muzułmańskie święto zakończenia ramadanu. My też znaleźliśmy się w Kaszgarze w czasie Eid. Więc, zgodnie z tym serialem, dookoła nas powinna się odbywać huczna zabawa; ale jakoś nie mogliśmy dopatrzeć się ani tańców, ani festiwalu, który tak dobrze znaliśmy z filmu. Nie mogliśmy się również dopatrzeć wszystkich tych glinianych domów, które filmowano z lotu ptaka. Na filmie było ich tak dużo, że starczyło na prawie 50-sekundowe ujęcie

Pod koniec XIX wieku Kaszgar tworzyło około 6000 domów. Dziś pozostało ich tylko kilkadziesiąt. Zgodnie z zasadą postępu i okupacji.

Może i Eid jest najważniejszym świętem muzułmańskim, ale nie wyglądało na to, że w Kaszgarze. Chiński rząd już się o to postarał. Pomimo plakatów i propagandowych filmów, widać było wyraźnie, że rząd Chin zrobi wszystko, by Ujgurzy stali się mniejszością we własnym kraju, więc dla pewności i w obawie przed zamieszkami wysłali tego dnia zomowców w pełnym rynsztunku.



Tarcze, pałki i karabiny. Wozy opancerzone patrolujące ulice. Odziały ZOMO maszerowały grupami po 10 - 12 policjantów. Co mniej więcej pięć kroków jeden z końcowej dwójki odwracał się i maszerował kilka kroków tyłem, rozglądając się uważnie.

A Ujgurzy siedzieli pod meczetem, mrużyli oczy w ostrym słońcu i nic sobie z tej manifestacji władzy i bezbożności nie robili. Patrzyli na grupki chińskich turystów, którzy niemal bezczelnie zaglądali we wszystkie możliwe zakamarki i wszystkiemu z uporem Japończyka robili zdjęcia. Patrzyli czasem i na białych turystów, odpowiadając uśmiechem na nasze "Eid Mubarak! [\[3\]](#)".

O Kaszgarze rozmawialiśmy już od dawna. Zwłaszcza w głębokim Pamirze, gdy po raz kolejny chowaliśmy się przed zimnem i wiatrem w namiotach, marząc o talerzu pełnym świeżych warzyw. Ta starożytna oaza przywitała nas restauracjami pełnymi wszelakich smakołyków. Wielkimi, nowoczesnymi budynkami pełnymi sklepów i supermarketów. Kilkupiętrowymi księgarniami.

To, co dziś Chińczycy nazywają Xinjiang, nazywano wcześniej Sule, Małą Bucharą, Wschodnim Turkiestanem czy Kaszgarią. Uzbeków, Kirgizów, Tadżyków i członków innych narodów pomimo różnic nazywano jednym imieniem: Kaszgarczycy. Określano ich wspólnym mianownikiem miejsca, nie zaś plemienia czy rodowodu.

Kilka ulic w starej dzielnicy, na tyłach głównego meczetu, wciąż żyje po ujugursku. W niewielkich sklepikach, które przy okazji są warsztatami, można kupić ręcznie robioną łopatę lub wagę. Jakieś szafki. Mimo to dookoła trwa wielkie wyburzanie. Stare, niemal zabytkowe drzwi odłożono na bok, a mury zamieniono w gliniany pył, który kładzie się na ziemi na kilka centymetrów. Ten pył jest tak delikatny, że kiedy idzie się przez rumowiska, wzbija się drobne chmurki. Na wyczyszczonych placach rozrysowano już kredą kształt nowych domów, do których wstawione będą stare, ocalone drzwi. Dookoła wznoszą się wysokie na kilkanaście pięter wieżowce.

Dla spragnionych ujugurskiej kultury pozostał już tylko nocny market, na którym można popróbować lokalnych smakołyków. Smażonej ryby, różnych pierożków i przekrojonej na pół gotowanej baraniej głowy.

Miasto wciąż słynie z nocnego bazaru. A bazar, wciśnięty pomiędzy nowoczesne budynki, wciąż zachwyca obcych swą prymitywną innością.

Ujgurzy

Z czasów ich wielkości, kiedy schodząc z gór Tien-szan, rozlali się po całej Azji Środkowej, podbijając nawet Samarkandę i Bucharę, pozostały tylko smutne wspomnienia. Tysiąc lat minęło od dni ich chwały i dziś nie są oni panami swych domów, ale żyją przyciśnięci butem nowoczesności i Chińskiej Armii Ludowej.

W małych wioskach dookoła Turfan bombardują przechodniów wszechobecne murale. Na szkołach, na ośrodkach zdrowia, na wszystkim, co rządowe. Wszystkie są wyjątkowo do siebie podobne: stary, wychudzony Ujgur dziękuje pielęgniarce za opiekę; stary, wychudzony Ujgur cieszy się ze studni nawadniającej mu pola; młody Ujgur zbiera winogrona, a w dymku unoszącym się z jego głowy widnieje chińska flaga; młoda Ujgurka uczy w szkole, tyle tylko, że z jakiegoś powodu stoi przed dziećmi przy pustej tablicy. Po ujugursku pisać nie może, a po chińsku byłoby pewnie zbyt wyzywająco. Ujgurzy tańczą przy tradycyjnych instrumentach i suto

zastawionych stołach. Wszystkiemu przygląda się kilku uśmiechniętych młodych Chińczyków. Ujgurzy zbierają winogrona, a młody Chińczyk coś im objaśnia. Ujgurzy liczą wielkie sumy pieniędzy przy skupie rodzynek, a Chińczyk trzyma na ich ramieniu swą pomocną dłoń.

Wszystko jest cudowne i wspaniałe.

I oczywiście wszyscy się cieszą. Ci, którym coś nie pasowało, zgnili lub wciąż gniją w więzieniach, lub już dawno przykrył ich piach i żwir pustyni Takla Makan.

Na jednym z takich murali ktoś wydrapał oczy wszystkim szczęśliwym Ujgurom. Zieją do patrzących szerokimi uśmiechami i cementowymi oczodołami.

Jakieś 10 kilometrów od Turfan odgrywa się szopka pod nazwą "Starożytna Wieś Ujgurska". Wstęp — 5 euro. Na parkingu przed tą glinianą i wspaniale wyglądającą konstrukcją (przypomina coś jakby gniazdo mrówek nabudowane na kilka poziomów domostwa) widać kilkanaście autobusów z chińskimi turystami. Każdy ma aparat, a pilot wycieczki biega z niewielką flagą przywiązaną do małej antenki. W tej wsi wszystko jest profesjonalnie zorganizowane, a glina na ścianach idealnie wygładzona. Nigdzie ani jednego papierka i ani odrobiny ducha. Zwykła wystawa, tyle tylko że bez chroniącej wszystko szyby. Puste domy, puste ulice. Martwy wiatr snuje się smutno po tym wszystkim, szukając odrobiny spokoju wśród tabunów ciekawskich turystów.

Tak, podbiliście te ziemie i teraz są wasze. Tak, zamieniacie je na swoje własne. Tak, niszcycie wszystko, co ujgurskie, z wyjątkiem tego, na czym można zarobić, na co można sprzedać bilet. Wydoić Ujgura z jego historii i ją sprzedać. Ślicznie zapakowaną, ale taką, z której on już nic nie ma albo tylko niewiele.

Niedzielny bazar z pamiątkami mieści się niedaleko pozostałości po starym glinianym Kaszgarze. Dziś gliniane domy stoją w parku otoczone halogenami, które podświetlają je w nocy. Tuż obok stoi diabelski młyn, a z tyłu betonowe wieżowce. Na bazarze Chińczycy robią wszystkiemu zdjęcia, przymierzają futrzane czapki, oglądają "starożytne noże" i instrumenty muzyczne.

To właśnie tu łączyły się wszystkie odnogi, drogi i niewielkie szlaki ciągnące z Europy i Persji z tymi okrążającymi Takla Makan i wiodącymi przez Karakorum. Dziś Chiny odcinają od tego wszystkiego kupony warte ogromne sumy pieniędzy.



Chiny zawsze budzą we mnie sprzeczne uczucia. Wspaniałe przemysł, wspaniałe drogi, pociągi, maszyny, moc i zdolność do budowania wielu wspaniałych rzeczy i taka sama zdolność do niszczenia pojedynczego człowieka. Jego wolności, historii, znaczenia.

Jeżeli serce tubylca jest gdzie indziej, jak to mówią, jego ciało nikomu nie pomoże.

Trzeba było przeskoczyć tę ogromną pustynię. Po pustyniach Syrii, Iranu i Turkmenistanu nie chcieliśmy jechać przez kolejną. Nawet jej obrzeżami. W dodatku to nie była kwestia 100 czy nawet 300 kilometrów, tylko trzech tysięcy!

Kilku naszych rowerowych znajomych rzuciło rękawicę nudzie i zwirowemu krajobrazowi. Nudzie i wiatrom. Nudzie i kilometrom. No i nie zapominajmy o nudzie!

Patrzy sobie człowiek na mapę, a tam do Urumczy prosta droga. Ot, rzut beretem, i już się jest. Tak naprawdę jest to jednak dystans jak z Wrocławia do Londynu! Taka ta mapa Chin kłamliwa. Mapa jest mała, a kraj OLBRZYMI tak bardzo, że jakoś trudne to wszystko do wyobrażenia. W dodatku na rowerze jest się tak malutkim, że chyba mrówka czuje się większa niż turysta na rowerze.

Dworzec autobusowy. Bilety można kupić, to prawda, ale na kilka godzin przed odjazdem — czysta loteria. Nie żeby nam się spieszyło, ale jak już człowiek spakuje te wszystkie sakwy, nastawi się na 20-godzinną podróż, a tu mu powiedzą, że "jutro", to jego buddyjska dusza wystawiona jest niepotrzebnie na próbę. Pomimo naszych próśb i jakiegoś pokrętnego tłumaczenia, pani w okienku obstawała przy tych "kilku godzinach", ale obiecała też, że nam pomoże.

W dzień wyjazdu zgłosiliśmy się do niej i sprzedała nam bilety, zamknęła okienko biletowe, zgodnie z zasadą: "zaraz wracam, mam tu cztery turystyczne sierotki", i zaprowadziła nas do autobusu.

"Rowery to musicie rozkręcić, no i dodatkowo zapłacić za nie. Tylko że to nie mnie, ale kierowcy. Nie ma na to biletu, to jego dobra wola" — usłyszeliśmy.

Dobra wola kosztowała 10 euro od bicykla, ale droga była daleka. W przedziale bagażowym obok wylądowały klatki z kurami. Jakoś dziwnie idealnie dopasowane do rozmiarów bagażnika. Jakby specjalnie do tego zrobione.

"Przepraszam! Mam 40 kur do przewiezienia z Kaszgaru do Urumczi. Wie pan, to tylko 24 godziny. Macie państwo takie klatki? A do Urumczi? A jedzie pan volvo czy mercedesem, bo to jest różnica" — nie wiem, czy tak to było, ale jakoś wcale ale to wcale bym się nie zdziwił, gdyby ten dialog tak właśnie wyglądał.

Pani od biletów kazała nam dać pieniądze nie jej, ale właśnie kierowcy. Przyszedł do nas jakiś mężczyzna po czterdziestce, a ona twierdziła, że to właśnie kierowca. Patrzyliśmy na jegomościa trochę podejrzliwie, ale ona upierała się przy swoim. Mieliśmy mu dać pieniądze przed zapakowaniem rowerów, a potem porozkręcać nasze pojazdy.

— Hm, jest pani pewna, że to kierowca?

— Tak! Przecież cały czas wam mówię.

— Ale, wie pani... on ma... tylko jedną rękę.

Nie wiem, czy była już zmęczona i nie chciało się jej tłumaczyć, że to pomocnik kierowcy, czy może jej angielski nie był aż tak dobry, ale facet bez ręki dostał w końcu te nasze pieniądze, a ona się z nami serdecznie pożegnała i życzyła spokojnej podróży.

Spokojnej? Chyba tylko, jeżeli Pani się myli i to nie jest nasz kierowca!

Chłopaki czekali pokornie, aż rozkręcimy rowery, i widać było, że nie byliśmy pierwszymi rowerzystami, jakich spotkali. Stali z boku i nie wtrącali się. Pokazali nam tylko, który to jest nasz kawałek bagażnika, i po kilku minutach przedstawili nas... kierowcy. Uff!

Jednak wszystko było tak, jak miało być. Kierowca musi mieć dwie ręce, nawet w Chinach. Poczuliśmy się uratowani.



Na tak długą podróż Chińczycy wymyślili autobusy sypialne. Z leżankami zamiast siedzeń. W środku autobusu z metalowych rurek zrobiono trzy rzędy piętrowych boksów. Dwa rzędy pod oknami i jeden pośrodku. By zaoszczędzić miejsca, nogi od połowy łydek ukryte są pod półeczką na wodę i buty, a zaraz za nią pasażer z przodu trzyma głowę. Po bokach ma się albo okno, albo reling, albo reling z obu stron. Na mnie wypadło, że spałem pośrodku i miałem reling po obu stronach, ale jakoś nie myślałem, że można z tego kojca wypaść. "Chińczycy wymyślili to dawno temu i działa. Znaczy się, że jest dobrze wymyślone" — powtarzałem sobie w duchu i okazało się, że miałem rację.

Bilety na miejsca na dole były droższe. Na początku myślałem, że to za sprawą tego relingu, ale po pierwszych zakrętach zmieniłem zdanie i postawiłem na chorobę morską. Tym razem też miałem rację.

Na nieszczęście oczywiście.

Winogrona na pustyni

Turfan jest prawdziwym cudem na pustyni. Pomnikiem ludzkiej myśli i samozaparcia. Walki o przetrwanie i zwycięstwa. To nie jest miasto pełne glinianych chat, przytłoczone suszą i upałem, tu wszędzie dookoła rosną... winogrona.

Początkowo trudno uwierzyć, że w sercu pustyni rosną tak zależne od wody owoce. Patrzysz na ten cud i szukasz odpowiedzi w jakiejś magicznej sztuczce.

Tymczasem odpowiedź leży pod ziemią.

Dzięki systemowi trzech tysięcy kilometrów podziemnych kanałów nazywanych tu "karez" woda dociera do miasta i całego regionu z gór Tien-

szan i ich topniejących śniegów.

Kiedy 2000 lat temu mieszkańcy zaczęli kopanie kanałów, wiedzieli dobrze, że zwykle otwarte kanały narażone będą na słońce i co za tym idzie, na utratę wody w upałach sięgających 50 °C. Wiedzieli, że muszą wykopać je pod ziemią. Uprawać tę ziemię oczywiście nie było łatwo. Gdy zima była sucha i w górach spadło mało śniegu, wszystkim groziła susza. Właściciele ziemscy umieli się jednak zabezpieczyć. Kiedy uprawy były marne i chłopi nie mogli spłacić pańszczyzny, zmuszano ich, by oddali dzieci i żonę jako rekompensatę.

Gdy w sierpniu zbiera się winogrona, rozwozi się je do specjalnych suszarni. Na peryferiach Turfan stoi drugie miasto, zbudowane z glinianych, ażurowych bunkrów, w których na drewnianych żerdziach wieszają się kiście winogron. Czasem jest ich tak dużo, że trzeba je rozsypywać nawet na dachach i niewielkich betonowych placach. W powietrzu przez cztery tygodnie unosi się ciężki, słodki i kuszący zapach rodzynek. Kiedyś trzeba je jednak zebrać i oddzielić od łodyg; dziś robi się to specjalnymi maszynami. Ciekawe jest jednak to, że te, nazwijmy je "wytrząsarki", rozrzucają rodzynki na ulicę, a plewy do worków, a nie odwrotnie. W pierwszym momencie wydawało nam się, że może ktoś coś źle ustawił, ale raz za razem powtarzał się ten sam rytuał i przekonaliśmy się, że tak musi być.

Rodzynki na ziemię, łodyżki do worków.

Dobrze, że tym systemem nie robiono jajecznicy.

Byłoby: jajka na ziemię, skorupki do worka.

Kiedy patrzyliśmy na półki chińskiego supermarketu czy stragany pełne wszelkich warzyw, których nazw i smaków mogliśmy się tylko domyślać, trudno było uwierzyć w ogrom głodu w latach 60. XX wieku.

Wszystko zaczęło się, gdy władza centralna zaczęła planować. Natura nie miała od tej chwili wiele do gadania. Od tej chwili to władza centralna decydowała, jakie będą zbiory, jak tłuste będą świnie i ile mleka dadzą krowy. Kury też musiały słuchać władzy i znosić tyle jajek, ile u nich zamówiono, a nie tyle, ile były w stanie.

Podobne pomysły mieliśmy i w Polsce, znamy "300% normy", kolektywizacje i spółdzielnie rolnicze. Jednak skala tego zjawiska była u nas zdecydowanie mniejsza. W Polsce nie umarło z głodu 45 milionów ludzi. Po prostu nie było nas aż tylu. Wtedy w naszym kraju mieszkało ledwie 27 milionów.

W 1953 roku w Chinach skolektywizowano wszystko. Nie tylko pola, ale i narzędzia. Zbiory musiały być sprzedane rządowi po cenie, jaką ustalił rząd. W dodatku miało być ich dokładnie tyle, ile rząd sobie życzył, i

często to "wszystko" nie odpowiadało liczbom w urzędzie planowania. Teoretycznie skup zboża miał zapobiec spekulacjom, ale trudno handlować czymś, czego się nie ma; o to jednak nikt nie dbał. Z Pekinu do najbliższej wsi było dla polityków bardzo daleko. Nie mieli pojęcia, co tak naprawdę dzieje się u ludzi, którzy musieli wykarmić miasta i fabryki. Również i ci, którzy w tych fabrykach pracowali, nie wiedzieli, jak żyło się rolnikom. Podróżować nie było wolno, zresztą nie było kiedy. O wszystkim zatem dowiadywano się z gazet, a te, jak wiemy, pisały dokładnie to, co pisać powinny.

Organizacje humanitarne wyliczyły kiedyś, że człowiek potrzebuje około 1800 kalorii dziennie, by mógł przeżyć. By tyle dostarczyć organizmowi, wystarczy 25 kilogramów ryżu miesięcznie. Takiego nieoczyszczonego, prosto z pola. Urząd planowania Chińskiej Republiki Ludowej pod przewodnictwem Mao jednak o to nie dbał. Postanowiono arbitralnie, że 15 kilogramów na głowę też wystarczy. Rząd musiał jakoś zaoszczędzić jak najwięcej ryżu, by sprzedać go za granicę i spłacać długi rządowi Rosji.

Przy okazji planowanie zrodziło strach i lizusostwo. Pomniejsi dygnitarze, chcąc się podlizać władzy, zawyżali dane o zbiorach. Wysyłali dumne raporty do swoich przełożonych — o wspaniałych plonach, tysiącach upasionych świń i tak dalej. Ci nad nimi mieli oczywiście kogoś nad sobą i tak z kilkuset tysięcy ton ryżu w Pekinie robiło się już kilka milionów, a jak kilka milionów, to można było zażądać od rolników, by je dostarczyli. Przecież było z czego.

Wtedy jednak narodził się strach, tyle że bać się zaczęli lokalni dygnitarze. Jak już się przesadziło i w dodatku pochwaliło nieistniejącym sukcesem, to trzeba było ten ryż i te świny gdzieś znaleźć. Na końcu tej drabinki byli oczywiście chłopcy i to oni dostawali za wszystko po głowie. Jak zawsze.

Pług, sierpy, motyki, łopaty, grabie, wiadra, kosze, wozy i narzędzia wszelkiego rodzaju były zebrane w kolektywach. Nikt nie miał niczego swojego, ale nie wiadomo było właściwie, do kogo to wszystko teraz należało.

Ludzie przestali więc dbać o cokolwiek. Zabrano im wszystko, teraz "wszystko" należało do "wszystkich", więc koniec końców nikt o nic nie dbał. Zwierzęta padały z głodu, chorób i zimna, bo "ktoś" miał je nakarmić i wyleczyć. Łodzie rybackie się rozpadały, sieci gniły, narzędzia ginęły lub rdzewiały.

Po trzech latach w niektórych prowincjach padła połowa bydła i ponad połowa świń. W tym samym czasie, gdy ludzie umierali z głodu, umierały zwierzęta. Padały w komunalnych oborach i chlewach i nikt nie miał do nich dostępu. Ktoś je zaniedbywał, doprowadzając do śmierci, a ktoś inny szybko je spalił, by nie wyszedł na jaw ogrom głodu i zniszczenia.

Zwierzęta cierpiały głód tak samo jak ludzie. Tylko w grudniu 1960 roku z

zimna i głodu w samej prowincji Hunan zdechło 600 tysięcy świń. Te, które nie zamarzyły i nie zdechły z głodu, przetrwały dlatego, że... zjadły te słabsze i mniejsze.

Przez trzy lata, które do dziś oficjalnie noszą nazwę Trzech Lat Katastrofy Naturalnej, a co bardziej zatwardziali komuniści nazywają je Trzema Latami Problemów Ekonomicznych lub po prostu Trzema Gorzkimi Latami wieśniacy nie mieli nowych ubrań, nie mieli leków, nie mieli niczego swojego, a przede wszystkim nie mieli siły i serca, by dbać o cokolwiek.

Nie mieli nowych ubrań, bo w tak bogatym kraju jak Chiny mogli dostać tylko metr bieżący bawełny na rok. Sam na krawiectwie się nie znam, ale z metra materiału to chyba można sobie ręcznik zrobić, ale na pewno nie ubranie na srogą zimę. Jeszcze przed Wielkim Skokiem Naprzód [\[4\]](#), jak poetycko nazwano tę katastrofę, każdy mógł kupić siedem metrów bawełny. W czasach ogólnego dobrobytu kilka osób musiało się dzielić tym samym kocem.

Mao chciał zabronić w ogóle spożywania mięsa. Oczywiście nie wieśniakom, bo tym nie było potrzeby zabraniać, ale mieszkańcom. Trzeba było zaoszczędzić mięso i wysłać je na eksport. Spłacać nim długi za radzieckie fabryki i wszelką pomoc. Mao mógł sobie zabraniać, skoro jego i jego kolegów stoły uginały się od wszelkiego mięsa. Nie wiem, czy to dlatego wśród Chińczyków wegetarianizm jest niespotykany, ale nie można się dziwić ich instynktownej miłości do mięsa. Skoro dzisiejsi 50-latkowie cierpieli głód, oczywiście jest, że dla nich mięso to coś wyjątkowego.

W 1960 roku np. w Szanghaju przypadało 4,5 kilograma mięsa na obywatela. Rocznie! Gdyby ktoś miał problem z matematyką, to daje to jakieś 12 gramów (!) dziennie. Pod warunkiem że akurat "coś rzucili" w pobliskim sklepie.

Robotnicy też nie mieli lekko. Liczyły się tylko normy i produkcja. Nikt nie dbał o koszty tej produkcji. Liczyły się tony stali, a gdy tych brakowało — zbierało się po wsiach garnki, dzwony i pługi, by je przetopić i nadrobić brakujące ilości, albo dosypywało się piasku do stali. Co z tego, że skoro przetopiono pługi, nie było czym orać pola? Co z tego, że kiedy przetopiono garnki i wiadra, nie było w czym gotować lub... czym odstraszać wróble i gołębi [\[5\]](#)?

Dlaczego o tym piszę? I to w książce, która nie jest ani historyczna, ani społeczna? Bo historia otwiera nam oczy. Tłumaczy tak wiele zachowań, tak wiele przyzwyczajęń otaczających nas ludzi, a nijak nie tłumaczy tych pamiątek, kubeczków, talerzyków, obrazków i innego badziewia z wizerunkiem Mao, jakie zobaczyliśmy w Chinach. Mao — wielkiego mordercy.

Mao Zedong znany jest na świecie z kilku powodów. Oczywiście jako przywódca komunistycznych Chin i rewolucjonista, ale również z obrazów Andy Warhola, dzięki którym z żywego człowieka, zbrodniarza odpowiedzialnego za śmierć milionów ludzi stał się ikoną popkultury. Jego kolorowe podobizny zdobią koszulki, wiszą w wielkich galeriach na ścianach lub ozdabiają hoteliki z czerwoną gwiazdą w nazwie.

Każdy (zwłaszcza na Zachodzie) kojarzy tę okrągłą twarz sympatycznego pana z nadwagą i łysiną, łączy ją z czymś kolorowym i prześmiewczym. Komiksowym. Elvis, Marilyn Monroe i Mao wiszą sobie na jednej ścianie.

Największą krzywdą, jaką wyrządzono ofiarom komunizmu, większą od ich cierpień i upokorzeń, było (i ciągle jest) obrócenie komunizmu w żart. W nieudolny system, z którego jedynie można się śmiać pod nosem.

Czerwona gwiazda oraz sierp i młot — symbole największych zbrodni przeciwko ludzkości — stały się elementem komiksów, ozdobą koszulek, okładek płyt. Komunizm wydaje się dziś naiwny i śmieszny. Może nawet najzwyczajniej głupi, a nazywanie restauracji, pubów, klubów i hosteli "Pod Czerwoną Gwiazdą" i ozdabianie ich artefaktami z czasów ZSRR, PRL, NRD itd. wydaje się zabawne i na czasie. Jest po prostu "z jajem".

Mao Zedong zabił swoimi decyzjami, dekrétami, rozkazami i totalitarną władzą co najmniej 60 milionów ludzi, z czego 45 milionów w trzy lata Wielkiego Skoku Naprzód, kiedy to postanowił zreformować rolnictwo. Oczywiście w tym kontekście wielki plakat na ścianie hostelu jest bardzo na miejscu. Koszulka nawet bardziej. Oczywiście Adolf Hitler jest nie na miejscu, ale już Lenin, Stalin, Bierut, Mao, Pol Pot — jak najbardziej. Swastyka, uznana na całym świecie za symbol szczęścia w Europie i USA, zyskała przez hitlerowców zupełnie inne znaczenie, stała się synonimem Zła; ale czerwona gwiazda oraz sierp i młot już są traktowane inaczej, choć stoją za nimi większe zbrodnie. Może dlatego, że nie przelano przez nie aż tyle amerykańskiej krwi?

I tak oto na stoisku z ujugurskimi pamiątkami stały sobie dzbanki na herbatę z uśmiechniętym Mao. Ujgurzy, którzy w czasach Rewolucji Kulturalnej ginęli za nieznaną chińskiego, którym nie raz darowano życie, ale w zamian wrywano i tak nieużyteczny język, teraz sprzedawali turystom pamiątki z radosnym wizerunkiem mordercy mas.

W ujugurskiej dzielnicy miasta, tej niskiej, glinianej i wcale nienowoczesnej, tej z charakterem, a nie budowanej jak z klocków, stoi meczet. Oczywiście zielony i, żeby nie było wątpliwości, jakie to miasto: przyozdobiony rysunkami kiści winogron. Zaraz obok znajduje się piekarnia, gdzie w tandoorze ^[6] wypieka się chlebki, przyklejając je do wnętrza kulistego pieca. Wszystko wygląda biedniej, prościej i bardziej pustynnie, ale właśnie z charakterem. Wystarczy zatrzymać się na

chwilę obok czyjegoś domu, spoglądając nieśmiało na suszące się winogrona, i zamiast "Nín ha'ǎo" powiedzieć "salam alejkum by ludzie zaprosili nas do domu. Na winogrona, kawałek chleba i herbatę. Przy takich spotkaniach nikt nic nie mówi, bo ani oni nie znają naszego języka, ani my ich, ale każdy wie, o co chodzi. O wzajemną ciekawość i zwykle zasady gościnności. Wiadomo, że na herbatę ma się zawsze ochotę, że ten napój zbliża, że czasem można po prostu przy nim usiąść i nie trzeba nic mówić.

Gościnność zawsze będzie dla mnie fenomenem. Jak to się dzieje, że pod wpływem impulsu ktoś zaprasza mnie do domu i nagle, bez żadnej podstawy, zaczyna o mnie dbać? Troszczy się, żeby było mi wygodnie, bym miał co pić itd. Ktoś, pod wpływem impulsu, zaprasza mnie do świątyni swojego domu. Fenomenem jest również dla mnie to, że ja się na to zgadzam. Oddaję się pod opiekę obcym ludziom, wchodzę do ich domu i zamykam przed światem drzwi, zdając się na łaskę i niełaskę człowieka, o którym nic jeszcze nie wiem. Zakładam, że za chwilę wydarzy się coś pięknego, że zupełnie obcy sobie ludzie zbliżą się do siebie. Trudno byłoby przecież myśleć, że ktoś podaje mi herbatę, by mnie skrzywdzić. Żyję z tą naiwnością, z wiarą w jakąś podświadomą jedność.

Ja tak samo jak Oni.

Ten fenomen nigdy nie przestanie mnie zadziwiać.

Jest w tym coś, co zawsze ścisza nam gardło, a ten mój zachwyt gościnnością brzmi czasem jak niekończący się kiczowaty serial.

W Ujgurach widać dumę, kiedy ktoś ich odwiedza. Gdy tylko wchodziliśmy do kogoś na podwórko — spokojnie, grzecznie i dosyć nieśmiało — od razu wymownym gestem zapraszali nas do środka.

Chcecie oglądać? To oglądajcie!

Jakby wrażeń było mało, Turfan jest drugim najniższym położonym miejscem na świecie. Prawie 200 metrów poniżej poziomu morza. To jednocześnie najgorętszy w całych Chinach rejon — tu piasek nagrzewa się nawet do 80 °C. Kiedyś wszystko to zalane było wodą i tworzyło wielkie jezioro, ale pustynia i jej ruchome piaski pokonały wodę, i dziś Turfan leży na dnie wyschniętego jeziora.

30 razy większe

Jest takie chińskie przysłowie: "Co dziesięć mil nawyki się zmieniają, a co sto nawet obyczaje są zupełnie różne". Kiedy patrzy się na Chiny, na te ich skrawki, które przejechaliśmy, nie sposób się z tym nie zgodzić.

Chińczycy nigdy za dużo nie podróżowali. Przez wieki ich drogi były w tragicznym stanie, a i czasu starczało ledwie na uprawę roli i przeżycie. Lokalnym władcom było to oczywiście na rękę. To oni mieli monopol na wiedzę i na prawdę. Ktokolwiek przeciwstawił się starymu porządkowi, robił to na niewielkim obszarze. Mało kto o tym wiedział.

Chiny od wieków dzieliły się na "zewnątrzne", czyli rejony położone daleko na północy i zachodzie, oraz "wewnętrzne", czyli Chiny "właściwe". Mniejsze, ale bardziej zaludnione, lepiej zorganizowane i cieplejsze

Chiny "zewnątrzne" zamieszkiwali Ujgurzy, Mongołowie, Tybetańczycy i Mandżurowie. Na stepach i w górach rządili bandyci, nieurodzaj, powodzie i ostre zimy. Większość bandytów oczywiście pracowała na własny rachunek, ale byli i tacy, głównie tybetańscy, którzy robili to na zlecenie dalajlamy. Rabując i okradając podróżnych, mieli ich trzymać z dala od Tybetu. To, co ukradli, zabili i zgwałcili, było ich zapłatą za umowę zlecenie od buddyjskich duchownych. Nawet niecałe sto lat temu karawany i niezależni podróżnicy oraz zwykli szpiedzy bali się Tybetu jak ognia, wjeżdżali tam dobrze uzbrojeni, a mimo to często nie wyjeżdżali wcale. Dalajlama chciał mieć spokój i w pewien pokrętny sposób jakoś sobie pewnie wytłumaczył, że rabowanie i zabijanie jest mimo wszystko buddyjsko usprawiedliwione.

Tak jak nie istnieją jednolite Chiny, tak nie istnieje typowy Chińczyk. Nie licząc Chińczyków Han, którzy migrują po całym kraju, szukając szczęścia i nowego domu, większość żyje lokalnie. Nawet reklamy typu "Odwiedź nas!" promują konkretne prowincje i wszystko to, co w nich najlepsze, a nie Chiny jako takie. Wychwalają swą wspaniałą historię, wspaniałą kuchnię, wspaniałe zabytki i nowoczesne luksusy. Ta lokalność była od zawsze utrwalana nie tylko odległością od Pekinu i potrzebą umacniania więzi najbliższej społeczności, ale także poprzez dialekty, wierzenia, zabobony, tradycje czy wreszcie... brak dróg. Dziś, kiedy się patrzy na te wspaniałe autostrady, kilometrowe mosty i tunele, aż trudno sobie wyobrazić, że kiedyś ten kraj wyglądał zupełnie inaczej.

Dziś nawet chińskie programy telewizyjne emitowane są z napisami, by "całe Chiny" mogły zrozumieć dialogi.



W czasach pierwszych zapędów kolonizatorskich, gdy Anglicy i Francuzi łąsili się na Chiny, kolej była uznawana przez miejscowych za coś złego. Za zagrożenie dla chińskości, a nawet więcej: zagrożenie dla naturalnego porządku świata — nie było feng shui, jej budowa miała zakłócać spokój zmarłych. Gdy w Szanghaju wybudowano pierwszą linię kolejową, która była oczywiście prywatną inwestycją, miasto kupiło ją i zamieniło stację na świątynię. Przy okazji rozebrano tory. Urzędnicy z Pekinu rozpowiadali, że koleje są śmiertelnie niebezpieczne i zagraniczni inwestorzy próbują się najzwyczajniej pozbyć torów, by uchronić się przed bankructwem we własnym kraju. Inni znów uważali, że ci sami ludzie budują linie kolejowe, by obcokrajowcom łatwiej było rozprzestrzenić się po Chinach.

Dziś tak trudno wyobrazić sobie Chiny bez pociągów. Pewnie gdyby nie linie kolejowe, nie byłoby Chin, jakie znamy. Nie byłyby tak mocno związane, tak coraz bardziej ujednocicane. Chińscy koloniści nie mogliby tak łatwo emigrować do Xining i do Tybetu. Również nam, turystom, nie udałoby się zobaczyć aż tak wielkich połaci tego kraju za tak niewielkie pieniądze i w takiej wygodzie.

By wsiąść do pociągu, trzeba oczywiście, jak wszędzie, kupić bilet. Ale na tym kończy się podobieństwo Europy i Chin.

Kasy biletowe znajdują się poza główną halą dworca, na którą nie da się wejść bez biletu. Nie będę się tu rozpisywał o sztuce kupowania biletu (trzeba dogadać się przez szybę z przerażoną kasjerką, używając do tego rysunków, palców i słownika). Zabiorę was dalej!

Przed wejściem stoi kolejowy strażnik i sprawdza bilety. Następnie trzeba oddać do prześwietlenia wszystkie swoje bagaże i dać się samemu sprawdzić wykrywaczem metalu. Trzeba to oczywiście robić grzecznie i pokornie, bo niemal zawsze jest się do czego przyczepić i gdyby tylko ktoś z

jakiegoś powodu zaczął się kłócić, pewnie wylądowałby w pokoju przesłuchań i kontroli osobistych. Oczywiście turyści są łagodniej traktowani i można wnieść do pociągu nawet scyzoryk. Wystarczy zrobić głupią minę. Poza tym fakt, że turysta nie umie się wyklócić lub odpyskować, robi z niego kogoś bardziej uległego. Gdy już jest się szczęśliwie w hali dworca, trzeba znaleźć odpowiednią poczekalnię. Dobrze, gdy dworzec jest niewielki i ma tylko jeden peron i jedną poczekalnię, ale w dużych miastach jest już inaczej. Tam, gdzie żyje po kilka - kilkanaście milionów mieszkańców, musi być kilkanaście peronów i kilka poczekalni. Na takich wielkomiejskich dworcach z pomocą przychodzą olbrzymie wyświetlacze, na których można sobie — metodą porównawczą — znaleźć numer pociągu wydrukowany na bilecie i numer poczekalni na tablicy. Czasem okazuje się, że akurat nasza jest na prawym skrzydle, na pierwszym piętrze. Dla pewności można jeszcze podejść do jakiegoś mundurowego, który akurat nie zagania ludzi do kolejki, i ma dla nas chwilę. Można wtedy pokazać mu bilet i własną zakłopotaną minę i liczyć, że nas zaprowadzi do właściwej poczekalni.

Poczekalnia gromadzi pasażerów z kilku pociągów i warto ustawić się w kolejce do odpowiedniej bramki. Znowu trzeba szukać po numerze pociągu i znowu warto kogoś poprosić. Najlepiej kogoś, kto nie wygląda biednie i nie ma wszystkich bagaży poupychanych w starych workach. Ci z workami to na ogół ludzie ze wsi: są często bardziej zagubieni od turysty i nie ma co ich jeszcze bardziej stresować. Może być nawet tak, że sami zaczną wątpić w to, czy aby stoją w dobrym miejscu.

W pewnym momencie wszyscy ustawiają się w równą kolejkę. Przychodzi kolejarz, na ogół kobieta, i otwiera naszą furtkę. Wszystkie płotki i furtki wyglądają jak na stadionie piłkarskim, na którym często rozgrywane są mecze podwyższonego ryzyka. Grube rurki, ciasno, nie można nawet we dwie osoby na raz wejść w furtkę. Przy wejściu konduktor dziurkuje nam bilet, po czym idąc za tłumem, potykając się o walizki na kółkach z bardzo długimi rączkami albo będąc potrącanym jutowymi workami, dochodzi się na peron i do swojego wagonu. To jednak jeszcze nie koniec, każdy wagon ma bowiem swojego konduktora, który nie wpuści nikogo do środka bez sprawdzenia biletu. Do tej pory już nawet pięć osób sprawdzało nam bilet, ale przynajmniej mamy pewność, że nie wsiądziemy do złego pociągu. Ostatnim etapem tej kolejowej historii będzie oddanie biletu — jeszcze tylko raz, pod koniec podróży, przy wyjściu z dworca, znowu przeciskając się przez tłumy i metalowe bramki, trzeba będzie ten bilet oddać. Biada ci, jeżeli gdzieś po drodze go zgubisz: ktoś może pomyśleć, że pomimo tych wszystkich kontroli jechałeś na gapę! Na szczęście turyści zwykle są traktowani nieco inaczej i rzadko zdarza się, by ktoś nam odbierał bilet po podróży. Taki bilet jest więc cenną pamiątką, bo podróży chińską koleją nie da się zapomnieć.

Chiński pociąg to taki mały hotel. Musi tak być, jeżeli jedzie się nim na przykład z Kaszgaru do Pekinu, czyli około dwóch dni. Wygodna kuszетка, wagon restauracyjny, w którym pomimo naklejki ZAKAZ PALENIA dusi się w dymie kilku konduktorów (ci przecież po obiedzie muszą sobie zapalić).

Na końcu wagonu stoją duże zbiorniki z wrzątkiem lub, jeżeli to nowszy wagon, na ścianie, w niewielkiej wnęce umieszczony jest kran z wrzącą wodą. Bez tego nie dałoby się wypić tych wszystkich herbat i zjeść tych wszystkich zupek. Typowa zupka chińska mieści się w małym kartonowym wiaderku. Wystarczy odrobinę zerwać pokrywkę, tyle, by dało się wyjąć niewielki widelec i nalać wody. Tym widelcem można potem łatwo zablokować pokrywkę, czekając, aż makaron zmięknie. Łatwiej też z tak zabezpieczonym pojemnikiem przeciskać się przez tłum pasażerów, nie wylewając im zupy na plecy.

Wrzątek przydaje się również do picia niezliczonych słoików herbaty. Oczywiście zielonej, jakżeby inaczej. Przypisuje jej się wiele zdrowotnych właściwości. Nawet sam Mao wierzył, że jest wspaniałym remedium, więc zamiast myć zęby, płukał je tylko zieloną herbatą. Ostatecznie mu wszystkie szcerniały, a po jakimś czasie wypadły, więc trochę z tą wiarą przesadził. Zresztą Mao nie był najlepszym przykładem higieny, skoro nawet się nie kąpał. Wracając do herbaty: czasem zdarza się pić i chryzantemową, ale to zielona rządzi. Nikt tu nie pije ze szklanek czy filiżanek; pije się ze słoików, które coraz częściej są plastikowe (bo tańsze) albo metalowe (bo lepsze), choć wciąż najwięcej jest szklanych. Na dno sypie się oczywiście dużo herbaty, a na górę, ze dwa centymetry poniżej samej krawędzi, zakłada się sitko, które utrzymuje fusy na dnie. Zalewa się to wszystko gorącą wodą i po chwili ma się pół litra wspaniałego, świeżego chá. Takie fusy można zalewać nawet trzy razy.

O wygodę i higienę podróżnych dba kolej. Wieczorem konduktor robi miniprezentację i sprzedaje szczoteczki do zębów. Ktoś mógł przecież zapomnieć i byłoby źle, gdyby przez dwa dni nie mył zębów. U konduktora można też oczywiście kupić ręcznik z mikrofibry. A ten...

"Leeeeeepszy, proszę droooogich pasażeeerów, niż tradycyjny! Leeeeziej wchłaaania wodę, jest mniejszy, no i jakaaaki taaani. Pamiętajcie, obywatele, że higiena jest waszym obowiązkiem, także wobec współpodróżnych!" — przypomina konduktor.

Konduktorzy sprzedają jeszcze też zabawki, książki, gazety, różnorodne jedzenie, a najczęściej kurze łapki. Cały naród chiński zajada kurze łapki. Po każdej wizycie konduktora w wagonie zalega cisza i słychać tylko zbiorowe mlaskanie i wysysanie szpiku. Kiedyś zastanawialiśmy się, dlaczego łapki pakowane są po trzy. Skąd taka liczba? I nagle dotarło do nas, że musi to być opakowanie rodzinne. W końcu każda chińska rodzinka to 2+1.

Do obowiązków konduktorów należy jeszcze zmiatanie co jakiś czas resztek, papierków, opakowań, puszek. Wypożyczają też znudzonym pasażerom odtwarzacze DVD.

Dzieci, jak to dzieci, zawsze znajdą sobie coś do zabawy, a kobiety, jak to kobiety, zawsze mają coś do zrobienia przy dzieciach. Najgorzej tę podróż znosili mężczyźni, i to ci podróżujący bez kobiet i bez dzieci. Siedzieli w grupach i z nudów rzucali w siebie pestkami, śpiewali jakieś piosenki, które coraz bardziej ich bawiły. Najgorsze było jednak, gdy z nudów zaczęli kupować zabawki. A to jakiegoś bączka, który obijając się od nóg innych pasażerów, wydobywał z siebie przerażające dźwięki; a to trąbkę lub coś innego, byle tylko było głośne. I nikt, ale to nikt w całym wagonie nie czytał. Nawet gazety.

Pociąg chiński jest wesoły. Pełny. Ktoś gra w karty, ktoś drzemie. Grupa facetów patrzy na wypięte pośladki jakiejś nastolatki (dżinsowe szorty, rajstopy!), która, szukając czegoś w torbie, postanowiła nie kucać, tylko się nad nią pochylić. Cóż, faceci są wszędzie tacy sami. Dziewczyny zresztą też.



Po piętnastu godzinach pobytu w pociągu, znudzeni już sączącym się z głośników chińskim słodkim popem, zajechaliśmy na koniec pustyni. W 20 godzin w autobusie i 15 w pociągu przejechaliśmy ponad 3000 kilometrów. Zaoszczędziliśmy miesiąc wizy i uratowaliśmy się od szaleństwa. To, co widzieliśmy przez okno, ten jednokolorowy, godzinami niezmienny krajobraz, gotów był nas zmusić do poszukania drzewa, jakieś gałęzi i sznura. Na szczęście dla innych, tych bardziej upartych, którzy poważyli się przemierzyć sami pustynię, o takie drzewo nie było wcale łatwo.

Zanim ruszyliśmy na poszukiwania hotelu, musieliśmy coś zjeść. Niby byliśmy w Chinach, ale ujgurskie klimaty zostały daleko za nami i znów trzeba było zaczynać wszystko od nowa. Ewidentnie wjechaliśmy na ziemię, gdzie nie można było kupić chleba. Zamiast wypiekanych ujgurskich placków Chińczycy za chleb uznawali pyzy drożdżowe gotowane na parze. W

restauracjach też wszystko było inne. Weszliśmy do pierwszej lepszej i z uśmiechem na twarzy, nawet nie zwracając uwagi na menu, które i tak nic nam nie mówiło, poszliśmy do kuchni. Starym zwyczajem: prościej było zobaczyć, "co jest", i pokazać palcem, "co chcemy". Na nasz widok kucharz właściciel, mężczyzna pod pięćdziesiątkę, ruszył w moją stronę i mocno mnie przytulił, powtarzając tylko: "OK! OK!". Wyboru nie mieliśmy, bo weszliśmy do... pierogarni!

W hotelu w Jiayuguan mało kto mówił po angielsku. Dla nas nie była to żadna nowość — nigdy nie oczekiwaliśmy, że ktoś będzie znał angielski. Bardziej nastawialiśmy się na nasze rozmówki i zdolności do pantomimy oraz na dobrą wolę i zmysł ludzi z recepcji. Ku naszemu zaskoczeniu tym razem na recepcji leżała książka-samoróbka z hotelowymi rozmówkami typu "pokaż, o co ci chodzi". Zwyczajnie niezwykajnie. Na kilkunastu kartkach A4 wypisano po chińsku i angielsku wszelkie możliwe pytania i odpowiedzi potrzebne, by przyjąć turystę do hotelu. "Proszę pokazać paszport, gdzie jest pańska wiza, ile nocy zostaną państwo w hotelu" itp. Dla nas znów przygotowano dział typu: "Gdzie jest dobra restauracja, gdzie jest posterunek policji, dziękuję za pomoc". Chińczycy pokazywali nam palcem swoje pytania, a my im nasze odpowiedzi i bez problemu zamieszkaliśmy na kilka dni w wielkim, nowoczesnym hotelu z widokiem na olbrzymie kominy trzech elektrowni.

Innym razem, w innym hotelu, obsługa "rozmawiała" z nami internetowym tłumaczem. Pisaliśmy, o co nam chodziło, a na ekranie pojawiało się niezupełnie gramatyczne, ale zrozumiałe tłumaczenie. Oni pisali do nas znaczkami, a my próbowaliśmy zrozumieć pseudoangielski bełkot internetowego programu. Ale wszystko zadziało i spaliśmy tak, jak chcieliśmy, i za tyle, ile mogliśmy zapłacić.

Na Google Maps, gdy wpisze się "Jiayuguan" i przejdzie się na tryb zdjęć satelitarnych, północna część miasta to wielka czarna plama pyłu węglowego, a zaraz obok, trochę dalej na północny zachód, rozciąga się Wielki Mur Chiński. Oficjalnie to jego koniec, ale dla nas to był dopiero początek. Nie patrzyliśmy na niego jak przybysze z Pekinu, ale właśnie jako ten, kto na Chiny dopiero najeżdżał. Dopiero planował inwazję.



Ciągle siąpił deszcz, było zimno, wietrznie i gdyby nie koniec (a dla nas początek) Wielkiego Muru Chińskiego, pewnie nigdy byśmy nie wysiedli z pociągu; pojechalibyśmy dalej. Ale byliśmy na wyciągnięcie ręki od najsłynniejszego muru świata i trochę głupio byłoby go nie zobaczyć. Mur oczywiście zburzono i wybudowano nowy. Lepszy. Bardziej trwałe i bardziej starożytny niż ten oryginalny. Obok postawiono furtkę, a przy furtce kasę biletową. Przecież nikt nie wyłożył milionów na odnowę tylko po to, by to stało i dawało się podziwiać.

Harmonia z naturą ma w Chinach zupełnie inny wymiar niż na przykład w Europie. Gdy my nareszcie (!) zastanawiamy się, czy nasze działania nie niszczą niepotrzebnie natury, w filozofii chińskiej natura ma rację bytu dopiero wtedy, gdy istnieje w zgodzie z człowiekiem. Mówiąc prosto: to człowiek jest wyznacznikiem tego, czy coś jest dobre, czy nie. Jeżeli góra przeszkadza człowiekowi, to trzeba ją... rozebrać. Omijanie byłoby dowodem ludzkiej słabości, a tak to człowiek rządzi światem, a nie odwrotnie. Językiem naukowym mówi się na coś takiego "antropocentryzm", czyli "człowiek jest w centrum".

Pewnie dlatego zwierzęta traktowane są jak rzeczy. Nie wnikam tu w to, co kto lubi jeść, bo to nie moja sprawa, ale przywiązywanie kozy do rzeźniczego stołu, na którym właśnie leży już inna koza, poćwiartowana i gotowa do sprzedaży, jest jednak nie w porządku. Jakkolwiek na to patrzeć.

Stoiska z mięsem. Wiszącym to tu, to tam, z walającymi się na chodniku obciętymi głowami zabitych zwierząt, z wnętrznościami leżącymi w bramie; ktoś nad nimi właśnie sobie przystanął, by zapalić.

Najbardziej szokujące w Chinach wcale nie były bowiem ilości śmieci wysypywane na pustyni, wielkie elektrownie i wielość dymiących

kominów czy nawet to, na jaką skalę burzy się wszystko, co stare, po to tylko, by w tym miejscu zbudować olbrzymie wieżowce. Najbardziej szokujące było podejście do natury. Do zwierząt i ich życia.

Mahatma Gandhi mówił, że wielkość narodu i jego morale można łatwo osądzić po tym, jak traktowane są przez ten naród zwierzęta.

Gdyby miał zawsze rację, to Chiny nie wyglądałyby na cywilizowany i moralny kraj. W Chinach zwierzę to taka sama rzecz jak kapusta. Tak samo jak warzywo służy do jedzenia, nie zaś do zastanawiania się, jak je należy traktować. Właśnie dlatego przez tę chińską filozofię — że to człowiek decyduje, czy coś jest użyteczne, dobre i właściwe, czy też nie — tak łatwo być okrutnym.

Wszystko musi być praktyczne. Praktyczne właśnie będzie przywiązanie kozy do rzeźnickiego stołu, na którym leży już inna koza, wcześniej poćwiartowana. Co z tego, że zwierzę widzi i wie, o co tutaj chodzi? Przecież tak jest łatwiej, po co łazić po kolejną kozę, skoro można ją mieć tuż przy sobie? Po co zastanawiać się nad jakimiś uczuciami, skoro i tak zaraz ta, która patrzy, zostanie zabita i poćwiartowana?

W Polsce przez lata wrażliwi ludzie walczyli o to, by nie pakować żywych karpia do plastikowych toreb. Ci sami wrażliwi co prawda nie mieli już nic przeciwko temu, by walić ryby czymś po głowie, ale dzięki nim karpie nie musiały już zdychać w plastikowych trumnach.

W Chinach rozwiązano ten problem trochę inaczej. Zamiast młotków i toreb wymyślono sznurek, który przewleka się rybce przez płetwę grzbietową. Majta się toto potem między torbami z zakupami, ale może doniesie się zwierzaka żywego do domu.

Wszystko na migi

"Trudno jest być człowiekiem, ale być pospolitą osobą w Chinach jest jeszcze trudniej" [\[7\]](#).

Zawsze było mi blisko do wsi. Wychowałem się w wielkim blokowisku i zawsze zazdrościłem dzieciakom ze wsi widoków z okna. Stworzyłem sobie obraz ciężkiej zimy, letniej sielanki i biegania boso po trawie. Obraz niczym z wesołego wierszyka.

W tej podróży nie interesowały mnie miasta. Były zbyt nowe i zbyt zhomogenizowane. Takie same w każdym kawałku Chin. Rower dał nam szansę zobaczenia odrobiny chińskiej wsi. Ten widok przytłoczył nas swą prostotą. Ciszą i skupieniem. Wszechobecną pracą, która wyciska z ludzi pot. Chiny wysyłają w kosmos satelity, nawet ludzi, a Chińczycy na wsi pracują motykami, sierpami ścinają ryż, niewielkimi wiaderkami podlewają każdą roślinkę. Ręcznie zbierają kukurydzę, ręcznie zbierają paprykę,

ręcznie obrabiają grządki, ręcznie noszą sałaty na targowisko, ręcznie noszą wiadra z obornikiem i nocnym nawozem [8] na poletka.

Na swoje nieszczęście turysta zwiedza Chiny i ich zabytki w błogiej nieświadomości, obserwując wszystko z okien autobusu. Nie ma kontaktu z żadnym ze 180 milionów ludzi, którzy nie umieją czytać. Nie spotkał żadnego z setek milionów rolników pracujących na budowach i w fabrykach. Nikt mu nie przedstawił bezdomnych, którzy dla kraju są nieistniejącymi ludźmi — bo urodzili się jako drugie, nielegalne dziecko, więc ze strachu przed grzywną rodzice nigdy nie zarejestrowali ich w lokalnym USC.

I taki turysta wraca do domu zafascynowany miastami, drogami, koleją, zabytkami i kwitnącym w Chinach dobrobytem.

Kiedy się patrzy, jak zwykli ludzie pracują bez maszyn w kraju, który produkuje maszyny dla świata, trudno zrozumieć, o co tu chodzi. Jak to się dzieje, że wszelkie kombajny, traktory i inne maszyny rolnicze jeżdżą po Europie i innych zakątkach świata, ale Chińczycy robią większość rzeczy ręcznie?

Zwykłymi sierpami ścinają dojrzały ryż. Ustawiają go w niewielkie snopki i po jakimś czasie wytrząsają ziarna, uderzając snopkami o rodzaj skrzyni. Niektórzy znów wciskają je do niewielkiej maszyny, napędzanej podobnie jak stare maszyny do szycia, a wewnątrz niej obraca się wałek z drutami, które objają źdźbła ryżu.

Niewielkie pola obrabiane są motykami, jak przed setkami lat, tylko czasem ktoś używa spalinowej glebogryzarki. Raz natrafiliśmy na dość duże zbiegowisko na środku drogi. Szybko okazało się, że na polu ryżu ktoś używał minikombajnu — maszyny wielkości dużej kosiarki do trawy. Było to tak niecodzienne wydarzenie, że ludzie zatrzymywali się, by popatrzeć "na wynalazek".

Kilometry kukurydzianych pól i setki ludzi zrywających kolby i obierających je z liści. Kilometry pomidorowych plantacji i kobiety podlewające ręcznie każdy krzak.

Żadnych ciężkich maszyn, żadnej "mechanizacji rolnictwa". Wszystko ręcznie, jak na obrazach sprzed tysiąca lat. Obok pola stoi wielka fabryka i gotowe do transportu kombajny.

W Chinach, gdziekolwiek spojrzeć, wszyscy pracują. Choć w przypadku wielu (zbyt wielu!) wypadaloby raczej powiedzieć: harują. Bo jak inaczej opisać taką scenkę, jedną z wielu powtarzających się na naszej drodze co kilkanaście kilometrów: poboczem drogi idzie starsza pani. Może po sześćdziesiątce. W gumowcach lub "chińskich trampkach", z zawieszonym na plecach koszem jakiegoś chrustu lub liści. Pochylona ciężko do przodu, z lekkim garbem, wspierając się na dwóch bambusowych laskach, drepcze powoli do domu. Niesie jakieś liście,

którymi nakarmi swoją krowę. Łąk tu nie ma, bo to akurat góry, więc by nakarmić zwierzę, trzeba mu naznosić czy to trawy, czy to właśnie liści. Dom oczywiście stoi na stoku, do niego prowadzą schodki. Jak na złość długie.

Na kogokolwiek spojrzeć w Chinach, ten coś robi. Daleko w polu lub w pobliskich krzakach. Nie ma tu nikogo młodego. Młodzi wyjechali do szkoły, do miasta, i już nie wrócą. Wieś się zestarzeje i upadnie, tak jak opuszczone domy, których jest coraz więcej. Połowa Chińczyków mieszka już w miastach. Druga połowa walczy z biedą na wsiach.

Produkują dla miast jedzenie w ciszy zapomnienia.



Przesada? Niestety nie. Codzienność.

Spotykaliśmy takich właśnie babć kilka lub nawet kilkanaście dziennie. Każdego dnia. We wsiach lub między wsiami. Babcie do zawieszonych na plecach wora zbierają plastikowe butelki na sprzedaż. Dreptały przygarbione latami pracy.

Pomimo to gdy powiesz takiej kobiecie "dzień dobry", często na jej ustach zobaczysz uśmiech. Jeżeli ma siłę. Czasem "dzień dobry" takiej kobiety brzmi jak wymęczone, więc w końcu trzeba przestać się narzucać z wielkimi uprzejmościami. Wystarczy popatrzeć sobie w oczy, kiwnąć głową i okraszyć to uśmiechem i już, przecież wystarczy.

Dookoła tylu pracujących ludzi.

I niemal wszystko odbywa się tu ręcznie.

Sierpem, młotem, łopata, własnymi mięśniami.

Kobiety na równi z mężczyznami.

Kobiety przy betoniarkach.

Kobiety przy cegłach.

Kobiety w składzie złomu.

Starsza pani w okularach niczym denka słoików, przy żarówce, o ósmej wieczór przy wielkiej tokarce.

Z uporem maniaka Chińczycy niszczyli wszystko, co stare. Nie tylko to materialne, ale i mentalne. Całe to stare myślenie, stare przyzwyczajenia i tradycje. Niszczyli fizycznie, rujnowali nie tylko świątynie, ale i ludzkie życia. Profesorów, artystów, nawet zwyczajnych, starych ludzi, którzy żyli bardziej tradycyjnie niż inni. Wszystko, co było w jakikolwiek sposób stare, trzeba było zniszczyć. Spalić. Pogrzebać, by zrobić miejsce dla nowego, jedynie słusznego postępu. Liczyło się tylko nowe, tylko to, co było przyszłością lub socjalistyczną teraźniejszością.

Nazwano to Rewolucją Kulturalną.

Czy to właśnie przez to ludzie, których spotykaliśmy, nie mogą być, ot tak, ufni, zadowoleni czy rozluźnieni? Czy to przez fakt, że przez lata musieli się pilnować przed tym, by nie słyszeli ich inni, przed własnymi pomysłami, przed własnymi marzeniami, a nawet przed... posiadaniem starej książki?

Pewnego razu przyszło nam spać w czyimś polu kukurydzy. Przy wielkiej asfaltowej drodze nie było żadnej łąki ani żadnego zagajnika, by rozbić namiot, i trzeba było spać w kukurydzy. Na szczęście na skraju pola znalazł się placzyk po już zebranych roślinach. W sam raz na dwa namioty i osłonę od drogi.

Z samego rana, kiedy jedliśmy nasze śniadanie (stałe menu: płatki owsiane), przyjechał na to pole jego właściciel, starszy pan, z wnukiem. Chłopczyk siedział w wozie przypominającym małą odkrytą klatkę, ciągniętą przez osiołka. Mimo że spaliliśmy u nich na polu, oni jakby nie zwrócili na nas uwagi. Po prostu właściciel zaparkował osiołka kilka metrów od namiotów, odczepił mu wózek i poszedł zbierać kukurydzę.

Oczywiście ręcznie. Podobnie jak wszyscy inni dookoła, którzy zbierali kukurydzę czy paprykę. Tasakiem ścinałi łodygę, a potem ręcznie odrywali kolby i oczyszczali je z liści.

Kolba po kolbie i na wózek.

Starszy mężczyzna spoglądał na nas czasem, ale nic nie mówił. Nie padło ani "dzień dobry", ani "wynocha z mojego pola". Nic. Tak samo zachowywał się jego wnuczek. Jakby nas nie było. Dopiero gdy poszliśmy się przywitać, starszy pan zaczął się uśmiechać, a wnuk nabrał jakby więcej odwagi.

Jednak wszystko na dystans.

Chińczyk patrzy na ciebie z kamienną twarzą, a jego myśli nie da się nijak rozgryźć. Patrzy, milczy i jakby wcale nie widział. To twarz-maską. Ty machasz, nauczony doświadczeniem, wykrzykujesz swoje "Nín ha'ǎo!" i nie wiesz, co będzie dalej. Odezwie się czy nie? Zrobiłem właśnie z siebie wariata czy też...? Nagle, niemal zawsze i bez większego względu na wiek czy płeć, chińska twarz jakby eksplodowała! Radością i uśmiechem. Tak samo oczy. Wielkie i przyjazne. I już wiesz, że warto zagadywać, pomachać, powiedzieć "dzień dobry".

Dziś w Chinach wszystko to, co wcześniej zostało zniszczone, odbudowuje się. Wydają na to miliony i chwalą się całemu światu, jak pięknie to teraz będzie odnowione. Że będzie zgodnie z tradycją, drogo, że pracuje się z wielką determinacją. Za wszystkie atrakcje trzeba oczywiście odpowiednio dużo zapłacić — czasy masowego turysty dotarły wszak i tutaj. Do Chin, do Tybetu, do Kaszgaru.

A bardziej bezczelnego turysty niż chiński świat chyba jeszcze nie widział. Gdy my nieśmiało zaglądaliśmy na ujuurskie stragany, oni niemal zaglądają Ujgurom w zęby. Są przecież panami tego kraju i wszyscy inni są ich poddanymi. Albo dziwadłami w dziwaczkich ubraniach o dziwaczkich tradycjach i wierzeniach. Trzeba ich dobrze pooglądać! I zrobić kilka zdjęć, trzymając wystraszonego Ujgura w ramionach.

W Tybecie trzeba się pochwalić światu odbudową klasztoru. Tego samego, który się wcześniej spaliło, ale teraz ważniejsze są miliony wydane na odbudowę. Przecież lepiej to brzmi w mediach. Po co przypominać inwazję, okupację, zniszczenia?

W internetowych serwisach o turystyce w Tybecie trzeba pokazać stare zdjęcia ludzi w kajdanach, w biedzie, w głodzie. Stare, czarno-białe, smutne zdjęcia sprzed wizyty wyzwolicielskiej Armii Ludowej. Zaraz obok widać zdjęcia nowe, kolorowe i radosne.

Dziś stawia się w Chinach tablice "ostrzegające" przed pięknem natury.

Wjeżdżasz na teren naturalnego piękna. Jedź powoli".





Chińczycy często się śmieją. Robią zakupy na bazarze, zagadują się nawzajem i co rusz ktoś wybuchą śmiechem. Często jednak śmieją się z rzeczy, których nijak nie potrafiliśmy pojąć.

Pewnego razu chodnikiem szedł chłopak. Młody, zapatrzony gdzieś przed siebie. W tym samym czasie ze sklepu wychodził mężczyzna z długą rurą. Nie mógł tego chłopaka widzieć, a i młody wcale się za bardzo nie rozglądał. I oczywiście chłopak wpadł na tę rurę. Dość mocno, ale na jego szczęście była nisko i uderzył się tylko w ramię, za które się odruchowo złapał. Wszyscy przechodnie, którzy to widzieli, wybuchnęli śmiechem, a chłopak poszedł dalej.

Innym razem pod naszym rowerem, w cieniu sakw, położył się szczeniak. Taki naprawdę mały. W niczym nam to nie przeszkadzało, bo jeszcze nie wybieraliśmy się w drogę. Nagle podeszła właścicielka knajpki i nogą starała się wypchnąć małego spod roweru. Jako że nic sobie z tego nie robił, wymierzyła mu zgrabnego kopniaka podsumowanego szczenięcym piskiem... i salwą śmiechu gapiów.

Nie wiem, z czego to się bierze. Niby kraj komunistyczny i wszyscy są równi, ale może to tylko takie dziwne poczucie humoru? A może wciąż, pomimo upływu czasu, żyje w ludziach stare powiedzenie: "Tych nad sobą należy się bać jak tygrysów, a tych pod sobą można kopać jak psy"?

Jeżeli ktoś myśli, że gościnność wymaga znajomości języka, to jest w dużym błędzie. Gościnność, życzliwość i uczynność wymagają jedynie trzech rzeczy:

dobrego serca, pomysłu, dobrej woli.

Dobrego serca, by poczuć w sobie potrzebę podzielenia się na przykład kilkoma pomidorami. Właśnie czterema, bo tylu nas jedzie przez Chiny.

Samego pomysłu, żeby coś zrobić. Po prostu. Stoi czterech rowerzystów na poboczu. A niech tam, zatrzymam się i dam im po pomidorze. Na pewno się ucieszą. No i zwykłej dobrej woli. W końcu trzeba zahamować, stanąć na środku drogi, zsiąść z wózka, wygrzebać te pomidory, uśmiechnąć się, zagadać.

Aż tyle potrzeba.

Raz po raz, czy to na bazarach, czy w knajpkach, czy na środku wielkiej drogi różni, ludzie próbowali coś dla nas zrobić.

Cokolwiek.

Za jeden uśmiech.

Choć właściwie to za cztery.

I za błysk w oczach.

I za pamięć.

I za te kilka słów tutaj.

Przemierzanie Chin rowerem jest najlepszym sposobem, by choć odrobinę ich uszczknąć.

Nie, wcale nie dlatego, że Chiny to państwo rowerów, bo te czasy odchodzą w zapomnienie. Dziś elektryczne skutery zastępują wszechobecny "zixingche", czyli maszynę poruszaną mięśniami. Na chińskich drogach jest ich już ponad... 100 milionów, a w takich miastach jak Kaszgar wyparły rowery całkowicie. Tylko dzieci, i to nieliczne, jeżdżą jeszcze rowerami do szkoły.

Dziś trudno wyobrazić sobie Chiny bez roweru. Gdzieś, przez lata, ukształtowaliśmy sobie obraz Chin z rowerem w tle. Nie jednym i nie tysiącami, ale właśnie milionami.

Tymczasem rower w Chinach był czymś niekoniecznie popularnym i pożądanym do czasów przejęcia władzy przez komunistów w 1947 roku. Wcześniej tylko armia zastanawiała się nad zakupem rowerów. Były tańsze od koni i koniec końców niewiele wolniejsze.

Rower był postrzegany jako zachodnie dziwactwo i tylko nowobogaccy, i to właśnie ci zorientowani na zachodnie mody i gadżety, jeździli na rowerowe przejażdżki. Podobnie jak... prostytutki, które właśnie dzięki rowerowi mogły na jakiś czas uciec ze swoich ulic. Nie tylko miały stosunkowo dużo pieniędzy, ale i rzadko przejmowały się opinią innych.

Jest inny powód. Bardziej przyziemny i nawet mający polityczny podtekst. Rower daje po prostu wolność wyboru kierunku i miejsca. Brzmi to lekko filozoficznie, ale w kraju, w którym rower jest jedynym

pojazdem, którym jako turysta można podróżować samemu i jechać, dokąd się chce, cała ta filozofia staje się codzienną praktyką.

Ta "wolność wyboru" jest i tak reglamentowana.

Wszystko, co ma silnik, wymaga tymczasowej rejestracji i obecności przewodnika, który bardzo często jest również strażnikiem. To on pilnuje, byśmy poruszali się po ustalonej wcześniej trasie. Dlatego by wjechać na teren Chin np. motorem, trzeba wszystko już wcześniej zaaranżować. Skąd - dokąd - kiedy? Zapłacić agencji nawet 1000 dolarów, dać się odebrać na granicy i pojechać dokładnie z planem. Dobrze, jeżeli przewodnik jest bardziej człowiekiem niż urzędnikiem, i rozumie, że prawo prawem, a życie życiem, i na przykład spotyka się z takim motocyklistą co kilka godzin. Kontrolnie i żeby było go widać. To znaczy: "żeby policja go widziała". Kiedy wjeżdża się do Tybetu, potrzebne jest pozwolenie i teoretycznie nie wolno jeździć tam rowerem ^[9]. Po to ma się jeepa i przewodnika, by was przewiózł przez Tybet, bo ta podróż nie jest po to, byście się świetnie bawili i przeżywali przygodę życia. Nie po to, byście chępli się tą swoją "wolnością wyboru". Na szczęście są agencje, które tę przygodę rozumieją, i jeep jedzie za rowerzystami lub czeka na nich kilka kilometrów przed posterunkiem policji. Tam ładują rowery na dach i udają, że wszystko jest "jak w papierach". Co prawda za kilkaset euro od osoby, ale jeżeli ktoś na to stać i nie musi dbać o pieniądze...

Ale to Tybet, a my właśnie z tych powodów do Tybetu ostatecznie nie wjechaliśmy. Jechaliśmy w Chiny. Dosłownie wbijaliśmy się w niewielkie drogi, niewielkie wsie, gdzie wszystko było inne niż w miastach. Bliższe naszemu marzeniu o Chinach. O obrazkach znanych z książek i słynnych akwareli. Szukaliśmy tych Chin mocno i wciąż i wciąż nam się nie udawało. Miasta przerodziły się w nowoczesne mołochy budowane według schematu, który powielał się co kilkadziesiąt kilometrów. Przejeżdżając przez kolejne, nie mieliśmy poczucia odległości, poczucia, że gdziekolwiek się przesunęliśmy, tak bardzo podobne były do siebie. Takie same hotele, wysokie na 20 pięter bloki, centra handlowe, szerokie ulice, parki. Wszystko jak z fabryki i bez lokalnego charakteru. Powielane aż do znudzenia.

W tych wielkich miastach ludzie zamieszkali w klatkach. Kto może, ukrywa się za wmurowanymi w okna kratami i o dziwo: im młodszy jest dom, tym więcej tych krat. Ładne, można by powiedzieć, elegancko zrobione z chromowanych rurek. Ciągną się od parteru aż po najwyższe piętra. Kto ma balkon, kratuje go na dwa sposoby. Albo zwyczajnie: robi sobie z balkonu wybieg i patrzy na świat przez chromowane kraty, albo montuje kraty w oknach i sam balkon jest miejscem wolności. Co prawda widok jest wciąż betonowy i jedyne, co widać, to kolejny okratowany blok, ale powietrze jest jakby świeższe.

Starsze domy mają za to kraty ze spawanych prętów, kątowników i drutu kolczastego.

Czasem wśród takich krat widać klatkę z ptakiem.

Klatkę w klatce.

Chińskie miasto to moloch. Moloch przytłaczający wysokością i ilością... betonu otaczającego człowieka. Moloch często stojący w szczerym polu, oderwany zupełnie od otaczającego krajobrazu. W odróżnieniu od miast europejskich, które zaczynają się powoli, przedmieściami, chińskie miasto bardzo często zaczyna się nagle. Dosłownie po drugiej stronie drogi.



Tak jak pustynne miasta które kurczowo trzymają się wody i które oddziela od piasków droga, tak w Chinach miasta trzymają się kurczowo cywilizacji.

Po jednej stronie asfaltu stoją domki z drewna i pustaków, rozciągają się pola, a wodę nabiera się ręcznie ze studni. Po drugiej stronie tej samej drogi, kilka metrów obok, stoi miasto. Wysoko w górę strzelają jego wieżowce, a w nich wszystko to, co nowoczesne. Drogi, woda, prąd elektryczny, komputery, lodówki i odkurzacze.

Po stronie wsi panuje bieda i zacofanie. Po sąsiedzku, przez asfaltową miedzę.

Aż trudno uwierzyć, że w kraju, który produkuje chyba wszystkie lodówki

świata, w typowej chińskiej wsi statystycznie na 100 domów tylko 22 będzie miało lodówkę. Staje się to jednak bardziej zrozumiałe, jeśli przypomnieć sobie, że jeszcze kilka lat temu prąd na wsi był włączany tylko na noc. W końcu to miasta bardziej go potrzebowały. To w nich rodziła się przyszłość tego kraju. W nowych blokach, wysokich nawet na dwadzieścia kilka pięter, za wszechobecnymi kratami rozpoczął się okres cywilizacyjnego i konsumenckiego zbieractwa. Wraz z tym zbieractwem pojawił się oczywisty strach przed stratą i trzeba się było ukryć za kratami. Okna, drzwi i balkony. Ludzie oddali wolność za kolejny telewizor i kolejny odtwarzacz DVD. Kupowali sobie plastikowe, elektroniczne dobra i kolejny mocny zamek do drzwi. Zaczęli kupować diamentowe pierścionki w kraju, w którym jeszcze 20 lat temu diament kojarzył się zwykłemu zjadaczowi ryżu z wiertłem lub piłą. Pierścionki, bez których trudno się dziś zaręczyć. Przecież trzeba się pokazać, coś posiadać i schować to wszystko za grubą ścianą domowego sejf.

Jest taki chiński wiersz. Znalazłem go kiedyś na jakimś chińskim blogu.

"Żyję w mieście — jestem chory. Ojciec zabrał mnie do szpitala. Teraz
jestem ciekaw,
czy ubezpieczenie pokryje wszystkie koszty.

Żyję we wsi — jestem chory. Ojciec sprzedał świnię i zabrał mnie do lekarza.

Żyję w mieście — rząd pochwalił ojca, że otworzył własny biznes. Cały kraj
na tym zyska.

Żyję we wsi — rząd przekonuje, że tacy jak ojciec nie powinni jechać do
miasta.

Będą z tego tylko problemy.

Żyję w mieście — jako wolny człowiek mogę jeździć po całym kraju.

Żyję we wsi — jako wolny człowiek mogę jeździć po całej wsi".

Każdy mieszkaniec chińskiego miasta ma "hukou": dokument potwierdzający zameldowanie i bycie "mieszczuchem". Dzięki temu każdy z nich może pojechać do innego miasta. Mieszkańcy chińskich wsi nie mają takiego dokumentu. W wielkich i tak przeludnionych miastach nie wolno ot tak zamieszkać. Trzeba mieć "hukou" z innego miasta. Dla ludzi ze wsi jest to oczywisty paragraf 22: bez tego dokumentu nie mogą legalnie zamieszkać w mieście, nie mogą iść do lekarza, ich dzieci nie mogą iść do szkoły. W latach 50. podzielono ludzi dodatkowo na "jumin" — miastowych i "nongmin" — wieśniaków. Dodatkowo uznano, że swojego statusu nie można zmienić. Jeżeli dziewczyna ze wsi wyszła za mąż za chłopaka z miasta, ich dzieci nadal pozostawały "nongmin".

Nie dajmy się jednak omamić kolorowymi światłami nocnego miasta. Te kolory to tylko fasada. Wielka, rozświetlająca ciemności fasada, pełna iluminacji. Kolorowe, żywe neony cieszą oko i tylko pogłębiają

ciemności, które panują wokół i w których żyje większość ludzi w Chinach. Ludzi, którzy uciekli ze wsi i okropnej biedy, by to miasto swoją ciężką pracą wybudować.

To miasto nie wybudowało się samo. To miasto wybudowali ludzie, przyjezdni, którzy tu właśnie szukali swojej nowej szansy. Ludzie, którzy uciekając od wiejskiej biedy, wpadli w kierat 16-godzinnej pracy, braku lekarza, urlopu, wolnego dnia, a często... niezapłaconych pieniędzy za swoją katorżniczą harówkę.

Jeszcze dwadzieścia kilka lat temu 10% najbogatszych miało siedem razy więcej niż 10% najbiedniejszych. W 2007 roku było to już 23 razy więcej.

W wielkich miastach, takich jak Pekin czy Szanghaj, metr kwadratowy nowego mieszkania kosztuje 15 tys. polskich złotych.

Starsza pani, która sprzedaje na rogu ulicy "bau dze", czyli pyzy drożdżowe gotowane na parze, nadziewane cukrem, utartą fasolą lub ostrawym szpinakiem, musiałaby sprzedać 23 tysiące takich pyz, by kupić sobie jeden metr kwadratowy domu w miejscu, gdzie ma swój stragan.

Rodzina, która w niewielkiej restauracyjce gotuje szybkie obiady (na nie pewnie się składa kawałek wieprzowiny i warzywa plus miseczka ryżu), musiałaby sprzedać... osiem tysięcy misek tego ryżu, by mieć przy sobie wystarczająco gotówki na metr kwadratowy nowego mieszkania.

Dla kogoś, kto nie podróżuje, świat wydaje się obcy i groźny. Pełen zbrodni. Nic w tym dziwnego, skoro telewizja i prasa karmią nas codziennie obrazami krwi i cierpienia. Skoro opowiadają jedynie o tragediach i przestępstwach. Media wychowały nas tak, że potrafimy zainteresować się tylko złymi informacjami i mało kto interesuje się czymś, co się udało, czymś dobrym, konstruktywnym. Nauczono nas, że dobre wiadomości są nudne i nie warto się nimi interesować. Nie robi się nam od nich gęsia skórka i nie można o nich dyskutować w pracy.

Dla kogoś, kto nie podróżuje, najważniejszym pytaniem jest: "Czy TAM jest bezpiecznie?".

A ty rozbijasz namiot wśród obcych ludzi i musisz im zwyczajnie zaufać. Bez wiary w ich dobro podróż byłaby koszmarem. Ciągłym, nieustającym lękiem. Oglądaniem się za siebie. Gdyby nie ta wiara, czy istniałby jakikolwiek powód, by w ogóle wyjechać? By skonfrontować własną wiedzę zaczerpniętą z mediów z prawdziwym obrazem świata? By wejść do obcego człowieka pod jego dach, usiąść z nim przy tym samym stole i zapytać naiwnie samego siebie, niewinnie, jak pyta tylko dziecko: a cóż to za Obcy?

Przecież wszystkim nam chodzi o to samo.



Na dwa dni przed upłynięciem wiza zostało nam kilkanaście kilometrów do granicy z Laosem. Za nic w świecie nie chcieliśmy się rozstawać z Chinami, bo zwyczajnie było nam tu dobrze. Jedzenie świetne i ludzie mili. Jedzenie świetne i drogi dobre. No i to świetne jedzenie. Taaaak, chińskie jedzenie utkwilo nam w pamięci. Kiedy człowiek jest w podróży, to często dzieje się tak, że odmierza sobie czas posiłkami, bo cokolwiek mówić, z czasem podróż wygląda jak praca, tylko fajniejsza niż ta codzienna.

Żeby nie wyjeżdżać po nocy z Chin i nie szukać po nocy noclegu w

laotańskim przygraniczu, wymarzyliśmy sobie ostatnią kolację w Państwie Środka. Znaleźliśmy na mapie dużą wieś i ruszyliśmy wąską dróżką w jej kierunku.

Wsie w tym zakątku kraju były inne. Nie obrośnięte dżunglą, ale odgradzone od drogi murem. Nie były to chińskie wsie, ale należące do różnych plemion. Yi, Bai, Hani, Tai i jeszcze kilkunastu innych. Plemiona te to w większości animiści, którzy wierzą, że każde drzewo, rzeka czy kamień ma swojego boga. Wierzą również, że błysk lampy w aparacie fotograficznym to piorun, a piorun to przecież bóg i człowiek nie powinien mieć urządzenia rzucającego bogami. No i przez to uprzedzeni są do turystów, więc chowają się za tym murem. Przez to droga nie prowadzi przez środek wsi, ale bokiem.

— Wielka micha smażonej oberżyny czeka na nas w wiejskiej knajpce — mówiłem.

— I może jakieś smażone tofu — cieszyła się Ania.

— Pewnie jajecznica z pomidorami i do tego piwo. Jak się żegnać z Chinami, to z klasą — marzyłem.

A we wsi knajpki nie było. Nawet sklepu. Niczego.

Tymczasem w sakwach mieliśmy tylko awaryjną "chińską zupkę", awaryjne herbatniki i po torebce sojowego mleka w proszku.

Tośmy świętowali jak szaleni. Uczta do białego rana. Gdy już przestaliśmy się śmiać z tych naszych oberżyn, tofu i wymaginowanej jajecznicy, poszliśmy czym prędzej spać.

— Szybko zaśniemy, to i szybko pojedziemy rano dalej — wymyśliła Ania.

— Przed granicą jest jeszcze jakieś miasteczko. Bez tofu i smażonego ryżu nie wyjeżdżam z Chin. Nie ma mowy!

Jak widać — były. I tofu, i oberżyna, i piwo. Wszystko było.

Dlatego w ogóle zajechaliśmy do domu.

I dlatego czytacie tę książkę.

Gdyby nie to tofu, to kto wie, gdzie teraz byśmy byli.

Po Chinach moglibyśmy jeździć jeszcze całe lata. Tak, lata. Mało który kraj tak nas pociąga. Chiny to kraj pełen zakrętów, a za każdym zakrętem jest niespodzianka. Kolejne budynki i ludzie. Kolejne nasze zadziwienie. Chiny nijak nie chciały nam się znudzić.

Zaczęliśmy od pustynnych gór, a kończyliśmy w dżungli Junnanu.

Zaczęliśmy od muzułmanów, a kończyliśmy na animistach ubranych tak kolorowo, że nie wiadomo było, na co patrzeć.

Zaczęliśmy od wielbłądów i osłów, a kończyliśmy na dzikich słońiach.

Po drodze mijaliśmy górskie stopy, tybetańskich buddystów, jaki, olbrzymie psy i czarne bociany.

W Chinach można by zginąć na dziesiątki sposobów.

Najłatwiej jest chyba dać się przejechać wyjącem klaksonami autobusom albo ciężarówkom. Ewentualnie dałyby nam radę traktory czy elektryczne skutery, które to tu, to tam bezgłośnie pędziły w naszym kierunku.

Ale nauczyliśmy się na nie uważać, przestać się odgrażać, gdy tuż przy nas kierowcy naciskali na klaksony, by nas pozdrowić. Na zawał, od tego nagłego trąbienia, też nie umarliśmy.

Nijak się też nie otruliśmy, choć zdarzyło mi się kupić trzy woreczki mleka do owsianki, które rano okazały się trzema woreczkami sosu sojowego. Dobrze, że nie na przykład płynu do czyszczenia toalet albo trucizny na szczury.

Nie zagryzły nas wielkie tybetańskie mastify. Uwiązane były na solidnych łańcuchach i mimo że rzucały się w naszą stronę jak opętane, jak w jakiejś furii, nigdy nie dały rady nas dosięgnąć. Znowu te, które chodziły luzem, nigdy nie zwróciły na nas uwagi. Jakby to łańcuch był odpowiedzialny za szaleństwo zwierząt.



Tymczasem przywitał nas Laos.

Oszalał z zielenią i dziećmi, które stały na poboczu i machały swoimi małymi łapkami jak szalone, wykrzykując przy tym "Sabaidee!" na powitanie.

Oszalał pustymi drogami, po których zamiast szalonych samochodów wałęsały się czarne świnki i pisklaki goniące kwokę. Drogami, na których spały spokojnie psy.

Otoczyły nas wioski niczym z bajki. Stały w nich domki, na niewielkich palach, o ścianach plecionych z bambusa, dachach pokrytych ryżową słomą. Na ścianach lub pod domami leżały koszyki, pułapki na żaby i ryby, miski, tacki, klatki i kilka innych pudełek... a wszystko wyplecione z bambusa!

Wystarczyło wejść do stojącego za domem lasu i niemal wszystko można było sobie z niego przynieść.

Młodzi chłopcy, z maskami do nurkowania i plecionymi z bambusa "dzbankami" przytroczonymi do pasków, łapali ryby małymi kuszami lub wygrzebywali żaby z błotnych bajorek.

Mocna kawa i bagietki w turystycznych knajpkach, i te plecione domki przy leśnych drogach nie opuszczały nas aż do tajskiej granicy. W Bangkoku czekał na nas już jednak samolot, by z tajskich 28 stopni Celsjusza zabrać nas do polskich minus 23.

Ale to już zupełnie inna historia. Zupełnie inni ludzie i zupełnie inne wspomnienia.

[1] Andrzej Śmiałek, SMS przesłany z Kaszgaru.

[2] Kapusta chińska.

[3] Odpowiednik polskiego: "Wesołych Świąt!".

[4] Wielki Skok Naprzód — kampania gospodarcza przeprowadzona w latach 1958 - 1962 w Chińskiej Republice Ludowej. Zakładała szybkie przekształcenie Chin z zacofanego kraju rolniczego w czołową potęgę przemysłową; zakończyła się klęską głodu i ruiną gospodarki [źródło: Wikipedia].

[5] W tym okresie walczono z wróblami i gołębiami na masową skalę. Specjalne drużyny wieśniaków chodziły po polach i bębniąc w metalowe garnki, straszyły ptaki, zmuszając je do ciągłego lotu. Ptaki umierały w locie na atak serca. Kiedy wytępiono ptaki-szkodniki, nastąpiła plaga insektów, które i tak zniszczyły uprawy.

[6] Gliniany piec w kształcie dzwonu.

[7] Sprzedawca pamiątek w filmie dokumentalnym *W górę Jangcy*.

[8] Nocny nawóz to potoczna nazwa nawozu wybieranego z latryn. Często

latryny stoją w pobliżu obory lub chlewu, po to, by wszystkie odchody łatwo można było zmieszać razem i przygotować z nich wodnisty gnojownik.

[9] Kilka dni po naszej decyzji, by nawet nie próbować się prześlizgnąć, nasi koledzy z Long Walk Plus Expedition przejechali przez posterunki bez najmniejszego problemu.

Koniec?



Spędziliśmy w podróży osiem miesięcy. Wyjechaliśmy z tureckiego Sztambułu, a zajechaliśmy ostatecznie do Bangkoku w Tajlandii. Ciągłe nam było mało.

Musieliśmy jeszcze zakończyć naszą akcję pocztówkową. Po zakupach w Pamirze dla Malika i jego szkoły kolejni ludzie wciąż przysyłali nam pieniądze. Skończyło się to tym, że pewnego razu wysłaliśmy z Chin ponad 40 pocztówek, ale zebraliśmy tyle pieniędzy, że mogliśmy pójść do księgarni i kupić trochę książek.

Nie kupiliśmy ich jednak w Chinach, ale w Laosie.

Poszliśmy do księgarni wydawnictwa Big Brother Mouse w Luang Prabang, które zajmuje się właśnie drukowaniem książek dla laotańskich dzieci. Zaprasza do siebie turystów i podsuwa im pomysł. "Nie rozdawajcie cukierków — kupcie książkę. Zostanie z dziećmi na długo, mogą się nią podzielić" — namawiają autorzy książek.

Jeden z pisarzy opowiedział nam, że często zdarza się, iż dzieci objadają się tymi turystycznymi cukierkami i potem... muszą iść do dentysty. A to, jak wiemy, kosztuje pieniądze, których rodzina nie ma. Big Brother Mouse zatrudnia młodych ludzi w wieku 15 - 28 lat i uczy ich pisanie, rysowania i obsługi komputerów. To w 100% firma laotańska. Pracownicy sami rysują i piszą książki. Czasem nie mają pieniędzy, by je wydrukować (koszt wydania jednej książki to 3000 - 4000 dolarów), i korzystają z pomocy prywatnych sponsorów.

Często walczą z laotańskimi uprzedzeniami. Mało kto myśli o książce jak o

czymś, co może pomóc w życiu, co jest ważne. Wiele dzieci w Laosie nie widziało nigdy książki. Nie tylko nie umieją za dobrze czytać, ale nawet nie wiedzą, że wystarczy przewrócić kolejną stronę, by dowiedzieć się, co wydarzyło się dalej.

Dzięki wszystkim zebranych pieniądzązom udało nam się kupić... sto trzydzieści dwie książki. O myciu zębów, o wielkich odkryciach, o Afryce, o niepełnosprawnym laotańskim chłopcu, słowniczkę, książki do nauki liczenia, do nauki alfabetu, o ludzkim ciele, legendy i baśnie, o cudach świata, o kolorach...

I nagle, gdy to wszystko pakowaliśmy do pudła, przypomniało nam się, że akurat jest 6 grudnia, czyli mikołajki.

Jeszcze zanim gdziekolwiek wyruszyliśmy, riksarz, który nas zagadnął: "a co to za książki?", chciał wziąć trzy dla swojego syna. Ania musiała go niemal gonić i tłumaczyć, że nam bardzo przykro, ale to dla szkoły.

Weszliśmy do łódki którą mieliśmy się dostać na drugi brzeg Mekongu do wioseczki Xieng Maen. Przewoźnicy chcieli od nas bardzo dużo pieniędzy (bardzo dużo!), ale gdy pokazaliśmy im karton z książkami i wytłumaczyliśmy, co chcemy z nimi zrobić, "co-jak-gdzie-i-po-co", to cena spadła pięciokrotnie.

Podreptaliśmy przez wieś w poszukiwaniu szkoły. Chłopak z "Tourist Information" próbował nas przekonać, że trzeba było pojechać do biednej szkoły, że ta u nich "nie jest taka zła jak inne". Warto dodać, że wszystkie książki niosłem w kartonie po piwie i z daleka wyglądało, jakbym taszczył 12 butelek, a nie coś ważniejszego. Żeby więc nie było nieporozumień, zagiąłem karton, tak by było widać, co jest w środku. Nagle podeszła do nas grupa kobiet i zaczęły ciekawie zaglądać do środka. Zobaczyły książki i zaczęły wesoło wołać: "kop czaj!", czyli... "dziękuję!".

A w szkole dzieciaki biegały po pustawych klasach, w których wisiały tablice, dziecięce rysunki i — to by było na tyle. Z jednej z klas wyszedł do nas duży pies i jakoś mu nie przypadłem do gustu. Postanowił mnie przegonić i oznajmił mi to głośnym szczekaniem.

Zaprowadzono nas do pokoju nauczycielskiego, a wszyscy nauczyciele, którzy akurat tam byli, jakby się wystraszyli. Zapadła niewygodna cisza i zapanowała nieśmiałość. Nie dość, że nikt nie umiał po angielsku, to jeszcze wpadliśmy bez zaproszenia i zapowiedzi.

Marzyła nam się powtórka z Tadżykistanu. Jakiś głębszy kontakt, jakaś żywsza historia, ale tym razem się nie udało.

Spacerując po szkole, po tych pustych salach, pełnych biednych, często bosych dzieci, cały czas miałem w głowie słowa chłopaka z informacji turystycznej, który nas przekonywał, że trzeba było pojechać do naprawdę biednej szkoły, że ta tutaj "nie jest taka zła jak inne".

Gdy oglądaliśmy szkołę, dwoje nauczycieli spokojnie rozpakowywało i oglądało książki. Warto było wypisywać te wszystkie pocztówki, wysyłać je do ludzi, którzy za nie płacili, i zbierać grosz do grosza, by wydać pieniądze na książki.

Na coś naprawdę, naprawdę ważnego.

Dzięki pieniądzom od wielu z Was.

Za każdym zakrętem czekała na nas kolejna przygoda i ciągle nie mieliśmy ich dosyć. Pewnie, że czasem byliśmy zmęczeni albo rozdrażnieni, ale mimo to ciągle chciało nam się kolejnej wsi i kolejnego miasta. Malowniczość krajobrazu nijak nas nie nudziła i w ogóle nie chciało nam się jechać do domu. Powoli i nieubłaganie kończyły nam się fundusze, zaczęliśmy liczyć czas do powrotu w tygodniach, a chwilę później — w dniach.

Nasza mapa Azji roiała się od niewielkich punktów, miejsc, w których zostawiliśmy nowych przyjaciół. Wiele kropek oznaczających wsie, miasta, jakieś doliny nabrało życia i wspomnień. Nie były to już tylko punkty na papierowej mapie, ale i ludzie, których poznaliśmy i za którymi przyszło nam tęsknić. Już w domu, wieczorami, zastanawialiśmy się, co się dzieje w Szirazie, co u Mohammada, który jeździł zamyadem przez pustynię Dasht-e Kavir. Mapa Pamiru zaroiała się od miejsc, w których poznaliśmy kogoś, kto stał się nam bliski. Chińskie wsie i miasta kojarzyliśmy teraz, wspominając twarze spotkanych tam ludzi.

Polecam podróże. Te dalekie i te bliskie. Życie w podróży nabiera kolorów i smaku, a ludzie wydają się o wiele bliżsi i miłsi. Po takiej podróży wraca się do domu i patrzy się na wszelkie ponure wiadomości z przymrużeniem oka. Już nie do końca wierzy się gazetom i telewizji. Po każdej podróży wie się, że na świecie dzieje się też wiele dobrego i wspaniałego, tylko jakoś nikt o tym nie opowiada. Szkoda, ale widocznie dobre wiadomości się nie sprzedają.

Podróże przedstawiają nam świat w wielu wymiarach. To już nie tylko historyjka opowiedziana przez znajomego czy obejrzana na ekranie. To smaki, kolory, wiatr we włosach, dźwięki i zapachy. Wystarczy usiąść na ławce w parku, by poczuć intensywność odwiedzanego miejsca. Zjeść coś w restauracji czy w skromnej knajpce, kupić jakiś nieznaną owoc na bazarze, a potem iść ulicą i cieszyć się własną przygodą. Wyjechać na chwilę z domu, by poznać coś innego. W przerwach między zwiedzaniem pójść na kawę do miejsca, do którego chodzą tubylcy, i może nawet napić się tej kawy z nimi. Na pewno nas nie zjedzą ani nie wygonią. Najpewniej zapłacą za naszą kawę i jeszcze zrobią sobie z nami zdjęcie. Oni, tak jak i my, będą się takim zdjęciem chwalić w domu lub w pracy. Mamy różne twarze, języki i religie, więc zapominamy, że w środku jesteśmy tacy sami.

Wróciliśmy z tej podróży cali i zdrowi. Przez osiem miesięcy nic nam się

nie stało, nikt na nas nie napadł, nikt nie zrobił nam krzywdy. Jesteśmy parą zwykłych ludzi, którzy odważyli się pojechać w nieznany im świat. Skoro wróciliśmy bez blizn i szwów, ten świat musiał być dobry i przyjazny.

Teraz, pisząc te wszystkie słowa, spłacamy dług wdzięczności wobec wszystkich, którzy przygarnęli nas do siebie do domu, którzy dzielili się z nami jazdą, którzy witali nas jak starych przyjaciół i którzy pomagali nam w urzędach, na dworcach i w hotelach.



Może ich kiedyś spotkacie. Wystarczy, byście wybrali się w podróż. 50, 100 czy 1000 kilometrów od domu. Jak daleko i dokąd dokładnie pojedziecie — to nie ma większego znaczenia. Podróż zaczyna się po wyjściu z domu i wcale nie trzeba jechać do egzotycznych krajów, by przeżywać przygody.

Nie trzeba jechać rowerem, motorem czy autostopem. Można miejskim autobusem albo wynajętym odrzutowcem. Samemu lub z biurem podróży. Ważne jest to, kogo spotkamy po drodze, oraz to, czy takie spotkanie będzie wspomniania. Wszystko inne jest tylko narzędziem.

Skoro nam się udało, to Wam też się uda.

Może nawet lepiej niż nam.



PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION

1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA
 **Helion SA**

Spis treści

[Kolejny początek](#)

[Syria](#)

[Gdzie Kain zabił Abła](#)

[Pierwsza pustynia](#)

[Turcja](#)

[Hotel zwany stacją benzynową](#)

[Iran](#)

[W irańskich dżunglach](#)

[Teheran](#)

[Anioł stróż](#)

[Turkmenistan](#)

[Uzbekistan](#)

[Bucharą](#)

[Samarkanda](#)

[Голодная](#)

[Jeden brat, dwa braty, wsje braty](#)

[Tadżykistan](#)

[Po co nam wolność?](#)

[Koniec świata](#)

[Chiny](#)

[Kaszgaria](#)

[Ujgurzy](#)

[Winogrona na pustyni](#)

[30 razy większe](#)

[Wszystko na migi](#)

[Koniec?](#)